



GALAKTYKA GUTENBERGA

HERBERT GEORGE WELLS



Śpiący przebudzony

Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Wstęp do nowego wydania.](#)

[Rozdział I – Bezsenna](#)

[Rozdział II – Trans](#)

[Rozdział III – Przebudzenie](#)

[Rozdział IV – Zgiełk i zamieszanie](#)

[Rozdział V – Ruchome trakty](#)

[Rozdział VI – Sala Atlasa](#)

[Rozdział VII – Uwięzienie](#)

[Rozdział VIII - Otwór w dachu](#)

[Rozdział IX - Marsz ludu](#)

[Rozdział X - Bitwa ciemności](#)

[Rozdział XI - Stary człowiek wie wszystko](#)

[Rozdział XII – Ostrog](#)

[Rozdział XIII - Koniec starego porządku](#)

[Rozdział XIV - Z bocianiego gniazda](#)

[Rozdział XV - Ważni ludzie](#)

[Rozdział XVI – Monoplan](#)

[Rozdział XVII - Trzy dni](#)

[Rozdział XVIII - Graham pamięta](#)

[Rozdział XIX - Punkt widzenia Ostroga](#)

[Rozdział XX - Na miejskich traktach](#)

[Rozdział XXI - Po drugiej stronie](#)

[Rozdział XXII - Walka w Domu Rady.](#)

[Rozdział XXIII - Graham przemawia](#)

[Rozdział XXIV - Gdy aeroplany nadlatują](#)

[Rozdział XXV - Nadlatują aeroplany.](#)

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA

to klasyka radzieckiej i amerykańskiej SF



**GALAKTYKA
GUTENBERGA**

W serii ukazały się książki takich pisarzy jak:

Harry Harrison

H. Beam Piper

Siergiej Sniegow

Clifford D. Simak

James Schmitz

E.E. „Doc” Smith

John W. Campbell

Murray Leinster

Kir Bułyczow

Władimir Michajłow

Herbert G. Wells

Iwan Jefremow

Ilja Warszawski

Edgar Rice Burroughs

Herbert George Wells

Śpiący przebudzony

Przełożył
Krzysztof Sokółowski

SOLARIS
Stawiguda 2016

Książka kupiona w SOLARIS



Śpiący przebudzony
tyt. oryginału: *The Sleeper awakes*

The Sleeper Awakes copyright © 1899
by Herbert George Wells

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Niniejsza książka elektroniczna ani żadna jej część nie może być
kopiowana i odsprzedawana oraz w jakikolwiek inny sposób
reprodukowana, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez
pisemnej zgody sprzedawcy.

Agencja „Solaris”
Małgorzata Piasecka
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A
tel./fax 89 5413117
e-mail: agencja@solarisnet.pl

sprzedaż wysyłkowa:

solarisnet.pl

WSTĘP DO NOWEGO WYDANIA.

„Gdy śpiący się budzi” („When the Sleeper Awakes”), którego tytuł zmieniłem na „Śpiący przebudzony” („The Sleeper Awakes”) ukazał się w wydaniu książkowym w 1899 roku, a wcześniej, w odcinkach, publikowany był w „Graphic” oraz kilku periodykach amerykańskich i kolonialnych. Jest to jedna z najambitniejszych – i najmniej zadawalających – z moich książek. Przy okazji wznowienia dokonałem kilku skrótów i zmian. Jak większość moich wczesnych prac „Śpiący przebudzony” powstawał pod znacznym ciśnieniem, oznaki pośpiechu widoczne są nie tylko w dalszej jego części, lecz i w samej konstrukcji. Oprócz widocznej w kilku miejscach pewnej niedbałości, będącej, jak mi się wydaje, mą nieprzewyciężoną wadą, pierwszej części książki nie muszę się wstydzić. Krytycy zorientują się jednak bez większych problemów, że zamiast odłożyć ją na bok i w wolnych chwilach dokładnie przemyśleć, niepotrzebnie spieszyłem się do końca. W tym czasie byłem przepracowany, bardzo potrzebowałem odpoczynku. W dodatku do rozlicznych zobowiązań dziennikarskich pisałem też inną książkę, „Love and Mr. Levisham” i byłem do niej bardziej przywiązany. Okoliczności wymagały szybkiego zakończenia którejś z nich nim będę mógł pomyśleć o odpoczynku, dokończyłem więc „Śpiącego przebudzonego” w formie, w której nadawał się do wydania z nadzieją, że poprawię go nim drukarze zdążą zabrać się do pracy. Los mi jednak nie sprzyjał. Zachorowałem natychmiast po powrocie do Anglii z Włoch; do dziś pamiętam bezsilną wściekłość i napięcie towarzyszące próbom jakiegoś zakończenia przygód pana Levishama w gorączce przekraczającej 39 stopni Celsjusza. Nie mogłem znieść myśli, że pozostaną niedokończone. Udało mi się później ocalić je od skutków nagłego ataku gorączki – „Love and Mr. Levisham” należy do najlepiej zrównoważonych moich dzieł – „Śpiący przebudzony” umknął jednak mej uwadze.

Mija dwanaście lat od czasu, kiedy go napisałem. Nie jestem już tym młodym, trzydziestodwuletnim mężczyzną, nie potrafię dokonać w książce

jakiś drastycznych zmian. Odegrałem zaledwie rolę autorskiego starszego brata – redaktora: bezlitośnie wyciąłem kilka długich, męczących fragmentów będących w sposób aż przesadnie oczywisty dziełem umysłu zmaconego, nie funkcjonującego we właściwy sposób oraz opornego pióra, skorygowałem niekonsekwencje zakończenia, poza tym poprawiłem też kilka niezręcznych zdań i powtórek. Najgorsze w wersji pierwotnej i najbardziej obciążające me sumienie było potraktowanie związku Wotton i Grahama. Pośpiech w sztuce niemal zawsze oznacza wulgaryzację. Niewątpliwie wulgarnym było uczynienie z Helen czegoś, co gazety zwykły nazywać „obiektem romantycznego zainteresowania”. Posunąłem się wręcz do niezdarnej sugestii, że zamiast wsiąść do latającej maszyny i walczyć, Graham mógł poddać się Ostrogowi i poślubić ją. Usunąłem nawet najdrobniejsze sugestie, że któreś z nich dążyło do zawarcia tego rodzaju związku. W rzeczywistości w książce tej nie ma miejsca na małżeństwo. Miłość, owszem, i nawet pocałunki, ale była to miłość dziewczęcia do bohaterskiego dziadka, były to pocałunki, na które miejsce jest tylko w sytuacji zagrożenia. Wykreślenie kilku tego rodzaju niedopuszczalnych sugestii okazało się możliwe, nie wywołało daleko idących niekonsekwencji, a sumieniu memu ulżyło uwolnienie od ciężaru tak niezdarnej błęd. Wystarczyło też przyłożyć pióro do papieru tu i tam, by wykreślić pozałowania godne sugestie, że siły ludu zwyciężyły Ostroga. Mój Graham, jak wszyscy jemu podobni, musi umrzeć w niewiedzy, czy odniósł zwycięstwo, czy też poniósł klęskę.

Kto zwycięży? Ostrog czy lud? Minie tysiąc lat, a pytanie to pozostanie tak otwarte, jakim jest dziś.

H.G. WELLS.

ROZDZIAŁ I

BEZSENNOŚĆ

Pewnego dnia po południu, podczas odpływu, pan Isbister, młody artysta mieszkający w Boscastle, wybrał się na spacer do malowniczej zatoczki Pentargen z zamiarem zbadania znajdujących się przy niej jaskiń. Nagle, zaskoczony, zobaczył mężczyznę, siedzącego pod skalnym nawisem przy krętej, zdradliwej ścieżce prowadzącej na plażę. Zgarbiony, z ramionami opartymi na kolanach, mężczyzna ów najwyraźniej cierpiał. Twarz miał zalaną łzami.

Słyszając kroki na ścieżce mężczyzna podniósł głowę. Obaj panowie poczuli niejaki zakłopotanie. Isbister, bardziej zakłopotany, uznał za konieczne przerwać przedłużające się niezręczne milczenie. Tonem światowca przekonanego o swej racji zauważył, że pogoda jest bardzo ciepła jak na tę porę roku.

– Bardzo ciepła. – Mężczyzna wahał się przez chwilę, po czym dodał cichym, bezbarwnym głosem. – Nie mogę zasnąć.

Isbister przystanął.

– Doprawdy? – Nie powiedział nic więcej, ale i tak udało mu się przekazać, że bardzo chętnie pomógłby, gdyby było to w jego mocy.

– Zapewne trudno będzie panu w to uwierzyć – powiedział mężczyzna, zwracając spojrzenie na twarz intruza. Podkreślił znaczenie swych słów nieznacznym gestem bezwładnej dłoni – ale nie spałem od sześciu nocy.

– Zasięgał pan rady?

– Zasięgałem. Otrzymałem same złe rady. Prawie wszystkie. Środki medyczne. Mój system nerwowy... większości zwykłych ludzi z pewnością by pomogły. To trudno wyjaśnić, ale boję się przyjmować silne leki.

– To utrudnia sytuację – zauważył Isbister.

Stał na wąskiej ścieżce, bezradny, nie mając pojęcia, co teraz. Mężczyzna pragnął rozmowy, to było jasne. Najzupełniej naturalny w tych

okolicznościach odruch kazał mu dostosować się do niego pod tym względem.

– Osobiście nigdy nie cierpiałem na bezsenność – powiedział tonem wyznania – ale w wypadkach znanych mi ze słyszenia ktoś w końcu zawsze znajdował jakiś sposób...

– Nie ośmielę się eksperymentować.

Mężczyzna przemawiał głosem człowieka bardzo zmęczonego. Z rezygnacją machnął ręką. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli.

– Ćwiczenia fizyczne? – zaproponował Isbister nieśmiało. Spojrzał najpierw na wynędzniałą twarz rozmówcy, a potem na jego praktyczny strój piechura.

– Właśnie ich spróbowałem. Zapewne lekkomyślnie. Szedłem wybrzeżem kilka dni... z New Quay. Do zmęczenia psychicznego doszło zmęczenie fizyczne. Powodem mego pobudzenia jest przepracowanie... kłopoty... zdarzyło się coś...

Mężczyzna umilkł jakby był zbyt zmęczony, by mówić dalej. Potarł czoło długimi palcami szczupłej dłoni. Dalej mówił jakby do siebie.

– Jestem wilkiem-samotnikiem, samotnym człowiekiem wędrującym przez świat, którego częścią nie jestem. Nie mam żony, nie mam dzieci... kto to powiedział, że bezdziejni są jak martwe gałęzie drzewa życia? Nie mam żony, nie mam dzieci, nie potrafię znaleźć sobie nic wartościowego do zrobienia. Niczego nie pragnę, nawet w najgłębszej głębi serca. Ale wyznaczyłem sobie przynajmniej jeden cel. I żeby zrobić to, co obiecałem sobie zrobić, przezwyciężyć bezwładność ospałego ciała, uciekłem się do narkotyków. Wielki Boże, jak dobrze poznałem narkotyki! Nie wiem, czy pan czuje kamienny ciężar ciała i to, jak rozpaczliwie odbiera nam ono czas, który winien przynależeć do umysłu. Czas... czas... samo życie! Ach, żyć! A przecież żyjemy tylko fragmentami. Musimy jeść, a kiedy zjemy, przychodzi trawienna ospałość ciała... czy też jego podrażnienie. Potrzebujemy świeżego powietrza, inaczej głupiejemy, myśl zwalnia bieg, staje się powolna, gubi tropy, błądzi w ślepe uliczki. Tysiące drobiazgów, pochodzących z wewnątrz nas i ze świata, nie pozwala się nam skupić, po czym przychodzi senność, a jeszcze później – sen. Wydaje się, jakoby ludzie żyli wyłącznie po to, by spać. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach ileż naszego czasu rzeczywiście należy do nas? I wtedy

pojawiają się fałszywi przyjaciele, pomocne łotry, alkaloidy. Alkaloidy leczą naturalne zmęczenie, uodparniają... czarna kawa, kokaina...

– Rozumiem – powiedział Isbister.

– Zrobiłem to, co sobie postanowiłem – powiedział mężczyzna żałośnie.

– Zapłacił pan za to bezsennością?

– Tak.

I znów zapadła chwila milczenia.

– Nie potrafi pan nawet wyobrazić sobie, jak bardzo pożądam odpoczynku – przerwał milczenie mężczyzna. – Jestem go głodny, spragniony. Od kiedy dokonałem dzieła, od sześciu długich dni i nocy w głowie mam zamęt, ustawiczny, szalony, nie prowadzący do niczego. Hucząca rzeka myśli wirujących, wirujących, niknących... – mężczyzna przerwał na chwilę, po czym dokończył – ... w otchłani.

– Musi pan zasnąć – stwierdził Isbister stanowczo takim tonem, jakby właśnie odkrył lekarstwo na wszystkie dolegliwości. – Bez wątpienia. Pan musi spać.

– Umysł mam niezwykle klarowny. Tak klarowny nie był nigdy. Ale wiem, że zbliżam się do krawędzi... otchłani... I nawet...

– Tak?

– Widział pan, jak wsysa wir? Z jasnego światła dnia, ze słodkiej krainy rozsądku...

– Ależ... – zaprotestował Isbister.

Mężczyzna wyciągnął ku niemu rękę nagłym, gwałtownym ruchem. Oczy miał dzikie, głos mu się łamał.

– Zabiję się! Jeśli nie w jakiś inny sposób, to u stóp tego tu mrocznego urwiska, gdzie fale są zielone, gdzie biały przybój wznosi się i opada, a ze skał spływają drżące strumyki wody. W każdym razie jest to... sen.

– Zachowuje się pan nierozsądnie. – Isbistera zaskoczył nagły, histeryczny wybuch rozmówcy. – Nawet narkotyki są lepsze.

– W każdym razie to jest sen – powtórzył mężczyzna.

– Ale niepewna metoda, wie pan? – Isbister przyglądał mu się uważnie.

– W Lulworth Cove mamy taki sam klif, w każdym razie tej samej wysokości. Mała dziewczynka spadła z samej góry. Żyje do dziś, zdrowa i szczęśliwa.

– Ale te skały, tam.

– Leżeć na nich zimną nocą, drzeć i słyszeć, jak od tego drżenia ocierają się o siebie połamane kości, czuć krople zimnej wody przyskające na całe ciało... czy to się może podobać?

Ich oczy się spotkały.

– To przykre, kwestionować czyjeś ideały – przemówił Isbister tonem beztroskiego błyskotliwego intelektualisty – ale samobójstwo przez skok z tego klifu, czy z jakiegokolwiek klifu, no cóż, jako artysta... – roześmiał się – ...to takie amatorskie!

– A inne sposoby? – Cierpiący na bezsenność mężczyzna tracił panowanie nad sobą. – Są inne sposoby. Każdy by oszalał, gdyby noc po nocy...

– Szedł pan wzdłuż wybrzeża sam?

– Tak.

– Proszę mi wybaczyć szczerą, ale była to niezwykła lekkomyślność z pańskiej strony. Jak pan sam powiedział: zmęczenie ciała nie wyleczy zmęczenia umysłu. Kto doradził panu coś podobnego? Też mi pomysł, taka wędrówka. Słońce świecące wprost na głowę, upał, zmęczenie, samotność, i tak przez cały dzień. A wieczorem, jak sądzę, bardzo pragnął pan zasnąć... mam rację? – Umilkł. Przyglądał się cierpiącemu z powątpiewaniem.

– Proszę spojrzeć na te skały! – wykrzyknął mężczyzna, gestykulując gwałtownie. – Proszę spojrzeć na morze, lśniące, kołyszące się tu od wieków! Widzi pan białą pianę przyboju, wpadającą w ciemność pod gigantyczną skałą? I to błękitne sklepienie, ze słońcem zawieszonym u szczytu kopuły? Taki jest pański świat! Akceptuje go pan i więcej, pan się nim rozkoszuje! Ogrzewa pana, wspiera, zachwyca! A mnie... – Odwrócił głowę. Twarz miał trupio bladą, jasne oczy podkrążone, głos opadł mu do szeptu – ... mnie przystraja szatą cierpienia. Cały świat... cały świat jest tylko szatą mego cierpienia.

Isbister rozejrzył się dookoła. Dzikie piękno zalanego promieniami słońca klifu i ta twarz, i ta malująca się na niej rozpacz! Milczał przez chwilę, a potem drgnął. Machnął ręką lekceważąco.

– Prześpi pan całą noc i ten żaloszny obraz się zmieni. Proszę mi uwierzyć na słowo.

Isbister nie wątpił już, że było to opatrnościowe spotkanie. Przed zaledwie półgodziną straszliwie się nudził. I oto miał zajęcie, o którym nie

mógł nawet marzyć, a z którego mógłby być dumny. Od razu wziął się do roboty. Najważniejsze, że ten biedny człowiek potrzebuje towarzystwa. Opadł na stromo wznoszącą się w tym miejscu ziemię obok nieruchomej, apatycznej postaci. Rozpoczął długą, chaotyczną opowieść.

Cierpiący na bezsenność mężczyzna patrzył tępo przed siebie, na morze. Otwierał usta tylko po to, by odpowiedzieć na bezpośrednie pytanie, a i to nie na każde. Ale nie sprzeciwiał się tak brutalnemu wejściu obcego człowieka w świat jego rozpaczy. Wydawało się nawet, że jest mu za to wdzięczny i kiedy Isbister czując, że jego długa przemowa traci na sile przekonywania zaproponował, by przeszli się kawałek pod górę, za grzbiet wzgórza, z powrotem w stronę Boscastle, gdzie będą mieli wspaniały widok na Blackpit. Zgodził się na to milcząco. W połowie drogi zaczął mówić do siebie. Nagle zatrzymał się, odwrócił upiornie bladą twarz w stronę usiłującego mu pomóc człowieka.

– Co się dzieje? – spytał. – Kręci się, kręci, kręci, wiruje, wiruje w kółko, na zawsze. – Wykonywał koliste ruchy ręką.

– Wszystko w porządku, stary – powiedział Isbister tak, jakby zwracał się do wypróbowanego przyjaciela. – Nie zamartwiaj się. Zaufaj mi.

Mężczyzna opuścił rękę. Poszli dalej, przekroczyli grzbiet niewysokiego wzgórza i naleźli się na przylądku za Penally. Cierpiący na bezsenność gestykułował od czasu do czasu, skarżył się także, że w głowie mu się kręci. Na przylądku przystanęli w miejscu, z którego mieli dobry widok na mroczne, tajemnicze Blackpit. Usiedli. Isbister korzystał z okazji, Mówił gdy tylko dróżka rozszerzała się wystarczająco, by mogli iść obok siebie. Opowiadał o trudnościach i skomplikowanych manewrach, jakich wymagało wejście do portu w Boscastle przy złej pogodzie, gdy jego towarzysz znów mu przerwał.

– Głowa nie pracuje mi tak dobrze jak niegdyś – oznajmił bez związku z tematem, gestykułując jakby w ten sposób mógł uzupełnić brak wystarczająco mocnych słów. – Nie tak dobrze jak niegdyś. Czuję jakiś ucisk... jakiś ciężar... nie, nie jestem senny. Mój Boże, senność byłaby taka cudowna! A to jest jak cień, jak głęboki cień nagle, błyskawicznie, opadający na coś ruchomego. Wirującego, wirującego w ciemność. Natłok myśli, nierozpoznanych, wir, wir, wir... nie potrafię tego wyjaśnić. Nie potrafię uporządkować myśli choćby na chwilę konieczną, by powiedzieć ci, co się ze mną dzieje.

Umilkł. Nie znalazł słów.

– Nie przejmuj się, mój stary – powiedział Isbister. – Chyba rozumiem, o co ci chodzi. W każdym razie to, co teraz mi powiesz, nie ma jakiegoś szczególnego znaczenia.

Cierpiący na bezsenność mężczyzna tarł oczy kostkami palców. Isbister mówił i mówił, czekając aż przestanie i nagle wpadł na nowy pomysł.

– Pójdziemy do mojego pokoju – zaproponował. – Warto spróbować fajki. Przy okazji pokażę panu kilka szkiców Blackapit, dobrze?

Cierpiący na bezsenność wstał posłusznie. Poszedł za nim w dół z boczka. Potykał się przy tym, jego ruchy były powolne, niepewne.

– Proszę ze mną – powiedział Isbister. – Proponuję papierosy i błogosławiony dar alkoholu. Jeśli go pan używa.

Bezsenno przystanął przy furtce do ogródka. Wydawało się, że nie kontroluje już swoich zachowań.

– Nie piję alkoholu – powiedział powoli. Postąpił kilka kroków, a po krótkiej chwili dodał: – Nie... nie piję alkoholu. Kręci się... wiruje... wiruje...

Potknął się na progu. Wszedł do pokoju. Poruszał się jak ślepiec. Ciężko opadł na krzesło. Pochylił się, podparł czoło dłońmi. Znieruchomiał. Jęknął cicho.

Isbister chodził w kółko, nerwowo, jak niedoświadczony gospodarz. Rzucił jakieś przypadkowe uwagi nie wymagające odpowiedzi. Znalazł portfolio, zaniósł je do stołu. Jego wzrok padł na stojący na kominku zegar.

– Nie wiem, czy zechce pan zjeść ze mną kolację – powiedział. W rękę trzymał nie zapalony papierosa. – Będzie tylko zimna baranina, niestety, ale baranina jest tu bardzo dobra. Walijska. No i ciasto z owocami. Chyba. – Zamilkł, a po chwili powtórzył: – Chyba.

Gość nie odpowiedział. Isbister zatrzymał się, przyjrzał mu uważnie. Zapalił zapałkę.

Cisza przedłużała się. Zapałka zgasła. Isbister odłożył niezapalony papierosa. Jego gość był dziwnie cichy, dziwnie nieruchomy. Wziął ze stołu portfolio, otworzył je, odłożył. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wyszeptał tylko „a może?”. Spojrzał na drzwi, potem na nieruchomego gościa. Na palcach wyszedł z pokoju, stąpając przesadnie ostrożnie i z każdym krokiem oglądając się za siebie. Cicho zamknął pokój.

Drzwi wejściowe do domu stały otworem. Wyszedł na ganek i dalej, na ścieżkę. Zatrzymał się przy tojadzie, rosnącym na końcu rabaty. Z tego miejsca przez otwarte okno widział gościa, siedzącego z głową wspartą na dłoniach. Nie poruszył się, nawet nie drgnął.

Przechodzące ulicą dzieci zatrzymały się, przyglądały artyście ciekawie. Właściciel łodzi wymienił z nim kilka uprzejmych słów. Isbister pomyślał, że być może wygląda dość szczególnie, nieprzekonywująco, stojąc tak beczynnym nie wiadomo po co i że byłby bardziej naturalny gdyby palił. Wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją powoli z kapciucha.

– Ciekawe... – powiedział, jakby odrobinę mniej zadowolony z siebie – ...w każdym razie trzeba dać mu szansę.

Energicznym ruchem zapalił zapałkę i zajął się fajką.

Usłyszał, jak za jego plecami z kuchni wychodzi gospodyni, przyświecając sobie latarnią. Odwrócił się i zatrzymał ją przy wejściu do saloniku. Gospodyni miała kłopoty ze zrozumieniem, co tłumaczy jej szeptem, machając fajką, bo przecież nie wiedziała nic o jego gościu. Odeszła w końcu, zabierając lampę, sądząc z zachowania nadal nie bardzo wiedząca, o co chodzi, a on pozostał w ogrodzie. Palił i już nie czuł się tak komfortowo. Fajka dawno zdążyła zgasnąć, zapadł zmrok, pojawiły się nietoperze, dopiero wówczas ciekawość przemogła jego rozliczne wahania. Wrócił do saloniku, stanął na progu swego pokoju. Obcy, ciemna plama na tle okna, nie zmienił pozycji. Ciszę bardzo spokojnego wieczora zakłócał tylko śpiew marynarzy, dobiegający z daleka, ze stojącego w porcie stateczku do transportu łupka. Od tła wzgórze odbijały proste nieruchome łodygi tojadu i ostróżki. Nagle w głowie Isbistera zrodziła się pewna myśl. Drgnął, pochylił się nad stołem, wsłuchał. Nieprzyjemne podejrzenie stawało się powoli jeszcze bardziej nieprzyjemną pewnością, zdziwienie przerodziło się w strach.

Nie słyszał oddechu siedzącej w jego pokoju postaci.

Obszedł dookoła stół, powoli, bezgłośnie. Zatrzymywał się dwukrotnie, nasłuchiwał. Nareszcie mógł oprzeć się dłonią na oparciu fotela. Przybliżył głowę do głowy gościa, blisko, jeszcze bliżej. Spojrzał mu w twarz. Drgnął, nie opanował krzyku, bo jego oczy były białe, tylko białe. Dopiero po chwili zorientował się, że są otwarte i wywrócone, źrenice nikły pod powiekami. To go przeraziło. Chwycił mężczyznę za ramiona, potrząsnął nim.

– Śpi pan? – spytał łamiącym się głosem. – Czy pan śpi?

Właściwie był już całkiem pewien, że jego gość nie żyje. Zaczął działać energicznie, hałasując. Przeszedł przez pokój, przez nieuwagę uderzył w stół. Zadzwoił.

– Proszę przynieść światło. Natychmiast – powiedział głośno w głąb pustego korytarza. – Coś się stało mojemu przyjacielowi.

Wrócił do siedzącej nieruchomo postaci, znów chwycił ją za ramiona, potrząsnął, krzyknął. Pokój zalało żółte światło, to pojawiła się gospodyni z lampą. Spojrzał na nią, mrugając szybko. Twarz miał bladą jak prześcieradło.

– Potrzebujemy lekarza – powiedział do niej. – On nie żyje. Albo ma jakiś atak. Czy w wiosce jest doktor? Gdzie go znajdziemy!?

ROZDZIAŁ II

TRANS

Stężenie kataleptyczne, ma które zapadł cierpiący na bezsenność mężczyzna, trwało niezwykle, bezprecedensowo długo, po czym ciało rozluźniło mu się i zwiotczało, co mogło sugerować osiągnięcie stanu wiecznego spoczynku. Dopiero wówczas udało się zamknąć mu oczy.

Przeniesiono go z hotelu do gabinetu lekarskiego w Boscastle, a stamtąd, po kilku tygodniach, do Londynu. Próby wybudzenia nie dawały żadnego rezultatu i po jakimś czasie z powodów, o których opowiemy później, prób tych zaniechano. Przez bardzo długi czas mężczyzna spoczywał w tym niezwykłym stanie, bezwładny i nieruchomy, ani żywy, ani martwy, jakby zawieszony między nicością a istnieniem. Był ciemnością, której nie rozświetlał najśłabszy choćby promień myśli lub doznania, pustką bez snów, spoczynkiem. Jątrzący niepokój jego umysłu w swym szczytowym natężeniu zmienił się nagle w ogromną ciszę. Gdzie człowiek ten przebywał w tej chwili? Gdzie przebywa człowiek doskonale niewrażliwy?

– Wydaje się, że było to zaledwie wczoraj – powiedział Isbister. – Pamiętam, co się zdarzyło, jakby zdarzyło się wczoraj, a być może nawet jaśniej i czystiej.

Mowa nadal o Isbisterze z poprzedniego rozdziału, ale już nie o młodym artyście. Jego włosy, niegdyś kasztanowate, bujne i odrobine za długie jak na wymagania mody, stały się stalowobiałe, nosił je zaś krótko przycięte. Błada twarz, na której często pojawiał się rumieniec, była teraz czerwona i lekko napuchnięta. Spiczastą bródkę gęsto przetykała siwizna. Rozmawiał ze starszym mężczyzną ubranym w letni płócienny garnitur (lato tego roku było wyjątkowo gorące). Mężczyzna nazywał się Warming, był londyńczykiem, prawnikiem i najbliższym krewnym Grahama, mężczyzny pogrążonego w transie. Stali obok siebie w pokoju londyńskiego domu, przyglądając się mu, leżącemu, nieruchomemu.

Pożółkłe, bezwładne ciało spoczywało na wodnym łóżku ubrane w luźną koszulę: wychudłą twarz, brodę jak szczecina, chude członki i długie paznokcie przykrywała skrzynia z cienkiego szkła. Szkło oddzielało śpiącego od rzeczywistego, toczącego się poza nim życia, do którego nie należał, dziwna, pojedyncza osobliwość. Obaj mężczyźni stali blisko osłony, przyglądając mu się uważnie.

– Przeżyłem straszny szok – powiedział Isbister. – Do tej pory aż trzęsę się na wspomnienie tych białych oczu. Wywrócił oczami, wie pan, widać było tylko białka. Kiedy tu teraz jestem, wracają wspomnienia.

– Nie widział go pan od tamtej chwili? – zdziwił się Warming.

– Bardzo chciałem – usprawiedliwił się Isbister – ale w naszych czasach interesy są tak ważne, że nie zostawiają człowiekowi wiele wolnego czasu. Przede wszystkim przebywałem w Ameryce.

– Był pan artystą, o ile pamiętam?

– Byłem. A potem ożeniłem się i bardzo szybko zorientowałem, że dla ludzi świat jest czarno-biały, przynajmniej dla większości przeciętnych ludzi. Postanowiłem to wykorzystać. Plakaty na klifach Dover zrobili moi ludzie.

– Są dobre, są bardzo dobre – przyznał adwokat – chociaż przykro widzieć je w takim miejscu.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba wytrzymają tak długo jak same klify. – Isbister był bardzo z siebie zadowolony. – Świat się zmienia. Kiedy on zasypiał, przed dwudziestu laty, siedziałem w Boscastle w towarzystwie pudełka farb wodnych, przepełniony szlachetnymi lecz staroświeckimi ambicjami. Nie spodziewałem się, że pewnego dnia moje farby będą zdobić całe wybrzeże Anglii, od Land's End i dookoła, aż po Lizard. Szczęście bardzo często pojawia się, kiedy najmniej się go spodziewamy.

Wydawało się, że Warming wątpi w jakość tego szczęścia. Ale powiedział tylko:

– O ile dobrze pamiętam, mijaliśmy się po drodze?

– Wrócił pan powozem, który zabrał mnie na stację kolejową w Cameldorf. Prawie spotkaliśmy się na jubileuszu, jubileuszu królowej Wiktorii. Pamiętam trybuny, flagi i awanturę z dorożkarzem w Chelsea.

– To była diamentowa rocznica. Druga.

– A tak! Ta właściwa, pięćdziesięciolecie, byłem wtedy w Wookey... ileż to czasu minęło! Ominęło mnie to wszystko... ależ mieliśmy z nim

kłopot! Gospodyni nie chciała go przyjąć, nie chciała zatrzymać, tak dziwie wyglądał, kiedy był sztywny. Musieliśmy zanieść go do hotelu razem z fotelem. A doktor z Botcastle, nie ten, którego mamy teraz, poprzedni, siedział przy nim aż do drugiej. Ja i gospodyni trzymaliśmy lampy i tak dalej.

– Chce pan powiedzieć, że był sztywny? Twardy?

– Oczywiście! Jak się go zgięło, tak zostawał. Gdyby postawił go pan na głowie, to by stał. To – skinął głową, wskazując leżącego pod szkłem – jest oczywiście coś zupełnie innego. A ten mały doktorek... jak się nazywał?

– Smithers.

– Aha, Smithers. No więc popełnił wielki błąd starając się przedwcześnie go obudzić, tak przynajmniej powszechnie uważano. Co on wyrabiał! Na tę myśl jeszcze dziś czuję obrzydzenie. Musztarda, tabaka, nakłuwania. I te potworności, nie dynama, ale...

– Cewki.

– No tak. Widać było, jak drżą mu mięśnie, jak się napinają, jak ciało wygina się we wszystkie strony. Dwie płonące świece, ruchome cienie na ścianach, nerwowy mały doktorek, udający takiego ważnego, no i on, wijący się w tym świetle w przedziwnie nienaturalny sposób. Do dziś miewam koszmary.

– To dziwny stan – przyznał Warming po długiej chwili milczenia.

– Coś w rodzaju absolutnej nieobecności – powiedział Isbister. – Mamy tu ciało... ale to jest puste ciało. Nie martwe, skądże, ale i nie żywe. Jak puste krzesło oznaczone napisem „zajęte”. Nie czuje, nie trawi, serce nie bije. Ani drgnie. Doprawdy trudno mi uznać, bym miał do czynienia z człowiekiem. W pewnym sensie jest bardziej martwy niż gdyby był martwy, bo doktorzy powiedzieli mi, że nawet włosy przestały mu rosnąć. U naprawdę nie żyjących rosną...

– Wiem – przerwał mu Warming. Przez jego twarz przemknął wyraz bólu.

Obaj w tej samej chwili spojrzeli przez tafłę szkła. Graham istotnie znajdował się w niezwyklej fazie zwiotczenia transu, fazie bez precedensu w historii medycyny. Zdarzało się, że człowiek przeżywał w takim stanie rok, ale potem albo wybudzał się z niego, albo umierał, albo też budził się by umrzeć. Na ciele Isbister zobaczył ślady zastrzyków substancji

odżywczych, bo tylko w ten sposób lekarze mogli je dostarczyć. Wskazał je Warmingowi, który bardzo starał się ich nie widzieć.

– Kiedy on tu leżał zmieniłem plany. – Isbister powiedział to tonem człowieka wspominającego dobrze przeżyte życie. – Zmieniłem plany, ożeniłem się, założyłem rodzinę, a mój najstarszy – wówczas nawet nie myślałem o synach – jest obywatelem amerykańskim i niedługo kończy studia na Harvardzie. Tymczasem ten biedak nie jest ani o rok starszy, ani mądrzejszy niż ja byłem za młodych lat. Dziwne, kiedy tak o tym pomyśleć.

Warming odwrócił się plecami do śpiącego.

– Ja też się postarzałem – przyznał. – Grałem z nim w krykieta jako chłopiec, a on przecież ciągle jest młody. Błady, być może, nawet sinawy, lecz mimo to, młody.

– A przecież była wojna – powiedział Isbister.

– Zaczęła się i skończyła.

– I Marsjanie. – Isbister zawahał się. – Jak rozumiem, miał on pewne skromne zasoby finansowe?

– Rzeczywiście. – Warming odchrząknął znacząco. – Tak się składa, że są one pod moją opieką.

– Ach! – Isbister znów się zawahał. – Bez wątpienia... skoro jego pobyt tu nie jest kosztowny – bez wątpienia środki te powiększają się... akumulują.

– Bez wątpienia. Jeśli obudzi się, to jako człowiek znacznie zamożniejszy niż kiedy zasypiał. Jeśli się obudzi.

– Jestem biznesmanem, więc oczywiście ta myśl przemknęła mi przez głowę. Nawet zastanawiałem się, że – oczywiście pod względem czysto finansowym – sen jest dla niego rodzajem szczęścia. Że wie, jeśli można tak powiedzieć, co zyskuje nie odzyskując zmysłów przez tak długi czas. Gdyby po prostu żył...

– Wątpię, by stać go było na taką premedytację. Nie należał od przewidujących ludzi. Prawdę mówiąc...

– Tak?

– Różniliśmy się pod tym względem. Byłem jego, jeśli można tak powiedzieć, opiekunem. Zapewne, tak długo zajmując się interesami widział pan, że rodzi to pewne tarcia... ale, w każdym razie, jakkolwiek się to zaczęło nie ma wątpliwości, że sen go wyczerpuje. Bardzo powoli, ale

wyczerpuje. Powoli, bardzo powoli, niemal niezauważalnie, ten człowiek ześlizguje się w dół długiego zbocza. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Szkoda, że nie zobaczymy, jaki będzie zdumiony. Przez dwadzieścia lat zmieniło się bardzo wiele, a on to przecież żywy Rip van Winkle.

– Wiele zmian, to prawda – przyznał Warming. – Między innymi i ja się zmieniłem. Jestem stary.

Isbister zawahał się wyczuwalnie i nieco za późno zaprotestował.

– Doprawdy? Nigdy bym nie powiedział.

– Miałem czterdzieści trzy lata kiedy jego bankierzy – pan pamięta, że depeszował do bankierów? – posłali po mnie.

– Dowiedziałem się adresu z książeczki czekowej, którą miał w kieszeni.

– No cóż, nie trudno jest dodać jedno do drugiego – westchnął Warming.

Panowie znów zamilkli na czas jakiś, ale w Isbisterze zwyciężyła ciekawość.

– Może trwać tak przez lata – zaczął i zawahał się. – Musimy wziąć to pod uwagę. Jego własność, rozumie pan, po latach może wpaść w... w niepowołane ręce.

– Proszę mi wierzyć, panie Isbister, że ten problem zaprzęta mnie nieustannie. Tak się składa... no, powiedzmy, że nie mamy godnych zaufania powiązań. Nasza sytuacja jest doprawdy groteskowa. Bez precedensu.

– Trzeba przyznać – przytaknął Isbister.

– Tą sprawą, jak sądzę, powinno zająć się jakieś ciało publiczne, taki nieśmiertelny strażnik. Jeśli ma żyć, a niektórzy lekarze uważają, że ma. Już skontaktowałem się z paroma osobami, ale na razie nic nie zostało przesądzone.

– Nie byłoby chyba złym pomysłem przekazanie go którejś z organizacji publicznych, Radzie British Museum albo Królewskiej Szkole Medycznej. Brzmi to dość dziwnie, zgoda, ale to jest dziwna sytuacja.

– Problem w tym, w jaki sposób skłonić ich, by go przyjęli.

– Biurokracja, jak mniemam?

– Częściowo.

Kolejna chwila milczenia.

– Z pewnością bardzo to niezwykle – przerwał je Isbister. – Procent składany mnoży zasoby.

– To prawda – przyznał Warming. – A teraz, gdy maleje wydobywanie złota, nabiera ono coraz większej wartości.

– Poczujęm to na własnej skórze – skrzywił się Isbister. – Ale dla niego to lepiej.

– Jeśli się przebudzi.

– Jeśli się przebudzi – powtórzył Isbister jak echo. – Widzi pan, jaki ma ostry nos? Jak zapadają mu się powieki?

Warming rzucił okiem na śpiącego. Zastanowił się.

– Wątpię, czy się obudzi – powiedział.

– Nigdy nie dowiedziałem się, skąd wzięła się ta jego... dolegliwość. Powiedział mi coś o przepracowaniu. Nie przestało mnie to interesować.

– Był człowiekiem wszechstronnie utalentowanym ale niesystematycznym, emocjonalnym. Miał poważne problemy rodzinne, rozwiódł się z żoną i by o tym zapomnieć, przynajmniej takie jest moje zdanie, rzucił się w wir polityki, tej najbardziej szalonej. Był fanatycznym radykałem, socjalistą, czy też typowym liberałem, jak nazywali się ci z zaawansowanej szkoły. Energiczny, niestały, niezdyscyplinowany. Za wiele pracy, za wiele kontrowersji, wszystko przez nie. Pamiętam broszurę jego autorstwa, dziwną, histeryczną, wir myśli. Były w niej jedno czy dwa proroctwa. Niektóre już się zdyskredytowały, inne są faktami ale gdy czyta się takie rzeczy człowiek przede wszystkim zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele zdarza się na świecie rzeczy nieprzewidzianych. Kiedy się obudzi będzie musiał wiele się nauczyć i wiele oduczyć. Jeśli się obudzi.

– Dałbym wszystko, by wówczas przy nim być – powiedział Isbister. – Tylko po to by usłyszeć, co powie o tym, co zobaczy.

– Ja też. Och, oczywiście, ja też! – Starszy mężczyzna uzalił się nad sobą. – Ale ja tego nie doczekam.

Stał nieruchomo, przyglądając się śpiącemu, wyglądającemu jak figura woskowa.

– Nigdy się nie przebudzi – westchnął. – Nigdy.

ROZDZIAŁ III

PRZEBUDZENIE

Ale Warming mylił się. Przyszła chwila, gdy śpiący się przebudził.

Jakże cudownie skomplikowaną rzeczą jest ta prosta jedność: ja! Kto wie, jak integruje się codziennie, rankiem, gdy budzimy się ze snu, gdy jednoczy się nieskończona liczba zmiennych, gdy odtwarzamy się, gdy nasz duch ożywa powoli, gdy nieświadomość przechodzi w podświadomość, podświadomość w świadomość, aż wreszcie potrafimy znów rozpoznać siebie. Co jest prawdziwe dla każdego z nas po dobrze przespanej nocy, było prawdziwe także dla Grahama u końca jego długiego snu. Mętny obłok zdarzeń nabrał kształtu, mglisty i posepny. Odczuł, że jest gdzieś, że leży słaby, lecz żywy.

Pielgrzymka do bycia, istnienia, wydaje się trudna i niezmiernie długa. Wszechogarniające sny, będące niegdyś strasznymi rzeczywistościami, pozostawiły splątane wspomnienia, dziwne stworzenia i dziwne pejzaże, pochodzące jakby z innej planety. Pozostało też wyraźne wspomnienie niesłuchanie ważnej rozmowy, nazwa – nie potrafił powtórzyć nazwy – dziwnego, niemal całkowicie zapomnianego wrażenia odczuwanego w naczyniach krwionośnych i mięśniach, beznadziejny wysiłek tonącego w ciemnościach. A także panorama oślepiających, drżących, lecz łączących się w całość scen...

Graham uświadomił sobie, że oczy ma otwarte i że patrzy tymi oczami na coś mu nieznanego, coś białego, krawędź czegoś, drewnianą ramę. Nieznacznie poruszył głowę, śledząc jej kontur. Biegł w górę, kończył się poza jego polem widzenia. Próbował dojść, gdzie się znajduje. Czy ma to jakieś znaczenie, zobaczyć własną nędzę? Barwa myśli: czarna depresja. Odczuwał nieokreślone cierpienie człowieka budzącego się o wczesnym świcie. Wydawało mu się, że słyszy szepty i szybko oddalające się kroki.

Zwykły ruch głowy wymagał od niego wielkiego wysiłku co świadczyło o tym, że jest bardzo słaby. Uznał, że zapewne leży w łóżku

w pokoju hotelowym tam, w dolinie... ale nie mógł przypomnieć sobie białej krawędzi. Musiał zasnąć. Pamiętał, tak, pamiętał, jak bardzo chciało mu się spać. Przypomniał sobie klif i kaskadę, i chyba rozmawiał wtedy z obcym człowiekiem...

Jak długo spał? Co znaczył ten tupot? I ten dźwięk, wznosi się, opada, jak szum załamującej się fali. Z trudem wyciągnął bezwładną rękę, sięgnął po zegarek, miał zwyczaj kłaść go na krzesło przy łóżku, ale dotknął nie krzesła, lecz gładkiej, twardej powierzchni przypominającej szkło. Zaskoczyło go to, niemal przeraziło, tak było nieoczekiwane. Obrócił się nagle, niespodziewanie dla samego siebie, na chwilę znieruchomiał patrząc w górę, a potem usiadł. Okazało się to zagadkowo trudne, z wysiłku zakręciło mu się w głowie. Zdumiewające.

Potał oczy. Zagadka otoczenia pozostała zagadką, niemniej jego umysł pracował prawidłowo, sen musiał mu pomóc. Nie leżał w łóżku, przynajmniej takim, które on sam nazwałby łóżkiem, lecz spoczywał nagi na bardzo miękkim, uginającym się łatwo materacu, pod pokrywą przyciemnionego szkła. Materac też był częściowo przezroczysty, co napawało go pewnym niepokojem, a pod nim znajdowało się lustro, odbijające niewyraźny obraz jego ciała. Na ramieniu – wstrząsnął nim widok jego własnej skóry, pożąłkłej i wiotkiej – przymocowany miał dziwny gumowy aparat, założony tak pomysłowo, że jakby przenikał ciało zarówno od góry, jak i od dołu. A samo łóżko spoczywało w skrzynce z zielonkawego (przynajmniej jemu wydawało się zielonkawe) szkła, oprawionego szkieletem z białego drewna, to jego fragment zobaczył gdy tylko otworzył oczy. W narożniku skrzynki, na specjalnym regale, stały lśniące, kruche aparaty, ich znaczenia nie pojmował. Udało mu się tylko rozpoznać termometry do pomiaru temperatury maksymalnej i minimalnej.

Zielonkawa barwa otaczającego go ze wszystkich stron, przypominającego szkło materiału nie pozwalało widzieć wyraźnie tego, co znajdowało się po drugiej stronie, mógł jednak przynajmniej stwierdzić, że znajduje się w dużej sali, prezentującej się wręcz imponująco. Przed sobą miał ogromny prosty biały łuk. Blisko przy ścianie nakrywającej go skrzyni widział meble: stół przykryty obrusem srebrzystym jak rybia łuska oraz kilka krzeseł o eleganckim kształcie. Na stole stały talerze, pełne, wraz z butelką i dwiema szklankami. Uświadomiło mu to, że jest głodny.

Nie dostrzegł natomiast żadnego człowieka. Po chwili wahania zdecydował się wstać z przezroczystego materaca, stanąć na czystej białej podłodze małego pokoiku. Jednak źle ocenił siły, zachwiał się i by zachować równowagę musiał oprzeć się o szklaną tafłę przed sobą. Przypominający szkło materiał ugiął się pod jego dotykiem, odkształcił jak nadymany pęcherz, po czym pękł z trzaskiem i znikł, jak przekłuty balon. Przebudzony na pół wyszedł, na pół wypadł ze swego pokoiku do sali, w której się znajdował, zdumiony do granic możliwości. Utrzymał równowagę opierając się na stole – jedna ze szklanek spadła z głośnym trzaskiem, ale się nie rozbiła – i bezwładnie padł na krzesło.

Po pewnym czasie odzyskał panowanie nad sobą. Napełnił z butelki stojącą na stole szklanę. Bezbarwny płyn nie był wodą, miał miły zapach i smak, i natychmiast dodawał energii. Odłożył szklanę, rozejrzał się dookoła.

Apartament nic nie stracił ze swej wspaniałości nawet teraz, kiedy widział go już bezpośrednio, a nie przez zielonkawą przezroczystą zasłonę. Pod łukiem zaczynały się schody, biegnące w dół, nie było przed nimi drzwi. U stóp schodów znajdował się szeroki poprzeczny korytarz. Biegł on między polerowanymi podporami z ciemnoniebieskiego materiału, gęsto poznaczonego białymi żyłkami. Dobiegały z niego dźwięki świadczące o obecności ludzi: odgłosy kroków, rozmowy i niegłośny ciągły szmer. Graham zdążył już całkowicie oprzytomnieć. Siedział wyprostowany, nadsłuchiwał z taki natężeniem, że całkiem zapomniał o jedzeniu.

Dopiero teraz wstrząsnęła nim świadomość, że przecież jest nagi. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś okrycia i zobaczył rzuconą niedbale na jeden z foteli długą czarną szatę, Owinał się nią. Siedział nieruchomo, drżąc na całym ciele. Myśli szaleńczo wirowały mu w głowie. Spał, to było jasne. Został gdzieś przeniesiony we śnie. Ale gdzie? Kim byli ci ludzie, sądząc z tego, co słyszał, liczni ludzie, ukryci za rzędem niebieskich podpór? Czy to Boscastle? Znów napełnił szklanę, wypił kilka łyków przezroczystego płynu.

Czym było to miejsce? Delikatnie, podpowiadały mu zmysły, wibrujące, jakby było obdarzone życiem. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie czystemu, pięknemu wnętrzu, całkowicie pozbawionemu ornamentyki. Dostrzegł, że w jednym miejscu na suficie jest otwór, owalny świetlik rozjaśniony jasnym blaskiem. Gdy na niego patrzył blask przybladł, nad

światlikiem przepłynął niespiesznie jakiś cień, znikł, pojawił się nowy i znów znikł. Każdy z tych cieni wydawał dźwięk, równomierny stukot wyraźnie słyszalny w wypełniającym powietrze stłumionym szumie.

Zawołałby, oczywiście, że by zawołał, ale z jego ust wydobywały się tylko ciche dźwięki. Wstał i niepewnym krokiem pijaka podszedł do łuku. Niemal stoczył się po schodach, potknął się o rąbek długiej szaty, w którą sam się ustroił, przed upadkiem uratował się chwytając krawędź niebieskiego wspornika.

Korytarz był długi, niebiesko-filetowy. W perspektywie przechodził w szeroką salę ograniczoną balustradą, coś w rodzaju balkonu, jaskrawo oświetlonego, wysuniętego w ogromną przestrzeń, wyglądającą jak wnętrze budynku. Daleko, niemal na horyzoncie, widać było niewyraźnie jakieś konstrukcje architektoniczne. Głosy, które słyszał wcześniej, tu brzmiały czyściej i znacznie donośniej. Przy balustradzie stały trzy odwrócone do niego plecami postaci, ubrane luźne, wygodne stroje, różnobarwne, lecz nie krzykliwe. Ludzie ci, jak się wydawało, pogrążeni byli w ożywionej rozmowie. Do uszu Grahama dobiegały donośne głosy wielkiego tłumu, w pewnym momencie nad balustradą pojawiło się coś wyglądającego jak górna część transparentu i zaraz nikło. Coś innego, dziwnego, jasnoniebieskiego, być może nakrycie głowy, wleciało wysoko i spadło na balkon. Okrzyki wznoszono po angielsku, przeważało w nich słowo „budzić”. Usłyszał nieartykułowany piskliwy krzyk, trzej mężczyźni wybuchli nagle serdecznym śmiechem.

– Ha, ha, ha! Śpiący przebudzony! – prychnął jeden z nich, rudowłosy, w krótkiej fioletowej szacie.

Powiódł roześmianymi oczami wzdłuż korytarza. Twarz mu się zmieniła i on sam się zmienił, spoważniał, znieruchomiał. Jego towarzysze także się odwrócili i także znieruchomieli. Na ich twarzach pojawił się niepokój, ustąpił miejsca zdumieniu.

Pod Grahamem, nagle, ugięły się kolana. Dłoń oparta o wspornik opadła bezwładnie. Zachwiał się i upadł na twarz.

ROZDZIAŁ IV

ZGIEŁK I ZAMIESZANIE

Ostatnim, co umysł Grahama zarejestrował przed utratą przytomności, było bicie dzwonów. Później dowiedział się, że nieprzytomny, zawieszony między życiem i śmiercią, przebywał przez niemal godzinę. Zmysły odzyskał leżąc na przezroczystym materacu. W gardle oraz sercu czuł ciepło i drżenie. Zauważył, że z ramienia zdjęto mu aparat, a na jego miejscu pojawił się bandaż. Biały drewniany szkielet pozostał na miejscu, znikła natomiast zielonkawa przezroczysta substancja, która go wypełniała. W jego twarz wpatrywał się z napięciem mężczyzna w ciemnofioletowej szacie, jeden z trójki tych, których wcześniej widział na balkonie. Dzwony biły nadal, nadal słyszał też głosy ludzkie, każące mu wyobrazić sobie wielki tłum wznoszący okrzyki. Nagle zapadła cisza, jakby ktoś zatrzasnął drzwi.

Graham lekko poruszył głową.

– Co to znaczy? – spytał. – Gdzie jestem?

Spojrzał na rudego mężczyznę – tego który pierwszy go zauważył. Jakiś głos zapytał chyba, co mówi, ale zaraz ucichł. Mężczyzna w fioletowej szacie odpowiedział mu cichym głosem. Mówił po angielsku z obcym akcentem, a przynajmniej akcent ten wydawał się obcy Przebudzonemu.

– Jest pan całkiem bezpieczny. Przeniesiono tu pana z miejsca, w którym pan zasnął. Jest pan bezpieczny. Przebywa pan tu od dłuższego czasu. Spał pan. Był w transie.

Powiedział coś jeszcze, ale Graham już tego nie dosłyszał. W jego rękę pojawiła się mała ampułka. Na jego czole osiadła chłodna mgiełka, dzięki niej poczuł się znacznie odświeżony. Zamknął oczy.

– Lepiej? – spytał go mężczyzna we fioletach. Graham otworzył oczy. Mówił do niego sprawiający bardzo korzystne wrażenie mężczyzna około trzydziestki, z jasną jak len spiczastą bródką. Pod szyją fioletowej szaty widać było złotą zapinkę.

– Tak – odparł Graham.

– Spał pan przez dłuższy czas. Był pan w transie kataleptycznym. Słyszał pan o tym? O katalepsji? Na początku wiele rzeczy będzie się panu wydawać dziwnymi, ale proszę być pewnym, że wszystko jest w porządku.

Graham nie odpowiedział wprawdzie, ale słowa te rzeczywiście dodały mu odwagi. Dokładnie obejrzał twarze trzech stojących nad nim mężczyzn. Mężczyźni przyglądali mu się dziwnie. Wiedział, że powinien być gdzieś w Kornwalii, ale to, czego zdążył doświadczyć jakoś nie kojarzyło mu się z Kornwalią.

Myślą wrócił do ostatnich chwil przed snem, do Boscastle i do decyzji podjętej, ale w końcu niezrealizowanej.

– Depeszowaliście do mojego kuzyna? – spytał. – E. Warming, 27 Chancery Lane?

Mężczyźni słuchali go bardzo uważnie, mimo to musiał powtórzyć swe słowa.

– Jak on niewyraźnie mówi – szepnął rudy.

– Depesz... przepraszam, co, proszę pana? – spytał ten młody, z jasną brodą. Wydawał się bardzo zaskoczony.

– Ma na myśli elektryczny telegram – wyjaśnił trzeci. Miał najwyżej dwadzieścia lat i bardzo przyjemną twarz.

– Ach! – krzyknął jasnobrody. – Już rozumiem. Ale ze mnie głupiec. Może pan być pewien, że załatwimy wszystko jak potrzeba – zwrócił się do Grahama. – Obawiam się, że nie zdołamy zadepe... depeszować do pańskiego kuzyna. Nie ma go w Londynie. Ale proszę się o nic nie martwić. Spał pan bardzo długo, z tym musimy sobie poradzić przede wszystkim. Proszę pana. – Graham uznał, że to ostatnie słowo to rzeczywiście „pan”, chociaż brzmiało jak „paaana”.

– Och – westchnął i umilkł.

To, co się z nim działo, wydawało mu się bardzo zagadkowe, ale ludzie w dziwnych ubraniach z pewnością wiedzieli, co robią. Mimo że byli tacy dziwni i ta sala też była dziwna. Znalazł się w jakimś nowopowstałym miejscu. Nagle wydało mu się to podejrzane. Z pewnością nie wystawiono go na widok publiczny! Bo jeśli tak, będzie miał Warmingowi sporo do powiedzenia. Ale coś takiego nie wydawało się prawdopodobne. No i nie pokazywano by go ludziom nagiego!

Nagle, gwałtownie, w jednej chwili, uświadomił sobie, co rzeczywiście zaszło. Odbyło się to bez narastania podejrzeń, bez prób zrozumienia. Wiedział już, że przeżył w transie bardzo wiele lat, jakby w jakiś sposób, być może przez czytanie w myślach, udało mu się właściwie zinterpretować wyraz zdumienia w pochylających się nad nim twarzach trzech mężczyzn. Przeszywał ich teraz spojrzeniem, jednego po drugim, tylko w ten sposób dając wyraz szalejącym w jego sercu emocjom. Wydawało mu się, że odczytują je zaledwie patrząc mu w oczy. Ułożył wargi tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić słowa. Gdy tylko zorientował się, co mogło się z nim stać, odczuł dziwny przymus ukrywania myśli. Przeniósł spojrzenie na swe nagie stopy. Nie miał już ochoty nic mówić. Drżał na całym ciele.

Podano mu różowy płyn z zielonkawym pobłyskiem, o mięsny smaku. Uczucie, że siły mu wracają, wzmogło się.

– Dziękuję. Czuję się o wiele lepiej – powiedział ochryple. Jego słowom odpowiedziały pomruki pełnego szacunku uznania. Próbował powiedzieć coś jeszcze. Nie mógł. Zmusił krtań do wysiłku. Spróbował po raz trzeci.

– Jak długo? – spytał spokojnym, pewnym głosem. – Jak długo spałem?

– Dość długo. – Powiedział to młody człowiek z jasną brodą. Zerknął na swych towarzyszy, najpierw jednego, potem drugiego.

– Jak długo?

– Bardzo długo.

– To oczywiste. – Graham zirytował się nagle. – Ale chcę... czy... czy... czy to były lata? Kilka lat? Ile? Było coś... ale zapomniałem, co. – Głos mu się załamał. – Proszę, bądźcie wobec mnie szczerzy. Jak długo...?

Urwał. Oddychał szybko, nieregularnie. Przyłożył do oczu dłonie zaciśnięte w pięści, przycisnął. Czekał na odpowiedź.

Mężczyźni rozmawiali między sobą, za cicho by mógł usłyszeć, o czym.

– Pięć albo sześć lat? – spytał Graham ledwie słyszalnie.

– O wiele dłużej.

– Dłużej?

– Tak. Dłużej.

Patrzył na trzech mężczyzn. Miał wrażenie, że to złośliwe duszki wprawiają w drżenie mięśnie jego twarzy. Nie musiał mówić, pytanie było

w jego oczach.

– Wiele lat – powiedział rudobrody.

Graham usiadł z wysiłkiem. Chudą dłonią otarł z policzków wydzielinę łzową. „Wiele lat” – powtórzył. Zamknął oczy, zacisnął powieki, a po chwili rozchylił je i tylko rozglądał się dookoła, widząc same nieznane mu rzeczy.

– Jak wiele tych lat?

– Musi pan przygotować się na zaskoczenie.

– No i?

– Więcej niż gros.

Zirytowało go to dziwne słowo.

– Więcej niż co?

Dwóch mężczyzn rozpoczęło rozmowę. Nastąpiła krótka wymiana zdań, z której zdołał wyłapać tylko słowo „dziesiętny”.

– Co to znaczy? – przerwał im. – Jak długo. Nie bawcie się ze mną, tylko powiedzcie, proszę.

I znów ta cicha wymiana zdań, ale tym razem usłyszał więcej. Trzy słowa: „ponad dwa wieki”.

– Co? – Graham spojrzał na młodego człowieka. Wydawało mu się, że to on je wypowiedział. – Co mówicie...? Dwa wieki?

– Tak – potwierdził rudobrody. – Dwieście lat.

Graham powtórzył te słowa. Przygotował się na długi czas, ale stulecia kompletnie go oszołomiły.

– Dwieście lat – powtórzył raz jeszcze. Bardzo powoli zaczął uświadamiać sobie, jak strasznie jest to wiele. – Och, ale...

Trzej mężczyźni milczeli.

– Powiedzieliście... czy powiedzieliście...?

– Dwieście lat. Dwa wieki lat – powiedział rudobrody.

Milczenie. Graham rozpoznał po ich twarzach, że mężczyźni ci powiedzieli mu prawdę.

– To niemożliwe – zaprotestował łamiącym się głosem. – To mi się śni. Transy... transy nie trwają tak długo. To nie jest tak... żartujecie sobie ze mnie, prawda? Powiedzcie... zaledwie kilka dni temu szedłem wzdłuż wybrzeża w Kornwalii... – głos odmówił mu posłuszeństwa.

Mężczyzna z jasną brodą zawahał się.

– Nie jestem zbyt mocny w historii – powiedział cicho. Spojrzał pytająco na przyjaciół.

– Tak było, proszę pana – przytaknął ten młody. – Bostcastle, w starym Księstwie Kornwalii. To na południowym zachodzie, za łąkami. Pastwiskami. Byłem tam.

– Bostcastle. – Graham skupił na nim uwagę. – Tak, Bostcastle, małe Bostcastle. Tam zasnąłem, gdzieś tam. Nie pamiętam dokładnie. Nie pamiętam! – Chwycił się za głowę. – Przeszło dwieście lat!

Zaczął mówić, szybko. Jego twarz drżała w tiku, ale serce już mu się uspokoiło.

– Ale... jeśli naprawdę minęło dwieście lat to znaczy, że wszyscy, których znałem, z którymi się stykałem, każdy, z kim zamieniłem choćby słowo, jest martwy. – Nie doczekał się odpowiedzi. – Królowa i rodzina królewska, ministrowie, funkcjonariusze kościoła i państwa, znani i nieznani, bogaci i biedni... czy ciągle jesteśmy w Anglii? Ach, to pocieszające. Czy Londyn istnieje? To jest Londyn, tak? Kim jesteście? Moim asystentem i opiekunem? Oni też? Oni też są moimi asystentami i opiekunami? – Usiadł, patrzył przed siebie ponuro. – Skąd się tu wzięłem? Nie, nic nie mówcie. Bądźcie cicho. Dajcie mi...

Siedział w milczeniu, trąc oczy, a kiedy podniósł wzrok zobaczył wyciągniętą ku niemu małą szklankę z różowym płynem. Wypił go, a potem rozplakał się, naturalnie i odświeżająco, a po chwili roześmiał przez łzy, niezbyt mądrze.

– No nie... dwieście lat – wykrztusił, skrzywił się i znów zasłonił twarz.

W końcu zdołał się uspokoić. Siedział z bezwładnymi ramionami opartymi na kolanach, niemal dokładnie tak jak wtedy, gdy Isbader znalazł go na klifie w Pentragen. Jego uwagę przykuł niski rozkazujący głos i odgłos mocnych kroków kogoś wysoko postawionego.

– Co wy wprawiacie! Dlaczego mnie nie uprzedzono? Z pewnością widzieliście, na co się zanosi! Ktoś mi za to odpowie! Ten człowiek potrzebuje spokoju! Zamknęliście drzwi? Wszystkie drzwi? Musi mieć całkowity, absolutny spokój! Nie wolno mu nic mówić. Nic mu nie powiedzieliście?

Jasnobrody mruknął coś pod nosem. Ponad jego ramieniem Graham zobaczył zbliżającego się do nich tęgiego, przysadzistego, gładko ogolonego mężczyznę o orlim nosie, krótkiej grubej szyi i kwadratowej

brodzie. Bardzo gęste czarne, niemal, zrosnięte brwi, biegnące nisko nad ciemnoszarymi oczami, nadawały jego twarzy dziwnie uroczysty i zarazem groźny wyraz. Obrzucił Grahama krótkim gniewnym spojrzeniem, po czym skupił całą swą uwagę na młodym mężczyźnie z jasną brodą.

– A wy – powiedział nie ukrywając irytacji – lepiej stąd wyjdźcie.

– Mamy wyjść? – zdziwił się rudobrody.

– A tak, macie wyjść i to w tej chwili. Nie zapomnijcie zamknąć za sobą drzwi.

Dwaj mężczyźni, do których się zwrócił, pożegnali Grahama spojrzeniami, odwrócili się i posłusznie ruszyli do wyjścia, ale nie w stronę łuku, jak można się było spodziewać, lecz przeciwną, ku ślepej, wydawałoby się, ścianie. Gdy się do niej zbliżyli szeroki pas pozornie solidnego muru poruszył się z lekkim trzaskiem i uniósł, a po ich wyjściu opadł na miejsce. Graham pozostał sam z tęgim mężczyzną oraz z jasnobrodym, odzianym w fiolety.

Przez dłuższą chwilę nowo przybyły, nie poświęcając mu uwagi, wypytywał jasnobrodego, będącego jego podwładnym, o to, jak się nim zajmowali i co mu podano. Mówił wyraźnie, ale nie wszystko dawało się zrozumieć. Przebudzenie śpiącego, jak się wydawało, nie tylko zaskoczyło go, ale także zirytowało i wprawiło w konsternację. Niewątpliwie był bardzo niespokojny.

– Nie wolno wam mieszać mu w głowie informacjami – powtarzał raz za razem. – Nie wolno wam mieszać mu w głowie!

Uzyskawszy odpowiedzi na zadane pytania, tęgi mężczyzna spojrział na przebudzonego. Jego spojrzenie nie wyrażało niczego.

– Dziwnie pan się czuje? – spytał.

– Bardzo dziwnie – przyznał Graham.

– Świat, a raczej to, co pan do tej pory widział ze świata, wydaje się panu dziwne?

– Będę musiał w nim żyć, jak dziwnym by mi się zdawał.

– No tak, trudno odmówić panu racji.

– W takim razie, po pierwsze, powinienem chyba dostać jakieś ubranie?

– Ubranie... – tęgi mężczyzna umilkł. Spojrział na jasnobrodego. Jasnobrody odwrócił się bez słowa i wyszedł – ...zostanie panu dostarczone w tej chwili.

– Czy to prawda, że spałem dwieście...?

– Powiedzieli panu, jak widzę – przerwał mu tęgi. – Dokładnie dwieście i trzy.

Graham zaakceptował odpowiedź, nie miał innego wyjścia, uniósł tylko brwi i zacisnął wargi. Milczał przez chwilę, a potem zadał pytanie.

– Jest tu w pobliżu elektrownia? Prądnica? – Nie czekał na odpowiedź.
– Wiele musiało się zmienić. Bardzo zmienić. Co to za krzyki? – zainteresował się nagle.

– Nic takiego – odparł krótko tęgi mężczyzna. – Ludzie. Wszystko pan zrozumie. We właściwym czasie. Zapewne. Sam pan powiedział, że wiele musiało się zmienić. – Mówił niecierpliwie, krótkimi zdaniami, brwi miał zmarszczone. Przyglądał się Grahamowi jakby musiał podjąć trudną decyzję w niebezpiecznej sytuacji. – Potrzebuje pan ubrania i innych rzeczy, to jest w tej chwili najpilniejsze. Proszę tu na mnie poczekać. Nikt się do pana nie zbliży. Powinien się pan też ogolić.

Graham pogładził się po brodzie.

Jasnobrody powrócił. Podchodził już do nich kiedy nagle zatrzymał się, odwrócił, nasłuchiwał, a potem spojrzał na tęgiego i uniósł brwi. Następnie szybko przeszedł przez łuk na balkon. Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Tęgi też przysłuchiwał się im przez chwilę, a potem zaklął pod nosem i utkwiał w Grahamie nieprzyjemne spojrzenie. Męskie głosy, bardzo liczne, to wznosiły się, to opadały, słuchać było głośnie krzyki i rozpaczliwe wrzaski, w pewnym momencie do tumultu dołączyły dźwięki przypominające uderzenia, wrzaski stały się piskliwe, rozległy się trzaski jakby łamanych suchych gałęzi. Graham nastawił uszu. Bardzo pragnął usłyszeć coś zrozumiałego w niezrozumiałym hałasie.

I w końcu zrozumiał. Tłum wykrzykiwał trzy słowa. Zwątpił świadectwu swych zmysłów lecz niesłusznie, bo to z pewnością było to. „Chcemy widzieć przebudzonego! Chcemy widzieć przebudzonego!”.

Tęgi mężczyzna ruszył biegiem. Zatrzymał się pod łukiem.

– To rozruchy! – krzyknął. – Skąd oni wiedzą? Bo wiedzą, prawda? Czy tylko się domyślają?

Zapewne usłyszał jakąś odpowiedź.

– Muszę tu zostać – powiedział. – To nim muszę się zaopiekować! Powstrzymaj ich, z balkonu!

Graham nie usłyszał odpowiedzi.

– Powiedz, że się nie obudził. Powiedz cokolwiek. Zostawiam to tobie.

Równie pospiesznie jak odszedł, wrócił do Grahama.

– Musi pan dostać ubranie, natychmiast. Nie może pan tu zostać... a niemożliwe będzie...

Odszedł. Graham wykrzyczał za nim pytanie, pozostało bez odpowiedzi. Po chwili wrócił.

– Nie jestem teraz w stanie wyjaśnić panu, co się dzieje. To zbyt skomplikowane, żeby dało się ująć w dwóch słowach. Twoje ubranie będzie gotowe już za chwilę. Tak, za chwilę. A potem zabiorę cię daleko stąd. O naszych kłopotach dowiesz się aż za szybko.

– Te głosy... te głosy krzyczały...

– Krzyczały coś o przebudzonym. Czyli o tobie. Mają jakieś dziwne pomysły. Nie wiem, jakie. W ogóle nic nie wiem.

Dalekie, nieartykułowane głosy przeciął przeraźliwy dźwięk dzwonka. Tęgi mężczyzna podbiegł do szeregu dziwnych przyrządów. Słuchał z napięciem, wpatrzony w kryształową kulę. Skinął głową, powiedział kilka niewyraźnie brzmiących słów. Podszedł do ściany, która otworzyła się poprzecznie. Ściana znów przesunęła się w górę, a on stanął i czekał.

Graham uniósł rękę. Zdumiało go, jak wiele siły przywróciły mu tutejsze środki wzmacniające. Postawił na podłodze najpierw jedną nogę, potem drugą. Już nie czuł zawrotów głowy. Trudo mu było uwierzyć w tak raptowne wyzdrowienie. Siedział obmacując członki.

Pod łukiem pojawił się jasnobrody. Jednocześnie przed tęgiego zjechała klatka windy. Przyjechał nią smukły, siwobrody mężczyzna ubrany w dopasowany ciemnozielony strój. W ręku trzymał belę materiału.

– To krawiec – powiedział tęgi, wskazując gestem szczupłego. – Ta czerń zupełnie do pana nie pasuje. Nie wiem, jak się tu dostała, ale dowiem się, dowiem. – Zwrócił się do krawca. – Proszę skrócić czas do minimum – rozkazał.

Mężczyzna w zieleni ukłonił się, podszedł do Grahama, usiadł obok niego na łóżku. Zachowywał się bardzo uprzejmie, ale jego oczy płonęły ciekawością.

– Z pewnością uznasz, panie – on też dziwnie przedłużał „a” – że moda bardzo się zmieniła. Spojrzał na przysadzistego spode łba, po czym rozwinął belę. Na kolana wypadły mu płachty materiałów w jaskrawych barwach. – Żyłeś w czasach w zasadzie cylindrycznych. Wiktoriańskich. Z tendencją do półkul w przypadku kapeluszy. Wszędzie wycinki koła.

Teraz – pokazał małe urządzenie wielkości zegarka bez kluczyka do nakręcania, pokręcił gałką i oczom Grahama ukazała się mała postać w bieli, jak przy użyciu kinetoskopu. Chodziła tam i z powrotem, obracała się. Krawiec ujął w dłoń płachtę niebieskobiałego atłasu. – To mój pomysł, na najbliższa przyszłość.

Podszedł do nich tęgi.

– Mamy bardzo mało czasu – przypomniał.

– Proszę mi zaufać – uspokoił go krawiec. – Moja maszyna jest w pobliżu. Co o tym sądzicie?

– A co to jest? – spytał człowiek z XIX wieku.

– W pańskich czasach pokazano by panu żurnal – wyjaśnił krawiec. – To jest współczesny wynalazek. O, proszę. – Małe postać powtórzyła swe ruchy, ale w innych szatach. – Można i tak. – Kolejne kliknięcie. Na tarczy pojawiła się postać ubrana bardziej uroczyście. Ruchy krawca były bardzo szybkie. Pokazując Grahamowi stroje jednocześnie dwukrotnie zerknął w stronę windy. A winda zamruczała znowu. Wysiadł z niej ostrzyżony na jeża, anemiczny chłopak o chińskich rysach twarzy, odziany w szatę z szorstkiego bladoniebieskiego płótna. Popychał maszynę, poruszającą się bezgłośnie na rolkach. Mały kinetoskop został natychmiast porzucony i zapomniany. Grahama poproszono, by stanął naprzeciw maszyny, a krawiec wydał chłopcu kilka poleceń, na które reakcją były gardłowe chrząknięcia i jakieś niezrozumiałe słowa. Chłopiec odszedł w róg pomieszczenia i rozpoczął w nim niepojęty monolog, zaś krawiec wyciągnął z maszyny rozkładane ramiona, kończące się małymi dyskami. Dyski przyłożył płasko do ciała Grahama, po jednym na obu łopatkach i łokciach, jeden na szyi i tak dalej. Użył ich około czterdziestu, nałożonych na korpus i kończyny. Windą przyjechała kolejna osoba, ale Graham nie widział jej, bo stanęła za jego plecami. Maszyna ruszyła, jakieś części, skryte w korpusie, poruszały się rytmicznie wydając przy tym ciche brzęki. Po krótkiej chwili krawiec przerzucił dźwignie i Graham odzyskał wolność. Krawiec oddał mu czarne okrycie, a jasnobrody poczęstował go szklaneczką orzeźwiającego płynu. Spod jej krawędzi przyglądał się chłopakowi, wpatrującemu się w niego z niezwykłym natężeniem.

Tęgi mężczyzna chodził po pokoju, jakby czymś rozdrażniony. Gdy maszyna ucichła, przeszedł pod łukiem na balkon. Nadal dochodził stamtąd dźwięk wielu głosów, rytmiczny, to wznoszący się, to opadający.

Ostrzyżony na jeża młodzieniec podał krawcowi belę jasnoniebieskiego atłasu. Następnie obaj wsunęli ją w maszynę w sposób przypominający umieszczanie roli papieru w dziewiętnastowiecznej maszynie drukarskiej. Następnie przepchnęli ją, bez wysiłku i bezgłośnie, w najdalszy kąt pomieszczenia, gdzie ze ściany wychodził wdzięczny łuk przewodu. Podłączyli kabel. Maszyna rozpoczęła pracę, sprawnie i szybko.

– O co chodzi? – spytał Graham, wskazując szklaneczką bardzo zajętych czymś ludzi, a jednocześnie próbując zignorować utkwione w nim spojrzenie nowo przybyłego. Przygotowują się... do użycia... do użycia siły?

– Tak – przyznał jasnobrody.

– To kim on jest? – machnął ręką w stronę łuku.

Mężczyzna w fioletach pogładził krotką bródkę.

– To Howard – powiedział, zniżając głos. – Główny opiekun. Rozumie pan – znów zabrzmiało dziwne, przeciągnięte „a” – pewne sprawy trudno jest wyjaśnić. Rada mianuje opiekuna i jego asystentów. To wewnątrz było otwarte dla publiczności, choć pod pewnymi warunkami. Żeby ludzie mogli nasycić ciekawość. Dziś po raz pierwszy je zamknęliśmy. Ale sądzę... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to niech on wszystko panu wyjaśni.

– Dziwne – powiedział Graham. – Opiekun? Rada? – Odwrócił się plecami do chłopca. – Dlaczego on tak na mnie patrzy? – spytał. Jest hipnotyzerem?

– Hipnotyzerem? Jest kapiloptomistą.

– Kapiloptomistą?

– I to jednym z najważniejszych. Rocznie zarabia sześćtuzę lwów.

Nie miało to żadnego sensu. Umysł Graham, wytrącony z równowagi, uczeplił się ostatnich słów.

– Sześćtuzę lwów?

– Nie mieliście lwów? No nie, zdaje się, że nie. Tylko stare funty. To nasza jednostka monetarna.

– To słowo, którego pan użył? Sześćtuza?

– A tak. Sześć tuzinów, panie. Zmieniło się wiele rzeczy, także drobnych. Pan żył w czasach arabskiego systemu dziesiętnego: dziesiątki, małe setki, tysiące. Nasz system jest jedenastkowy. Mamy osobne symbole na dziesięć i jedenaście, podwójny symbol na dwunastkę, dwanaście

dwunastek to gros, duża setka, rozumie pan, dwanaście grosów to tuzon, a tuzon tuzonów: myrion. Bardzo proste, prawda?

– Chyba tak – przyznał. – A ten hałas? O co chodziło?

Jasnowłosa obejrzał się przez ramię.

– Ach, jest ubranie!

Graham odwrócił szybko. Tuż obok niego stał uśmiechnięty krawiec, przez ramię przerzucone miał lśniąca nowością ubranie. Kiedy tak patrzył na nie z niedowierzaniem, ostrzyżony na jeża chłopiec za jedno kółko pociągnął maszynę w stronę windy. Przesuwała się cicho, nie sprawiając mu żadnych kłopotów.

– Nie chce pan chyba powiedzieć...

– Przed chwilą skończone. – Krawiec rzucił ubranie u stóp Grahama, podszedł do łóżka, zaledwie przed chwilą zwolnionego, wyłączył przezroczysty materac, a na jego miejsce włączył lustro. W tym samym momencie przeraźliwe brzęczenie sygnału przywołało tęgiego do kąta. Jasnobrody podszedł do niego szybkim krokiem, a potem równie szybko znikł pod łukiem.

Krawiec pomógł Grahamowi ubrać się w rodzaj kombinezonu ciemnofioletowej barwy: skarpety, spodnie i kamizelka w jednym. Tęgi odszedł z narożnika, a jednocześnie wrócił jasnobrody. Spotkali się pośrodku pomieszczenia. Rozpoczęli rozmowę, cichą, ale obaj byli czymś widocznie zaniepokojeni.

Na fioletową bieliznę Grahamowi założono tymczasem całkiem skomplikowaną bladoniebieską szatę. Znów odziany zgodnie z obowiązującą modą zobaczył w lustrze swą ziemistą twarz, nieogoloną, z rozwichrzoną brodą. Nadal zaniedbany przynajmniej nie był już nagi. Wydał się też sobie elegancki, w jakiś niewytłumaczalny sposób.

– Muszę się ogolić!

– Za chwilę – powiedział Howard.

Przenikliwa obserwacja dobiegła końca. Młody człowiek zamknął oczy, otworzył je, wyciągnął szczupłą dłoń. Podszedł do Grahama. Powoli poruszając dłonią obejrzał go od stóp do głów.

– Usiądźmy – powiedział Howard niecierpliwie. Jasnobrody natychmiast przystawił Grahamowi fotel. – Niech pan siada, proszę – powtórzył.

Graham zawahał się. W dłoni mężczyzny o dzikim spojrzeniu dostrzegł błysk stali.

– Czy naprawdę nie rozumiesz, panie? – wybuchnął jasnowłosy, urażony lecz mimo to jak zwykle uprzejmy. – On przytnie panu włosy!

– Och! – zdumiał się Graham. – Ale pan nazwał go...

– Kapiloptomistą – przerwał mu jasnobrody. – Użyłem dokładnie tego słowa. Ten człowiek jest jednym z najwybitniejszych artystów naszych czasów.

Graham opadł na fotel. Jasnobrody znikł. Kapiloptomista podszedł, przyjrzał mu się z bliska, zbadał kształt jego uszu, obmacał tył głowy. Wyglądało na to, że chętnie usiadłby i kontynuował obserwację, i powstrzymuje go przed tym wyłącznie nieukrywana niecierpliwość Howarda. Przy pomocy pomysłowych narzędzi, szybkimi precyzyjnymi ruchami zgolił Grahamowi brodę, a także przyciął, skrócił i uczesał włosy. Nie wypowiedział przy tym ani słowa, zachowywał się w sposób nader podobny do poety w natchnieniu. Gdy tylko skończył, Grahamowi podano buty.

Nagle, bez wątpienia ze stojącej w rogu maszyny, wydobył się donośny męski głos.

– Uwaga! Pilne! Obywatele miasta już wiedzą! Przerrywają pracę! Przerrywają pracę! Przybyć bez zwłoki!

Informacja ta wyraźnie zaniepokoiła Howarda. Jego ruchy zdradzały, że nie potrafił podjąć decyzji, w którą stronę się skierować. W końcu szybkim krokiem podszedł do rogu, gdzie, obok małej kryształowej kuli, stał aparat. Tymczasem okrzyki, dobiegające od strony łuku, przez cały czas, nieprzerwanie, nabrały niezwykłej siły, jakby będący ich źródłem tłum zbliżył się, a potem ucichł, jakby cofnął się w pośpiechu. Pociągnął za sobą Grahama, niezdolnego powstrzymać ciekawość. Nie utemperował jej nawet rzut oka na tęgiego. Dwa kroki zaprowadziły go na korytarz, kilka dalszych na balkon, na którym stali poprzednio trzej mężczyźni.

ROZDZIAŁ V

RUCHOME TRAKTY

Graham podszedł do poręczy. Podniósł wzrok. Na jego widok z wielkiej przestrzeni poniżej dał się słyszeć okrzyk zaskoczenia wielu ludzi.

Oszołomiła go przede wszystkim majestatyczna architektura. Patrzył na aleję wśród tytanicznych budynków, ciągnących się po obu jej stronach jak okiem sięgnął. Potężne wsporniki wznosiły się wysoko w górę, służąc za podstawę siatce z okami z przezroczystego materiału, odcinającej niebo. Gigantyczne kule zimnego białego światła tłumiły słabe promienie słońca, przedzierające się przez dźwigary i siatkę kabli. Tu i tam widziało się kruche niczym utkane z pajęczyny mosty nad istnymi przepaściami, pełne pieszych. Krzyżujące się przewody przekreślały niebo we wszystkich kierunkach. Gdy Graham podniósł głowę zobaczył nad balkonem majestatyczny występ murów. Ciemnoszarą fasadę stojącego naprzeciw gmachu zdobiły szerokie łuki, okrągłe otwory, balkony, przypory, mnóstwo wysokich, szerokich okien oraz skomplikowane architektoniczne detale. Poprzez nie biegły, ułożone poziomo i ukośnie, litery alfabetu, którego nie znał. Gdzieniedzie, wysoko pod dachami, zaczepione były przewody o wyższej wytrzymałości. Opadały stromo i ginęły w otworach konstrukcji stojących po przeciwnej stronie otwartej przestrzeni. Niemal od razu po wyjściu na balkon uwagę Grahama przykuła pomniejszona odległością figurka człowieka w bladoniebieskim stroju. Znajdowała się w najwyższym punkcie mocowania liny, wychylona z wąskiej półeczki w murze. Przytrzymała się niemal niewidocznych z tej odległości cieńszych linek. Nagle, z wielką prędkością, od której serce podchodziło do gardła, przesunęła się po linie i znikła w niższym otworze naprzeciwko.

Po wejściu na balkon Graham przede wszystkim spojrział w górę, a to co zobaczył tam i naprzeciw skupiło na sobie całą jego uwagę, lecz teraz, nagle, zobaczył wreszcie... drogę! Chociaż wcale nie była to droga, przynajmniej w jego rozumieniu. W dziewiętnastym wieku drogi i ulice

były nieruchomymi wstęgami ubitej ziemi, zatłoczonymi strumieniami przesuwających się pojazdów, ograniczonymi przez wąskie chodniki. Ta droga natomiast miała trzysta stóp szerokości i poruszała się sama z wyjątkiem jej najniższej, środkowej części. Ruch ten oszołomił go na moment, aż zakręciło mu się w głowie, po chwili jednak zrozumiał, co widzi. Ta niezwykła droga biegła pod balkonem w jego prawą stronę, nieprzerwanie, z szybkością dziewiętnastowiecznego pociągu pośpiesznego, nieskończony trakt z zachodzących na siebie poprzecznie cienkich płyt. Pomiedzy nimi zachowano cienkie paski wolnego miejsca, by mogła dopasować się do krzywizn chodnika. Ustawiono na nim fotele, tu i ówdzie pojawiały się małe kioski, ale przemykały zbyt szybko, by rozpoznać, co w nich było. Najbliższy niego, zewnętrzny trakt poruszał się najszybciej, następne, licząc do środka, również mknące w prawo, były widocznie, choć niewiele, wolniejsze. Różnice w szybkości umożliwiały swobodne przenoszenie się na sąsiednie, aż do nieruchomego środka. A dalej, w ten sam sposób, od najwolniejszej, znajdowały się trakty mknące w lewo. Na fotelach umieszczonych w zewnętrznych, tych najszybszych, siedzieli ludzie, ludzie przechodzili po kolejnych aż do środka i stali tam, w nieruchomej części systemu. Był ich cudowny, różnorodny tłum.

– Nie wolno panu tu stać. – Howard pojawił się nagle przy boku Grahama. – Musimy natychmiast odejść.

Graham nie odpowiedział. Usłyszał jego słowa, ale jakby ich nie słyszał. Platformy poruszały się wydając donośny ryk, ludzie krzyczeli. Widział pięknie ubrane kobiety i dziewczęta o rozpuszczonych włosach, taśmy ich strojów krzyżowały się im między piersiami – wśród mnóstwa zmieszanych obrazów ten rzucił mu się w oczy jako pierwszy. Następnie zauważył, że wśród tłumu barwnego niczym tęcza dominuje jednak bladoniebieska barwa, taka jaką miała szata młodego pomocnika krawca. Zaczął także rozumieć poszczególne wykrzykiwane słowa: „Śpiący! Co ze Śpiącym!”. Doznał wrażenia, że ruchome platformy dosłownie na jego oczach upstrzyły bladożółte ludzkie twarze i że z każdą chwilą jest ich więcej. Dostrzegł wymierzone w siebie palce. Zauważył, że na nieruchomej środkowej części szerokiej alei między gigantycznymi budynkami, leżącej na wprost balkonu, odziani na niebiesko ludzie tłoczą się wyjątkowo gęsto i że dzieje się tam coś dziwnego. Ludzi tych wyraźnie wypychano na górne, coraz szybsze platformy po obu stronach, zmuszano ich do opuszczenia

miejsca, które sobie zajęli, działając wbrew ich woli. Gdy tylko oddalili się od miejsca zamieszania, zeskakiwali i wracali tam, skąd ich usunęto.

– To Śpiący! Tak, to naprawdę Śpiący! – wykrzyknęło wiele głosów. – Nie było Śpiącego! – krzyczeli inni. Obracały się ku niemu coraz to nowe twarze. Graham zobaczył, że w środkowej platformie widnieją otwory, wejścia na wiodące w głąb schody, na które wstępowali zjeżdżający w dół i z których wychodzili docierający na powierzchnię. Zamieszanie koncentrowało się najwyraźniej wokół najbliższego takiego otworu. Ludzie przesuwali się na coraz wolniejsze platformy, niezwykle zręcznie przeskakując z jednej na drugą. Jadący szybszymi wydawali się dzielić swą uwagę pomiędzy to, co toczyło się w centrum a balkon. Pewna ilość pękających postaci w jaskrawoczerwonych strojach, pracujących wspólnie, broniła, jak się wydawało, wejścia na prowadzące do podziemi schody. Czerwień kontrastowała rażąco z bladym błękitem. Toczyła się jakaś walka, co do tego nie było wątpliwości.

Graham chłonął ten widok, podczas gdy Howard wrzeszczał mu do ucha i szarpał go za ramię. PO czym znikł w jednej chwili, zostawiając go samemu sobie.

Okrzyki „Śpiący!” stawały się coraz głośniejsze. Ludzie na najbliższym trakcie wstawali z miejsc. Zauważył, że trakt ten po jego prawej stronie jest pusty i że, daleko, biegnący w przeciwnym kierunku wypełnia się, by opustoszeć przed balkonem. Tłum gromadził się w części centralnej, tuż, można powiedzieć, przed nim. Gęsta, rozkołysana masa ludzka, grzmot okrzyków, przedtem po prostu słyszalnych, teraz stał się ogłuszający. „Śpiący! Śpiący!” – krzyczano. Wykrzykiwano pozdrowienia, wymachiwano częściami garderoby. „Zatrzymać trakty!”. Grahama dobiegało także inne imię, nieznane mu, dziwnie brzmiące: „Ostrog!”. W tłum na wolniejszych platformach nie dałoby się już szpilki wcisnąć. Ludzie biegli po nich „pod prąd”, tak by cały czas znajdować się jak najbliżej balkonu. „Zatrzymać trakty!” – krzyczeli. Zręczne postaci biegły od środka do najszybszej platformy, przemykały mu przed oczami wznosząc niezrozumiałe okrzyki, wracały na środek. Udało mu się pojąć wyłącznie te kilka słów: „Tak, to Śpiący” – powtarzali. „Tak, to Śpiący”.

Przez jakiś czas Graham stał na balkonie całkiem nieruchomo. Z wielkim opóźnieniem zorientował się, że to właśnie on jest powodem całego tego zamieszania. Cieszyła go tak niezwykle popularność. Ukłonił

się, a potem, uznawszy, że ukłon mogli zobaczyć wyłącznie stojący najbliżej niego, pomachał ręką. Rezultat okazał się zdumiewający. Zamieszanie przy wejściu na wiodące do podziemi schody przerodziło się w bójkę. Dostrzegł zatłoczone balkony. Mężczyźni ześlizgiwali się po nich na trapezoidalnych siedziskach zawieszonych na linach. Za jego plecami też rozległy się jakieś głosy. Po schodach pod łukiem przeszła grupa ludzi. Przy jego boku znów pojawił się Howard. Wręcz boleśnie ścisnął mu ramię, krzyczał mu do ucha coś, czego Graham nawet nie słyszał.

Odwrócił się. Twarz jego opiekuna była bardzo blada.

– Wracaj. – To udało mu się wreszcie zrozumieć. – Zatrzymają trakty. W mieście zapanuje chaos.

Za plecami Howarda, korytarzem niebieskich podpór, biegli ludzie: rudy, jasnobrody, wysoki w szatach jaskrawocynobrowych, grupa mężczyzn w czerwieni, z czymś wyglądającym jak buławy w rękach. Na twarzach ich wszystkich malował się żywy niepokój.

– Wyprowadźcie go – krzyknął Howard.

– Ale dlaczego – zaprotestował Graham. – Nie widzę...

– Musi się pan oddalić – powiedział jeden z mężczyzn w czerwieni. Głos miał stanowczy i także spojrzenie. Graham przesunął wzrokiem po otaczających go twarzach. Rozpoznał to, czego w życiu nie znosił najbardziej: przymus. Poczul uścisk silnej dłoni na ramieniu...

Wyprowadzano go siłą. Miał wrażenie, że zamieszanie rozdzieliło się, miało teraz dwa źródła, jakby co najmniej jego połowa wskoczyła z tych cudownych platform do środka, opanowała korytarze wielkiego budynku. Zdumiony, choć nic nie pojmujący, ogarnięty chęcią stawienia bezrozumnego oporu, dawał się na pół popychać, na pół prowadzić korytarzem niebieskich podpór. Naraz, nieoczekiwanie, znalazł się sam na sam z Howardem w jadącej szybko do góry windzie.

ROZDZIAŁ VI

SALA ATLASA

Od chwili, gdy krawiec się z nim pożegnał, do tej chwili w windzie, minęło może pięć minut. Graham nadal gubił się we mgle, pozostałości po niewyobrażalnie długim okresie snu. Nadal towarzyszyło mu uczucie zdumienia, nierealności, jakby i w tej chwili śnił wysoce realistyczny sen. Nie czuł się częścią rzeczywistości lecz zdumionym jej obserwatorem, do którego nie całkiem dotarł fakt, że jest jednak częścią tej rzeczywistości. To co widział, a przede wszystkim chaos tłumów, oglądane z wysuniętego balkonu, kojarzyło mu się raczej z widowiskiem teatralnym.

– Nie rozumiem – powiedział. – Co to były za niepokoje? W głowie mi się kręci. Dlaczego ci ludzie tak krzyczeli? Skąd wzięło się niebezpieczeństwo?

– Mamy swoje problemy – odparł Howard. Nie chciał spojrzeć Grahamowi w oczy. – To nie są spokojne czasy. Prawdę mówiąc fakt, że właśnie teraz się obudziłeś, pokazałeś ludziom... też wpływa na... – mówił powoli, urywanym głosem, jakby miał problemy z oddychaniem. Przerwał w pół słowa.

– Nie rozumiem – przyznał Graham.

– Wyjaśnię później. – Howard spojrział w górę jakby, jego zdaniem, winda jechała za wolno.

– Oczywiście, że lepiej pojmę co się dzieje, kiedy tu dłużej pożyję – powiedział Graham, nieco zaskoczony. – Wiem... spodziewam się, że nie będzie to łatwe. Na razie wszystko jest takie dziwne. Wszystko wydaje się możliwe. Dosłownie wszystko, aż do najdrobniejszego szczegółu. Rozumiem, że liczycie inaczej niż my liczyliśmy?

Winda zatrzymała się. Za drzwiami był korytarz, wąski, bardzo długi, o wysokich ścianach, wzdłuż których przewody i kable biegły w wielkiej ilości.

– Ależ rozmiary – powiedział Graham. – To wszystko jeden budynek?
Co się tu mieści?

– Tutaj część usług miejskich, oświetlenie i tak dalej.

– Czy tam, na tych drogach... traktach... to były rozruchy społeczne?
Jaką macie formę rządów? Istnieje tu policja?

– Wiele policji.

– Wiele?

– Około czternastu.

– Nie rozumiem.

– Z całą pewnością pan nie rozumie – powiedział Howard. – Nasz porządek społeczny może się panu wydawać bardzo skomplikowany. Szczerze mówiąc ja sam nie za bardzo go rozumiem. Nikt go nie rozumie. Może pan zrozumie... kiedyś. Musimy stanąć przed Radą.

Graham czuł się zmuszony podzielić uwagę między pytania, które tak bardzo pragnął zadać i ludzi w mijanych salach i korytarzach. W jednej chwili koncentrował umysł na sposobie, a jaki Howard odpowiadał na jego pytania, powoli, z wahaniem, w następnej gubił wątek, porwany jakimś niespodziewanym widokiem. Przeszło połowa z napotkanych ludzi nosiła czerwone stroje; bladoniebieskiej barwy, tak popularnej na ruchomych traktach, tu w ogóle się nie spotykało. Wszyscy odziani w czerwień przyglądali mu się uważnie oraz salutowali im obojgu.

Doskonale pamiętał, że kiedy weszli w długi korytarz widział grupę dziewcząt siedzących na niskich krzeselkach, co bardzo przypominało klasę. Nauczyciela w tej klasie nie było, za to stał tam nowoczesny aparat, z którego, choć może tylko to sobie wyobraził, wydobywał się ludzki głos. Dziewczęta, jak mu się zdawało, obserwowały jego samego oraz jego przewodnika z ciekawością i jednocześnie ze zdziwieniem. Szli szybko i minęli je nim zdołał wypracować sobie jakieś pojęcie o tym, co rzeczywiście widział. Pewnie znały Howarda, ale dziwiły się, kim też może być jego towarzysz. Z tego wynikało, że Howard jest osobą znaną. Mimo to powierzono mu funkcję strażnika. Wydawało się to dziwne.

Szli mrocznym korytarzem. Nad nimi znajdowała się galeryjka, widział stopy i kostki idących nią ludzi, choć nic powyżej. Dalej były galerie, a na galeriach spacerujący swobodnie ludzie, dziwiący się obecności ich obu w towarzystwie ubranej na czerwono straży.

Stymulacja środków wzmacniających, które dostał wcześniej, podziałała tylko chwilowo. Coraz bardziej męczyło go tempo, w jakim się poruszali. Poprosił Howarda, żeby może zwolnili kroku. W końcu doszli do windy wyposażonej w okno wychodzące na wielkie ulice, ale grubo przeszklone, nie otwierające się, a byli za wysoko, by widać było przez niej jakieś szczegóły mknących dołem traktów. Widziało się za to ludzi poruszających się tam i z powrotem po linach i spacerujących po tych dziwnych, tak delikatnie wyglądających pomostach.

W ten sposób przekroczyli ulicę, bardzo wysoko nad nią. Przeszli ją po jednym z mostków, wąskim, przeszklonym szkłem tak przezroczystym, że samo wspomnienie powodowało zawrót głowy. Szli także po szkłe. Wspomnienie klifów między New Quay a Bostcastle, tak odległe w czasie, lecz bliskie w doświadczeniu, kazały Grahamowi ocenić wysokość na czterysta stóp. Zatrzymał się, pomiędzy stopami spojrzął w dół, na niebieskie i czerwone tłumy, drobne, skrócone w perspektywie, ruchliwe sylwetki, gestykulujące i pchające się w stronę balkonu wielkości zabawki, na którym stał jeszcze przed chwilą. Delikatna mgiełka i silny blask lamp dodatkowo zasłaniały widok. Obok mostku przeleciał mężczyzna siedzący w otwartym siodełku, pędził z jakiegoś jeszcze wyższego punktu tak szybko, jakby spadał. Graham znieruchomiał instynktownie, odprowadził go wzrokiem, po czym wrócił do obserwowania toczących się na dole wypadków.

Jeden z szybszych traktów zajmował tłum w czerwonej barwie. W miarę, jak zbliżał się do balkonu, tłum ten rozpadał się na pojedyncze postaci, zbiegające w dół, ku nieruchomemu centrum i zgromadzonemu w nim ludziom. Czerwoni wydawali się być uzbrojeni w kije i pałki, i chyba szturchali nimi ludzi, a może nawet bili? Ogromna fala dźwięku, oburzone okrzyki, wściekłe wrzaski, dotarła nawet tak wysoko, choć stłumiona.

– Idziemy! – krzyknął Howard. Próbował go poruszyć, próbował go poruszyć siłą!

Kolejny mężczyzna zjechał po linie. Graham spojrzął w górę, żeby sprawdzić, skąd się wziął. Przez szklany dach zobaczył sieć belek konstrukcyjnych i lin, niewyraźnie widoczne rytmicznie przemykające formy jak skrzydła wiatraka, a pomiędzy nimi słabe błyski dalekiego, bladego nieba. W tej chwili Howard pchnął go mocno. Zeszli z pomostu,

znaleźli się w wąskim korytarzu o ścianach ozdobionych geometrycznym wzorem.

Graham próbował mu się oprzeć.

– Chcę to obejrzeć dokładniej! – krzyknął.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował gwałtownie Howard. Ścisnął mu ramię boleśnie. – Tędy. Musimy iść tędy.

Idący za nimi mężczyźni w czerwonych strojach wydawali się gotowi poprzeć jego polecenia siłą.

Kilku czarnych w dziwnych mundurach, czarno-żółtych jak odwłoki os, pojawiło się przy końcu korytarza. Jeden z nich uniósł coś jakby roletę, Grahamowi wydawał się, że otworzył drzwi. Przeszedł przez nie pierwszy.

Znaleźli się na galerii, zawieszanej nad wielką salą. Służący w czarno-żółtym uniformie odsunął w górę drugą roletę. Tym razem czekał, aż Graham i Howard przejdą przez otwarte wejście.

Wnętrze wyglądało na jakiegoś rodzaju poczekalnię. Pośrodku stała grupa ludzi, a przy ścianie po przeciwnej stronie widać było schody prowadzące do kolejnych drzwi, przysłoniętych draperią ale niedokładnie, tak że widać było za nią jeszcze większą salę. Wejścia strzegli biali mężczyźni w czerwieni oraz czarni ubrani na żółto-czarno.

Graham szedł przez galerię, kiedy usłyszał dobiegający z dołu cichy głos: „Śpiący”. Wszczął się szum zdumionych głosów, głowy zaczęły obracać się w jego kierunku. Weszli do kolejnego krótkiego korytarzyka prowadzącego przez ścianę, wyszli zaś z niego na galerię z metalową balustradą, biegnącą wzdłuż mniejszej sali, którą dostrzegł przedtem przez zasłonę. Z rogu doskonale widział ją w całym jej ogromie. Czarny w uniformie osy ustąpił mu miejsca z wprawą doskonale wyćwiczonego służącego, po czym zamknął za nim przejście.

W porównaniu ze wszystkimi wnętrzami widzianymi do tej pory to udekorowane zostało z niezwykłym przepychem. W przeciwległym rogu stał na cokole podświetlony najjaśniejszym światłem posąg Atlasa, silnego i niestrudzonego, dźwigającego kulę ziemską na przygarbionych barkach. Na niego przede wszystkim Graham zwrócił uwagę, taki był wielki, taki niezwykle realistyczny w każdym szczególe, biały i przy tym bardzo prosty. Z wyjątkiem posągu oraz podestu pośrodku, lśniaca posadzka imponującego rozmiarami wnętrza uderzała pustką. W proporcji do tego ogromu podest wydawałby się uderzająco małym, prostym kawałkiem

metal, gdyby nie stał na nim stół, wokół którego zgromadziła się grupka siedmiu mężczyzn, których wzrost dawał proporcje pozwalające właściwie ocenić jego rozmiary. Wszyscy oni odziani byli w białe szaty. Zapewne wstali przed chwilą, na widok wchodzących, a teraz mierzyli Grahama nieruchomymi, uważnymi spojrzeniami. Przy końcu stołu jakiś aparat pobłyskiwał metalem.

Howard poprowadził go galerią do miejsca naprzeciw posągu. Tam się zatrzymali. Dwaj mężczyźni w czerwieni, do tej pory idący za nimi, zajęli teraz miejsce po obu stornach Grahama.

– Musisz tu zostać – powiedział cicho Howard. – Przynajmniej na kilka chwil. – Nie czekając na odpowiedź pośpieszył galerią.

– Ale dlaczego...? – Graham nie dokończył pytania. Uczynił ruch, jakby chciał podążyć za opiekunem, ale mężczyźni w czerwieni zagrodzili mu drogę.

– Musisz tu zostać, panie – powiedział jeden z nich. On także przeciągał „a”.

– Dlaczego!?

– Takie mamy rozkazy, panie.

– Czyje rozkazy?

– Nasze, panie.

Graham zirytował się i wcale nie ukrywał irytacji. Zmienił temat.

– Co to za miejsce? – spytał. – Kim są ci ludzie?

– To lordowie Rady, panie.

– Jakiej Rady?

– Po prostu Rady.

– Och.

Graham spróbował jeszcze rozmowy z drugim strażnikiem – z tym samym rezultatem – a potem podszedł do barierki i zapatrzył się na tak dalekich ludzi w bieli, stojących w grupie, przyglądających mu się i szepczących coś między sobą.

Rada? Widział już ośmiu mężczyzn, choć nie zauważył, jak do tego grona dołączył ten ósmy. Ci ludzie nie poruszali się, nie wykonywali żadnych gestów, wpatrywali się w niego jak w dziewiętnastym wieku grupka mężczyzn, których zatrzymał na spacerze ulicą balon, ukazujący się nagle w ich polu widzenia. Co za rada może gromadzić się tutaj? Tak niewielka grupka, nad którą góruje poważny Atlas, zabezpieczona przed

podłuchem samym ogromem wnętrza? I dlaczego go do niej doprowadzono? Dlaczego tak dziwnie na niego patrzą, o czym rozmawiają cicho pomiędzy sobą?

Na dole pojawił się Howard. Szedł w ich kierunku szybkim krokiem, a kiedy się zbliżył, skłonił głowę i wykonał kilka bardzo szczególnych ruchów, natury chyba ceremonialnej. Następnie wszedł na podium i stanął obok zajmującego jeden koniec stołu aparatu.

Graham mógł obserwować rozmowę, nie mógł jej natomiast słyszeć. Od czasu do czasu jeden z mężczyzn w białej szacie spoglądał w jego kierunku. Natężył słuch, lecz na próżno. Gestykulacja rozmówców stawała się coraz żywsza. Przeniósł wzrok na spokojne twarze pozostałych członków tej rady, a kiedy znów spojrzął na Howarda zobaczył, że wyciąga on ręce i kręci głową, jakby czemuś zaprzeczał. Jeden z mężczyzn w białych szatach uciszył go, stukając w stół.

Graham miał wrażenie, że rozmowa ta ciągnie się w nieskończoność. Patrzył na nieruchomego giganta, u stóp którego zgromadziła się rada, a potem także na ściany sali, udekorowane długimi rzędami paneli pokrytych obrazami w stylu przypominającym japoński, niektórymi bardzo pięknymi, ujętymi w ozdobne ramy z ciemnego metalu. Przechodziły one w metalowe podpory galerii, wyznaczały także linie konstrukcyjne wnętrza. Delikatny, kruchy wdzięk dekoracji wzmacniał efekt wywierany przez zajmującą pozycję centralną białą masywną rzeźbę.

Tymczasem Howard schodził już z podium. Zbliżył się na tyle, by można było rozpoznać wyraz jego twarzy i Graham zobaczył, że jest zaczerwieniony i że prychnął gniewnie, wydymając policzki. Pojawił się na galerii nadal wyprowadzony z równowagi.

– Tędy – powiedział krótko. W milczeniu podeszli do drzwi, a gdy się do nich zbliżyli, drzwi otworzyły się przed nimi. Dwaj mężczyźni w czerwieni zatrzymali się po obu ich stronach. Howard i Graham minęli ich, Graham w ostatniej chwili obejrzał się jeszcze i zobaczył, że członkowie Rady nadal stoją w ciasnej grupie, wciąż przyglądają mu się uważnie. A potem drzwi zamknęły się za nimi z łomotem i po raz pierwszy od czasu przebudzenia znalazł się w sferze ciszy. Po tej podłodze nawet szło się bezszelestnie.

Howard otworzył kolejne drzwi. Weszli do pierwszej z dwóch połączonych sal, urządzonej w barwach białej i zielonej.

– Co to była za Rada? – Graham natychmiast wykorzystał okazję. – O czym dyskutowali ci ludzie? Co to ma wspólnego ze mną?

Howard zamknął drzwi tak, żeby nie trzasnęły. Odetchnął głęboko, mruknął coś pod nosem. Przeszedł skosem przez salę, odwrócił się, wydał policzki, wypuścił powietrze z westchnieniem, jak ktoś, kto odczuł wielką ulgę.

Graham patrzył na niego w milczeniu.

– Musi pan zrozumieć – zaczął Howard bez wstępów. Unikał jego wzroku – że nasz porządek społeczny jest bardzo skomplikowany. Pobieżne wyjaśnienia, niekompletne wyjaśnienia dałyby panu fałszywy obraz sytuacji. Sprawa wygląda tak, że dzięki procentowi pański skromny majątek, majątek pańskiego kuzyna Warminga, który pozostawił panu, oraz inne drobne inwestycje nabrały wielkiej wartości. W pewien sposób – w tej chwili niewątpliwie trudny do zrozumienia – stał się pan kimś znaczącym, nawet bardzo znaczącym. W skali całego świata. – Przerwał.

– Tak? – ponaglił go Graham.

– Mamy poważne problemy społeczne.

– Tak?

– Doszło do tego, że uznaliśmy za korzystne ukryć pana tutaj.

– Jestem więźniem?

– Prosimy, by pozostał pan w odosobnieniu.

Graham spojrzał mu w oczy.

– To bardzo dziwne.

– Nie spotka pana żadna krzywda.

– Żadna? Krzywda?

– Ale musi pan pozostać tutaj...

– I nauczyć się swego miejsca w świecie, dobrze rozumiem?

– W istocie.

– Doskonale. No to zaczynajmy. Jaka krzywda?

– Nie teraz.

– Dlaczego nie?

– Bo to długa historia, panie.

– Jeden więcej powód, żeby zacząć o razu. Powiedział pan, że jestem ważną osobą. Co to za okrzyki, które słyszałem? Dlaczego tłumy wykrzykują jakieś hasła i ekscytują się tym, że wyszedłem z transu? Kim są mężczyźni w bieli, ci z wielkiej sali?

– Wszystko we właściwym czasie, panie – odparł Howard. – Nic nie jest takie proste, takie bardzo proste. Żyjemy w niespokojnych czasach, kiedy nikt nie jest niczego pewien. Przebudzenie... nikt nie oczekiwał twego przebudzenia. Rada obraduje.

– Jaka rada?

– Ta, którą widziałeś.

Graham tylko machnął ręką.

– To nie w porządku – zaprotestował. – Powinienem wiedzieć, co się dzieje.

– Musisz pan czekać. Naprawdę musi pan poczekać.

Graham usiadł, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Tak długo czekałem na powrót do życia – powiedział – że chyba nic się nie stanie, jeśli poczekam nieco dłużej.

– Tak z pewnością będzie lepiej – zgodził się z nim Howard. – Oczywiście, o wiele, wiele lepiej. Teraz muszę zostawić pana samego. Na jakiś czas. Wezmę udział w dyskusjach Rady.. przykro mi.

Podszedł do otwierających się bezgłośnie drzwi, zawahał się i wyszedł.

Graham poszedł w jego ślady. Drzwi okazały się zamknięte, w jakiś sposób, którego nie potrafił rozszyfrować. Odwrócił się, obszedł pomieszczenie w kółko, usiadł. Przez kilka długich chwil siedział tak z założonymi na piersiach rękami i zmarszczonym czołem. Obgryzając paznokcie starał się złożyć w całość kalejdoskop wrażeń z pierwszej godziny po przebudzeniu: ogromne metalowe konstrukcje, wielkie przestrzenie, niekończące się korytarze i komnaty, jakaś gigantyczna hałaśliwa, gwałtowna walka, tocząca się na traktach, mała grupka ledwie widocznych w oddaleniu, niesympatycznych ludzi w bieli, monumentalnych rozmiarów posąg Atlasa, tajemnicze zachowanie Howarda. Miał już jakie takie pojęcie o wielkim spadku, wielkim spadku być może bezprawnie naruszonym, o czymś niesłychanie ważnym, o niezwykłej okazji. Co może teraz zrobić? Panująca w tym wnętrzu cisza głośno mówiła o uwięzieniu!

Nagle Graham poczuł graniczące z pewnością przekonanie, że to, co widział po przebudzeniu, ta seria oszałamiających ogromem obrazów, to był tylko sen. Spróbował zamknąć oczy, udało mu się, ale ta uświęcona tradycją sztuczka nie doprowadziła do przebudzenia.

Zaczął dotykać i badać nieznanne urządzenia w dwóch niewielkich pokojach, w których go zamknięto. W długiej, owalnej tafli lustra zobaczył samego siebie. Zdumiał go ten obraz. Okazało się, że ubrany jest w elegancki strój, fioletowy i jasnoniebieski, siwiejącą brodę ma przystrzyżoną w szpic, a ciemne, również siwiejące włosy ułożone są w sposób nieznanemu mu, lecz bardzo przyjemny dla oka. Można by mu dać czterdzieści pięć lat, nie więcej. Przez chwilę nie był nawet pewny, że patrzy na siebie, ale rozpoznał się i wybuchnął szczerym śmiechem.

– Ach, żeby spotkać się teraz ze starym Warmingiem! – krzyknął. – I pójść z nim na kolację!

Pomyślał o tym i o kilku innych znajomych z młodości. Spoważniał. Przecież wszyscy, z którymi mógłby cieszyć się żartami odeszli przed wieloma, bardzo wieloma laty. Myśl ta uderzyła go nagle, wyjątkowo gwałtownie. Przestał się śmiać, a na jego bladej twarzy pojawił się wyraz konsternacji. Powróciły zmieszane, splątane obrazy ruchomych traktów i gigantycznej fasady cudownej ulicy. Jasno, jakby dopiero teraz na nie patrzył, widział rozkrzyczane tłumy, a także dalekich w wielkiej sali, nieprzyjaznych, wpatrujących się w niego mężczyzn w bieli. Poczł się kimś drobnym i nieważnym, żałośnie odbijającym od otoczenia w świecie, o którym mógł powiedzieć tylko jedno – że jest mu obcy.

ROZDZIAŁ VII

UWIĘZIENIE

W końcu Graham wrócił do tego, czym powinien się zająć przede wszystkim, czyli do zapoznania się z przydzielonym mu mieszkaniem. Ciekawość przemogła hamujące mu ruchy zmęczenie.

Pokój dalszy od wejścia był wysoki, z sufitem w kształcie kopuły. Podłużny otwór w jego środku prowadził w głąb komina, w którym obracało się koło o szerokich łopatkach, zapewne zasysające powietrze i kierujące je w górę. Delikatny szum, z jakim poruszało się gładko, był jedynym dźwiękiem słyszalnym w ciszy mieszkania. Pomiedzy przemykającymi mu nad głową łopatkami Graham mógł zobaczyć niebo. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu zobaczył nawet gwiazdy.

Natychmiast zwróciło to jego uwagę na fakt, że jasne światło w pokoju pochodzi z mnóstwa słabych lampek wmontowanych w gzymsy. Nie było tu okien. Teraz, patrząc wstecz, zorientował się, że przechodząc z Howardem długimi korytarzami i przez liczne wielkie sale ani razu nie zobaczył tu okna. Czy w ogóle jakieś tu były? Z ulicy widziało się okna w ścianach, lecz czy służyły one dostarczaniu światła? A może światła wielkiego miasta płoną dniami i nocą, tak że noc w nim w ogóle nie istnieje?

I kolejna sprawa, którą uświadomił sobie dopiero teraz. W żadnym pokoju nie było kominka. Czy jest tu lato i to są letnie apartamenty, czy też miasto jest jednolicie ogrzewane i chłodzone? Zainteresowało go to, przyjrzał się bliżej gładkim ścianom, prostemu, jak się okazało, łóżku i pomysłowym urządzeniom, czyniącym zbędnymi wysiłki służby. Najbardziej jednak rzucał się w oczy brak ostentacyjnej ornamentyki, zastąpionej cieszącą oko prostą harmonią formy i koloru. Poza tym było tu kilka bardzo wygodnych foteli, lekki stół na bezgłośnych kółkach, na stole zaś stały butelki płynów, szklanki, oraz dwa talerze z przezroczystą substancją o konsystencji galarety. Natomiast nie było tu książek czy gazet, czy jakichkolwiek materiałów drukowanych.

– Rzeczywiście, świat bardzo się zmienił – powiedział do siebie.

Zauważył, że całą ścianę w zewnętrznym pokoju zajmują stojące rzędami dziwne podwójne cylindry podpisane zielonymi literami na białym tle, doskonale harmonizującymi z kolorystyką wnętrza. Ze środka tej ściany wystawał aparat o powierzchni około jarda kwadratowego, obrócony białą gładką ścianką w stronę pokoju. Naprzeciwko aparatu stało krzesło. Przeleciała mu przez głowę myśl, że cylindry mogą być książkami czy też współczesnym odpowiednikiem książek, ale nie wydało mu się to prawdopodobne.

Dziwiły go litery na cylindrach. Na pierwszy rzut oka wglądały na rosyjskie. Dopiero po dłuższej chwili w niektórych słowach rozpoznał angielskie.

– Di man hu łudbi kin. Co to? „The Man Who Would Be King”.

– Piszą fonetycznie – powiedział głośno. – Pamiętał, że czytał kiedyś opowiadanie o tym tytule. Przypomniawszy sobie natychmiast, ze wszystkimi szczegółami, bo było to jedno z najwspanialszych opowiadań na świecie. Ale to, co miał przed oczami, nie było książką taką, jaką znał. Rozszyfrował napisy na dwóch sąsiednich cylindrach. „The Heart of Darkness”. Nie, o tym nie słyszał. „The Madonna of the Future” – to samo. Jeśli były to książki, to autorstwa postwiktoriańskich pisarzy.

Przez chwilę przyglądał się cylindrowi, który trzymał w ręku, a potem odłożył go na miejsce. Przyszła kolej na kwadratowy aparat. Otworzył rodzaj pokrywy. W środku zobaczył jeden z cylindrów oraz, w górnej części, wypukłość jak elektrycznego dzwonka. Przycisnął ją. Rozległ się szybki, dźwięczny stuk, ucichł, po czym dały się słyszeć głosy oraz muzyka, a na płaskiej powierzchni pojawiły się plamy koloru. Graham zorientował się nagle, co to może być i cofnął się, by ogarnąć całość sceny.

Na płaskiej powierzchni pojawił się rodzaj obrazu, niezwykle barwnego. Widać w nim było małe ruchome figurki nie tylko poruszające się, lecz także rozmawiające ze sobą w pełni zrozumiałymi, choć cichymi głosami. Obserwował tę scenę niczym przez odwróconą lornetkę teatralną, słyszał niczym przez długą tubę. Jego uwagę natychmiast przyciągnęła scena przedstawiająca mężczyznę, chodzącego nerwowo i wygłaszającego gniewną przemowę do ładnej, lecz nadąsanej kobiety. Oboje mieli na sobie malownicze kostiumy, Graham jeszcze takich nie widział.

– Ja pracowałem – powiedział mężczyzna. – A co ty robiłaś?

– Ach! – Graham w jednej chwili zapomniał o otaczającym go świecie. Opadł na krzesło. W ciągu pięciu minut usłyszał swoje imię, a także słowa „kiedy śpiący się budzi”, użyte żartobliwie na oznaczenie bardzo dalekiej przyszłości. On sam był kimś bardzo od siebie odległym, wręcz nieprawdopodobnym, dwójka bohaterów stała się jednak dobrze mu znanymi, bliskimi przyjaciółmi.

Miniaturowy dramat skończył się, płaszczyzna aparatu pociemniała.

Dziwny był ten świat, w który pozwolono mu na chwilę zajrzeć: bezwzględny, hedonistyczny, ożywiony i skomplikowany. Był to także, jak mu się wydawało, świat bezwzględnej walki ekonomicznej. Nie wszystkie aluzje rozumiał, niektóre obserwowane zdarzenia sugerowały zmiany w pojęciu moralności, postęp o nader wątpliwym charakterze. Niebieskie płótno, dominujące w jego pamięci o pierwszym wrażeniu, jakiego doznał na widok miasta, pojawiło się kilkakrotnie jako uniform prostych ludzi. Nie miał wątpliwości, że ogląda zdarzenia współczesne, a realizm ich przedstawienia także nie budził żadnych zastrzeżeń. Tragiczny koniec przygłębił go. Siedział nieruchomo, wpatrując się w ślepą powierzchnię urządzenia.

Wreszcie drgnął. Przetarł oczy. Tak bardzo pochłonęła go ta współczesna wersja powieści, że powrotowi do rzeczywistego świata małego zielono-białego pokoju towarzyszyło uczucie niemal równie zaskakujące jak przebudzenie.

Wstał. Nagle, gwałtownie, powrócił do swej rzeczywistości. Niezwykła iluzja kinetoskopowego dramatu przeminęła, powróciły obrazy walki na szerokich ulicach, tajemniczej Rady, błyskawicznych zmian zachodzących zaraz po przebudzeniu. Postaci z przedstawienia mówiły o Radzie w sposób sugerujący, że sprawuje ona uniwersalną władzę. No i wspominali Śpiącego. Wówczas nie myślał o tej postaci jak o sobie. Powinien przypomnieć sobie dokładnie, co mówili.

Przeszedł do sypialni. Spojrzał w górę, przez ramiona obracającego się wiatraka. Rytm jego obrotów wyznaczał krótkie przypływy odległego hałasu, dźwięku kojarzącego się z pracującymi maszynami. Poza tym panowała cisza. Światło wiecznego dnia nadal oświetlało pokoje, ale widoczne między skrzydłami wiatraka niebo było ciemnognatowe, usiane małymi gwiazdami...

Graham wrócił do badania pokojów. Nie potrafił otworzyć wyściełanych drzwi, nie znalazł dzwonka ani żadnego urządzenia, którym mógłby kogoś przywołać. Uczucie, że wokół niego dzieją się cuda, ustępowało powoli, pozostała ciekawość i żądza informacji. Musiał dowiedzieć się, jakie jest jego miejsce w tym nowym świecie. Starał się uspokoić, przygotować na oczekiwanie na kogoś, od kogo będzie mógł się czegoś dowiedzieć, ale już po chwili odczuł niepokój, głód informacji, rozrywki, kolejnych sensacji.

Wrócił do aparatu w sąsiednim pokoju. Bez większych problemów znalazł sposób wymieniania w nim cylindrów. Do głowy przyszła mu myśl, że to zapewne te urządzenia zakonserwowały język tak, że po upływie dwustu lata nadal był doskonale zrozumiały. Cylindry, które wymienił na chybił trafił, przedstawiały fantastyczny musical, na początku piękny, a potem zmysłowy. Rozpoznał zmodyfikowaną wersję „Tannhausera”. Muzyki nie rozpoznał. Wykonanie było realistyczne, a więc nawiązywało do nieznanego mu współczesności. Tannhauser nie udaje się na górę Wenus, lecz do Miasta Rozkoszy. Co to takiego, to Miasto Rozkoszy? Senne marzenie, oczywiście, kaprys fantazji zmysłowego autora.

Zainteresowało go to, co widział. Zdziwiło. Akcja postępowała według reguł dziwnego, pokrętnego sentymentalizmu. Przedstawienie nagle przestało mu się podobać i z każdą chwilą podobało mniej, aż poczuł obrzydzenie. Nie oglądał obrazów, idealizacji, patrzył na zdarzenia przedstawione z realizmem fotografii. Odechciało mu się Venusbergu z XXI wieku. Zapomniał o roli, jaką grały modeliki w dziewiętnastowiecznej sztuce, ogarnęło go archaiczne oburzenie. Zerwał się z krzesła, gniewny i zawstydzony tym, co oglądał, choćby w samotności. Pociągnął aparat do siebie, szukał sposobu zatrzymania akcji, choćby brutalną siłą. Usłyszał trzask, fioletowa iskra dosięgła jego ramienia, powodując drżenie. Głos ucichł, obraz znikł. Kiedy następnego dnia spróbował zastąpić cylindry z Tannhauserem na inne, nie udało mu się uruchomić urządzenia.

Chodził po pokoju z kąta w kąt. Walczył z ogromem wrażeń, których nie potrafił przyswoić. To, co pokazały mu cylindry i to, co widział wcześniej nie tworzyło jednego obrazu, powodowało tylko zawrót głowy. Uznał, że najbardziej zdumiewającą rzeczą w jego dawnym życiu było to,

że nigdy nie przyszło mu na myśl, by wytworzyć sobie jakiś obraz przyszłości.

– Tworzyliśmy przeszłość – powiedział głośno – i nikomu z nas nie przyszło do głowy zastanowić się, jaką przyszłość tworzymy. I oto ją mamy. Dokąd dotarli? Czego dokonali? Jak ja znalazłem się w samym środku przyszłości?

Był przygotowany na ogrom ulic i domów, na tłumy ludzi. Ale ta walka na traktach? Ta usystematyzowana zmysłowość klasy bogaczy?

Pomyślał o Bellamym, bohaterze, którego Socjalistyczna Utopia w tak dziwny sposób antycypowała jego dzisiejsze doświadczenia. Ale to, co tutaj widział nie było Utopią i nie było państwem socjalistycznym. Widział wystarczająco wiele, by zorientować się, że stare przeciwstawienie: luksus, rozrzutność i zmysłowość z jednej strony, a skrajne ubóstwo z drugiej, nadal obowiązują. Znał podstawowe zasady życia wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę z tej współzależności. No i ogromne były tu nie tylko gmachy miasta i tłumy na jego ulicach. Głosy, które słyszał dobiegające z traktów, niepokój Howarda, sama panująca tu atmosfera, wszystko mówiło bez osłonek o jakimś fundamentalnym niezadowoleniu. W jakim właściwie znalazł się kraju? Wydawała się, że nadal jest w Anglii, ale bardzo... nieangielskiej. Próbował sięgnąć myślą ku reszcie świata, ale jego umysł napotykał nieprzekraczalną zasłonę.

Niczym zamknięte w klatce zwierzę krążył po mieszkaniu, badając jego wnętrze. Był bardzo zmęczony, jednak tym rodzajem gorączkowego zmęczenia, nie dopuszczającym myśli o odpoczynku. Na długie chwile zatrzymywał się pod wentylatorem. Nasłuchiwał odgłosu zamieszek, które – był tego pewien – nie wygasły w mieście.

Zaczął mówić do siebie.

– Dwieście trzy lata – powtarzał raz za razem, śmiejąc się niemądrze. – Mam dwieście trzydzieści trzy lata. Jestem najstarszy. Z pewnością nie odwrócili tendencji naszych czasów, nie powrócili do zwyczaju rządów starców. Byłbym oczywistym kandydatem. Ble, ble. Pamiętam dziejące się w Bułgarii potworności jakby to było wczoraj. Wspaniałe czasy, ha, ha.

Zaskoczył go dźwięk jego własnego śmiechu, ale natychmiast znów się roześmiał, tym razem specjalnie i znacznie głośniej. A potem pomyślał, że jednak zachowuje się głupio.

– Spokojnie – powiedział do siebie. – Spokojnie. – Zwolnił kroku. – To nowy świat. Nie rozumiem go. Dlaczego? Tak możesz pytać o wszystko, „dlaczego?”. Przypuszczam, że potrafią latać, że są zdolni robić te wszystkie cuda. Powinienem przypomnieć sobie, jak to się wszystko zaczęło.

Zaskoczyło go, jak wiele zapomniał ze swych pierwszych trzydziestu lat życia. Ocalały mu w pamięci fragmenty, po większej części wspomnienia zwykłych, codziennych wydarzeń, nie mających większego znaczenia. Dzieciństwo, ono wróciło do niego najszybciej, szkolne książki i lekcje geometrii. A potem pamięć przywołała także bardziej znaczące fragmenty tego, co było, dawno zmarłą żonę, z której wpływu nie pozostało nic, przyjaciół, rywali i ludzi, którzy go zdradzili, decyzji w tej i tamtej sprawie, i tak aż do ostatnich lat: cierpienia, postanowień podejmowanych i łamanych, aż wreszcie podjętych z zapałem badań. Nie minęło wiele czasu a uznał, że pamięta już wszystko, może niewyraźnie, może wspomnienia są jeszcze stłumione jak stłumiony jest blask pokrytego śnieżką metalu, ale metalu nie uszkodzonego, czekającego, by go wypolerować. Tylko że jego blaskiem byłoby pogłębiające się cierpienie, czy więc warto go polerować? Cud wyzwolił go z nieznośnego życia...

Powrócił do współczesności. Nie potrafił jakoś jej uporządkować. Poróżowiło niebo, widoczne przez tunel wentylatora. Z najciemniejszych głębi pamięci powróciły do niego znane słowa. „Muszę spać” – powiedział głośno. Sen wydał mu się cudowną ulgą od przygnębienia i od bólu, który czuł w zmęczonych nogach. Podszedł do dziwnego, małego łóżka, padł na nie i zasnął.

Miał okazję poznać mieszkanie bardzo dobrze, nim je opuścił, bowiem pozostawał w nim więźniem przez trzy dni. Przez cały ten czas odwiedzał go tylko Howard, nikt inny. Igraszki losu zmieszały się i do pewnego stopnia przeważały igraszkę, jaką wydawało się przetrwanie. Czyżby przywrócono go ludzkości tylko po to, by zabrać mu ludzkość, skazać go na samotność?

Howard odwiedzał go regularnie. Przynosił płyny, odżywiające i dodające sił, dostarczał światła i jedzenia, smacznego, choć dziwnego w smaku. Po wejściu zawsze starannie zamykał drzwi. Na szczegóły zwracał rosnącą uwagę, ale na pytania o to, co dzieje się tuż za dźwiękoszczelnymi ścianami budynku, jak rozstrzygają się niewątpliwie

ważne sprawy, nie odpowiadał. Unikał ich konsekwentnie i tak uprzejmie jak to tylko możliwe.

Przez te trzy dni myśli Grahama sięgały coraz dalej i dalej. Ogarniały wszystko co widział, wraz z pomysłowymi sposobami zapobieżenia temu, by widział więcej. Rozważał każdą możliwą interpretację zdarzeń, mogącą świadczyć o zajmowanej pozycji, wśród nich kryła się też przypadkowa prawdziwa interpretacja. To, co miało się z nim zdarzyć, wyobrażone, wydawało mu się co najmniej prawdopodobne właśnie dlatego, że samotność stwarzała mu szansę głębokich rozważań. Kiedy wreszcie uwolniono go, był przygotowany.

Zachowanie Howarda pogłębiło w nim przekonanie o jego niezrozumiałym, lecz niewątpliwie wielkim, znaczeniu. Przez uchylane zaledwie na chwilę drzwi wejściowe mieszkania wydawały się wpadać do środka oznaki jakiś wielkich wydarzeń. Graham zaczął zadawać pytania bardziej szczegółowe i bardziej przenikliwe. Howard protestował i mnożył trudności. Powtarzał, że przebudzenie to zjawisko nagłe, nieoczekiwane, a przypadkiem zbiegło się w czasie z wzrostem niepokojów społecznych.

– Żeby panu wszystko wyjaśnić muszę nauczyć pana historii grosa i pół lat.

– Problem w tym – odparł Graham – że boicie się czegoś, co mogę zrobić. Stało się coś, co uczyniło mnie arbitrem, czy też może uczynić mnie arbitrem.

– Nie w tym rzecz. Lecz, tyle mogę panu powiedzieć, dzięki wzrostowi bogactwa ma pan możliwość wywierania wielkiego wpływu na wydarzenia współczesne. A także inne wielkie możliwości, pochodzi pan przecież z osiemnastego wieku!

– Z dziewiętnastego.

– Z dawnych czasów, które ukształtowały pańskie poglądy. A o funkcjonowaniu naszego państwa nic pan przecież nie wie.

– Czyżbym był głupcem?

– Z całą pewnością nie.

– Czy wyglądam na człowieka, który będzie działał pochopnie?

– Nie oczekiwaliśmy po panu żadnego działania. Nie spodziewaliśmy się pańskiego przebudzenia. Ani się nam śniło, że to w ogóle możliwe. Rada umieściła pana w antyseptycznych warunkach. Szczerze mówiąc byliśmy pewni że pan nie żyje, że doszło do opóźnienia procesów gnilnych.

I... ale to jest już zbyt skomplikowane. Nie ośmielimy się działać nagle, gdy jest pan zaledwie na pół przebudzony.

– To mi nie wystarczy – oznajmił Graham. – Załóżmy, że jest jak pan mówi. W takim razie dlaczego dniami i nocami nie karmicie mnie wiedzą, mądrością i nie uczycie ostrożności właściwych dla odpowiedzialności, jaka na mnie spoczywa? Czy dziś jestem mądrzejszy niż przed dwoma dniami... bo obudziłem się dwa dni temu, prawda? – Howard zacisnął wargi. – Widzę, z każdą godziną coraz wyraźniej, że jest pan twarzą systemu, ukrywającego przede mną co tylko możliwe do ukrycia. Czy wasza rada, komitet, czymkolwiek jest, podrabia mój stan majątkowy? O to chodzi?

– Takie podejrzenia... – oburzył się Howard.

– Oczywiście! Proszę zapamiętać moje słowa: źle by się to skończyło dla ludzi, którzy mnie tu zamknęli. Bardzo źle. Ja żyję. Nie śmieję pan wątpić w to, że żyję. Z dnia na dzień puls mam silniejszy, myślę coraz jaśniej i szybciej. O ciszy i spokoju nie może już być mowy. Wróciłem do życia i chcę żyć!

– Żyć! – powtórzył Howard. Twarz mu się rozjaśniła. Wpadł na jakiś pomysł. Podeszedł do Grahama, przemówił spokojnie, przyjacielsko.

– Rada zapewniła panu to odosobnienie dla pańskiego własnego dobra. Lecz to przecież naturalne, że jest pan energicznym człowiekiem i nudzi się tu. A nam zależy, żeby wszystko, czego tylko pan zechce, każde pragnienie... każde pragnienie... co możemy dla pana zrobić? Może towarzystwo... – przerwał znacząco.

– Owszem – powiedział Graham z namysłem. – Coś możecie dla mnie zrobić.

– Ach! No tak. Zaniedbaliśmy pana, to prawda.

– Tłumy na tych waszych ulicach.

– A, to? Ale... obawiam się...

Graham chodził po pokoju. Stojący przy drzwiach wejściowych Howard przyglądał mu się uważnie. To, co powiedział, nie od razu dotarło do przebudzonego. Towarzystwo? Załóżmy, że zgodzi się na propozycję, że zażąda „towarzystwa”. Czy od obcego będzie można, kierując rozmową, dowiedzieć się czegoś więcej, choćby jakiś drobiazgów, o niepokojących wydarzeniach, towarzyszących przebudzeniu? Jeśli głębiej się nad tym

zastanowić... tak, sam pomysł wyglądał obiecująco. Zatrzymał się nagle, spojrzął na Howarda.

– Jakie towarzystwo ma pan na myśli? – spytał.

Howard nie opuścił wzroku. Wzruszył ramionami.

– Ludzi – odparł, uśmiechając się przy tym dziwnie. – I nasze zwyczaje społeczne. W porównaniu z obowiązującymi w pańskich czasach cechuje je większa... swoboda, można powiedzieć. Jeśli ktoś pragnie ulgi w nudzie jak pańska i poszuka kobiecego towarzystwa, nie uważamy tego za skandal. Oczyszciliśmy nasze umysły z tego rodzaju schematów. Jest w naszym mieście klasa, konieczna klasa, już nie pogardzana i dyskretna... – Graham stanął jak wrośnięty w ziemię. – To pana zajmie, czas będzie biegł szybciej. Powinienem był wcześniej wpaść na ten pomysł. Ale, rozumie pan, tyle się dzieje... – Howard machnął ręką, jakby tym gestem chciał objąć zewnętrzny świat.

Graham wahał się. Przez chwilę potrafił myśleć tylko o kobiecie i była to myśl nader pociągająca. Lecz po chwili ogarnął go gniew.

– Nie! – krzyknął. Rozpoczął marsz po pokoju. – Wszystko, co pan mówi i wszystko, co robi przekonuje mnie, że wiążą się ze mną jakieś sprawy wielkiej doniosłości. Nie zależy mi, by przyspieszyć bieg czasu, jak to był pan uprzejmy sformułować. Tak, wiem, namiętność i nałogi to samo życie, przynajmniej w pewnym sensie... ale są także śmiercią. Są zagładą. W moich czasach, nim zasnąłem, przewyciężyłem te żalosalne uzależnienia. Nie mam zamiaru zaczynać od nowa. Tu jest miasto, są tłumy, a tymczasem ja zostałem przez was zamknięty w klatce. – Graham rozszłościł się nie na żarty, zadławił krzykiem, zacisnął dłonie w pięści. Dostał ataku wściekłości. Wykrzykiwał antyczne przekleństwa, a rękami machał tak, jakby zamierzał fizycznie zaatakować Howarda. – Nie wiem, czym jest ta pańska partia. Nic nie wiem, a wy pilnujecie, żeby tak zostało. Ale jednego jestem pewien: nie macie powodu, żeby mnie tu trzymać. Nie macie żadnego powodu. Ostrzegam pana... ostrzegam was przed konsekwencjami. Gdy osiągnę pełnię swej władzy...

Przerwał. Uświadomił sobie, że rzucanie gróźb jest niebezpieczne przede wszystkim dla niego. Howard przyglądał mu się z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

– Przekażę pańskie słowa Radzie – powiedział.

Graham miał ochotę zaatakować tego człowieka, przewrócić go lub oszołomić. Musiał go zdradzić wyraz twarzy, a Howard umiał poruszać się szybko. W jednej chwili drzwi zamknęły się za nim. Człowiek z XIX wieku pozostał sam. Stał nieruchomo, z uniesionymi rękami i zaciśniętymi pięściami, a potem opuścił je bezwładnie.

– Jakimż byłem głupcem – powiedział do siebie. Znowu dostał ataku furii. Chodził po pokoju, przeklinał, trwało to bardzo długo. Przeklinał sytuację, w jakiej się znalazł, własną głupotę, łotrów, którzy go uwięzili. Pozwalał sobie na gniew, bo nie chciał ocenić swej sytuacji spokojnie. Wolał gniew, ponieważ bał się strachu.

W końcu zaczął jednak myśleć logicznie. To, że go uwięziono, było niewybaczalne lecz niewątpliwie zgodne z prawem, w każdym razie prawem teraz obowiązującym. Co do tego nie mógł mieć żadnych wątpliwości. W porównaniu z epoką wiktoriańską ci ludzie byli przecież o dwieście lat dalej w marszu do cywilizacji, wydawało się więc nieprawdopodobne, by byli mniej... ludzcy. A jednak odrzucili zasady! Czy „człowieczeństwo” nie jest zasadą? Taką samą jak skromność?

Wyobrażnia podsuwała mu obrazy tego, co mogą z nim zrobić. Próbował wyrzucić je z głowy, stosując rozsądek i choć logicznie rzecz biorąc powinno mu się to udać, jednak się nie udawało. „Po co mieliby z nim robić cokolwiek?”

– Gdyby miało zdarzyć się najgorsze – powiedział, ku swemu zdziwieniu, głośno – dam im to, czego chcą. Ale czego chcą? I dlaczego o to nie poproszą, zamiast zamykać mnie w celi?

Powrócił też myślami do tego, co zajmowało mu je wcześniej: możliwych intencji Rady. Zajęły go szczegóły zachowania Howarda, groźne spojrzenia, niezrozumiałe wahanie. Potem, przez jakiś czas, rozważał możliwość ucieczki, ale dokąd miał uciekać w tym wielkim, zatłoczonym świecie? Był tu przecież jak saksoński wieśniak, w jednej chwili przeniesiony do dziewiętnastowiecznego Londynu. Poza tym któż zdołałby uciec z tego mieszkania?

– Kto odniósłby korzyść, gdyby coś mi się stało?

Myślał o zamieszkach, o wielkich problemach społecznych, których wydawał się być osiłą. Z mroków pamięci wypłynęło zdanie, z niczym nie związane, lecz narzucające mu się z przedziwną natarczywością.

Rada powiedziała: „Uważamy za do przyjęcia, że jeden człowiek ginie dla dobra ludu”.

ROZDZIAŁ VIII

OTWÓR W DACHU

Wentylatory w okrągłym otworze w dachu wewnętrznego pokoju obracały się, ukazując fragment nieba. Przepuszczały także niegłośnie dźwięki. Stojący bezpośrednio pod nimi Graham ze zdumieniem rozpoznał ludzki głos.

Podniósł głowę, skupił wzrok. Tak, w przerwach, pozostawionych przez obracające się skrzydła, widać było, choć niewyraźnie, twarz i ramiona obserwującego go mężczyzny. Pojawiła się także ciemna dłoń, skrzydło uderzyło w nią, przy kolejnym obrocie widać było, że na jego krawędzi pozostały brunatne plamy. Krople spadły bezszelestnie u jego stóp.

Graham opuścił wzrok. Tak, to były krople krwi. Spojrzał w górę, przedziwnie podniecony. Postać znikła.

Stał bez ruchu. Całą swą uwagę skupił na migającej plamie czerni. Zorientował się, że z góry spływają ku niemu powoli jakieś czarne plamki. Opadały nierównym tempem, wirując w powietrzu poza zasięgiem wentylatora, po czym znikwały zassane przez powietrze w jego zasięgu. W pojedynczym przepuszczonym do środka promieniu światła zabłyśły bielą. Błysk zgasł, wróciła ciemność, a Graham uświadomił sobie, że o kilka stóp od niego, stojącego w jasnym, ciepłym pomieszczeniu, pada śnieg.

Przespacerował się wokół pokoju, po czym powrócił na jego środek. Zobaczył pojawiającą się i niknącą ludzką głowę. Usłyszał szepty. Rozległ się dźwięk metalu uderzającego o metal, zgrzyt, padło kilka słów i skrzydła wiatraka zatrzymały się. Przez otwór wleciała kula płatków śniegu, znikła nim opadła na podłogę.

– Nie bój się – powiedział głos.

Graham stał wprost pod nieruchomym w tej chwili wentylatorem.

– Kim jesteś? – szepnął.

Przez chwilę nie działo się nic, tylko wentylator kołysał się na boki, a potem w otwór wsunęła się ostrożnie czyjaś głowa. Grahamowi twarz wydawała się odwrócona niemal całkiem do góry nogami. Na mokrych czarnych włosach topniały płatki śniegu. Mężczyzna wysunął ramię w ciemność, trzymał coś w dłoni. Miał młodą twarz i błyszczące oczy, a na jego czole widać było nabrzmiałe żyły. Musiał wkładać wiele siły w utrzymanie tej pozycji.

To on przerwał trwającą dłuższą chwilę milczenie.

– Ty jesteś Śpiący? – spytał.

– To ja – odparł Graham. – Czego ode mnie chcecie?

– Przychodzę od Ostroga, panie – powiedział głos, przedłużając „a”.

– Kogo?

Człowiek w wentylatorze obrócił głowę tak, że widać było jego profil. Wydawało się, że nasłuchuje. Ktoś krzyknął coś nagle, intruz odskoczył i w tym momencie powietrze przecięło skrzydło ponownie uruchomionego wiatraka, a gdy znikło, w kominie widać było tylko padający śnieg.

Mniej więcej piętnaście minut później coś znowu zaczęło się dziać wokół wentylatora. Po raz drugi rozległ się metaliczny dźwięk, wentylator zatrzymał się, pojawiła twarz. Przez ten czas Graham nie ruszył się z miejsca, skupiony i niezwykle podniecony.

– Kim jesteście? – spytał. – Czego chcecie?

– Chcemy z tobą porozmawiać, panie – oznajmił intruz. – Chcemy... nie zdołam go utrzymać. Od trzech dni próbujemy się do ciebie dostać.

– Przybyliście mi na ratunek? – szepnął Graham. – Ucieczka?

– Tak, panie. Jeśli zechcesz, panie?

– Należycie do mojej grupy... do partii Śpiącego?

– Tak, panie.

– Co mam zrobić?

Coś się działo. W polu widzenia Grahama pojawiło się ramię i zakrwawiona dłoń, a potem, na krawędzi komina, oba kolana.

– Odsuń się – polecił mężczyzna. Dość ciężko, niezdarnie wylądował na podłodze na rękach i jednym ramieniu. Uwolniony wentylator ruszył hałaśliwie. Mężczyzna przeturlał się i wstał zrećznie. Przyłożył dłoń do obolałego ramienia. Dyszał ciężko, przyglądając się Grahamowi błyszczącymi oczami.

– Tak, to ty jesteś Śpiącym, panie – powiedział. – Widziałem cię, gdy spałeś. Kiedy obowiązywało prawo mówiące, że każdy może cię zobaczyć.

– Byłem w transie – wyjaśnił Graham. – A teraz mnie tu uwięzili. Gdy tylko się obudziłem, co najmniej przed trzema dniami.

Intruz już miał mu odpowiedzieć, ale usłyszał coś, natychmiast spojrzał na drzwi, odwrócił się i podbiegł do nich, wykrzykując oderwane słowa. W jego dłoni błysnął trójkąt stali. Kilkakrotnie uderzył nim w zawiasy.

– Uwaga! – krzyknął z góry jakiś głos. – Auuu!

Graham spojrzał w górę, zobaczył stopy, uchylił się, ale i tak jedna z nich trafiła go w ramię, a ciężar ciała przygniótł do ziemi. Upadł na kolana, a potem do przodu. Ciało przeleciało mu nad głową.

Usiadł. Skupił wzrok. Przed nim siedział drugi mężczyzna, który do pokoju dostał się przez sufitowy wentylator.

– Nie widziałem cię, panie – usprawiedliwił się nieproszony gość, dysząc ciężko. Wstał, pomógł Grahamowi podnieść się. – Nic ci się nie stało? – Rozległ się dźwięk mocnych uderzeń w wentylator. Coś przeleciało przed twarzą Grahama, ostry kawałek srebrzystego metalu upadł płasko na podłogę.

– Co się dzieje? – krzyknął zdezorientowany Graham, unosząc głowę. – Kim jesteście? Co zamierzacie? Pamiętajcie, ja nic nie rozumiem!

– Proszę się cofnąć – powiedział intruz. Odciągnął go spod wentylatora niemal dokładnie w chwili, gdy z góry spadł kolejny ciężki kawałek metalu.

– Chcemy, żebyś poszedł z nami, panie – wydyszał intruz. Na czole miał rozcięcie, z którego na oczach Grahama popłynęły cienkie strumyczki krwi. – Twoi ludzie cię potrzebują.

– Poszedł gdzie? Jacy moi ludzie?

– Do hal. Tutaj twoje życie jest zagrożone. Mamy szpiegów. Dowiedzieliśmy się o tym w ostatniej chwili. Rada zdecydowała dzisiaj, właśnie dzisiaj, albo podać ci narkotyki, albo cię zabić. Wszystko jest przygotowane, ludzie wyćwiczeni. Policja Wiatraków, inżynierowie, połowa kontrolerów traktów... oni są z nami. Hale są pełne. Ludzie krzyczą. Całe miasto występuje przeciw Radzie. Jesteśmy uzbrojeni. – Mężczyzna wytarł krew grzbietem dłoni. – Tu twoje życie nie jest...

– Dłaczego broń?

– Ludzie powstali w twojej obronie, panie. Co?

Odwrócił się szybko. Mężczyzna, który pojawił się w mieszkaniu jako pierwszy, syknął przez zęby. Ten drugi cofnął się, gestem pokazał im, że mają się ukryć, a sam stanął tak, by ukryło go skrzydło otwierających się drzwi.

Wszedł Howard. W rękę trzymał małą tacę, mięsistą twarz miał ponurą, wyglądał na przygnębionego. Drgnął, podniósł wzrok, drzwi zatrzasnęły się za nim, taca przechyliła, stalowy klin ugodził go za uchem. Upadł jak ścięte drzewo. Mężczyzna, który go uderzył, pochylił się nad nim szybko, spojrzał mu w twarz, wstał i powrócił na stanowisko przy drzwiach.

– Trucizna – usłyszał Graham wyszeptane do ucha słowo.

Nagle zapadła ciemność. Zgasły niepoliczalne światełka w gzymsach. Graham spojrzał w otwór wentylatora, zobaczył wirujące płatki śniegu i ciemne, poruszające się szybko sylwetki. Trzy z nich przyklekły na skrzydłach wiatraka. Spuściły przez komin coś, co nie od razu rozpoznał w ciemności... tak, to była drabina. Pojawiła się dłoń trzymająca słabe żółte światełko.

Graham nie od razu podjął decyzję. A jednak zachowanie tych ludzi, ich pospieszne, nerwowe ruchy i to, co usłyszał, doskonale uzupełniały jego własny strach przed Radą, a także marzenia o ratunku, o ucieczce. Wahał się bardzo krótko. A poza tym, czekali na niego jego ludzie!

– Nie rozumiem tej sytuacji – powiedział – ale wam wierzę. Powiedzcie mi, co mam robić.

Mężczyzna z rozciętym czołem chwycił go mocno za ramię.

– Wejźdź po drabinie – szepnął. – Szybko. Musieli coś usłyszeć...

Graham wymacał drabinę wyciągniętymi rękami. Postawił nogę na najniższym szczeblu. Obejrzał się za siebie, ponad ramieniem najbliższego mężczyzny w słabym świetle żółtego płomyka, swego pierwszego gościa, stojącego okrakiem nad ciałem nieprzytomnego Howarda i majstrującego przy drzwiach. Zrobił krok na następny szczebel, popchnięto go od dołu, chwycono od góry i w następnej chwili stał ponad kominem wentylacyjnym, na czymś twardym, zimnym i śliskim.

Zadrżał. Zaskoczyła go wielka różnica temperatur. Wokół niego stało kilku mężczyzn, płatki śniegu padały na twarze, na dłonie i topniały. Przez chwilę było ciemno, potem ciemność przeszył promień upiornego biało-fioletowego światła i zgasł.

Graham zorientował się, że stoi na dachu wielkiego budynku, który zastąpił pojedyncze domki, ulice i otwarte przestrzenie wiktoriańskiego Londynu. Dach był płaski, pokryty grubymi, poskręcany przewodami, rozchodzącymi się we wszystkich kierunkach. Mimo mroku i padającego śniegu widać było, choć niewyraźnie, gigantyczne skrzydła wiatraków. Słysząc też było ich to rosnący, do opadający w rytmie podmuchów wiatru ryk. Gdzieś daleko w dole pobłyskiwało białe światło, wyłaniając z ciemności iskrzące się kłęby śniegu, a jeszcze niżej pracowały jakieś również napędzane wiatrem mechanizmy, wyrzucające kłęby iskier.

Do Grahama obrazy te docierały w przypadkowej kolejności i we fragmentach. Stał nieruchomo, otoczony przez tych, którzy go uratowali. Ktoś narzucił mu na ramiona gruby płaszcz z materiału przypominającego w dotyku futro, zapinany na pasy ze sprzączkami w pasie i na ramionach. Ktoś powiedział coś krótko, tonem rozkazu. Ktoś inny pchnął go do przodu. Nim zupełnie oprzytomniał poczuł czyjąś dłoń zaciskającą mu się na ramieniu.

– Tędy. – Ciemna, ledwie widoczna sylwetka wskazała mu drogę przez dach, ku słabemu półkolu światła. Graham natychmiast ruszył w tym kierunku. Potknął się o kabel. – Uważaj – usłyszał ostrzeżenie. – Idź między kablami, nie przekraczaj ich. – I po chwili: – Musimy się spieszyć.

– Gdzie ludzie? Mówiłeś, że na mnie czekają?

Nie otrzymał odpowiedzi na to pytanie. Przejście zwężyło się, tajemniczy mężczyzna puścił jego ramię. Szedł pierwszy, szybko. Graham nadążał za nim z trudem, niemal nic nie widział. Po kilku krokach musiał biec.

– Gdzie ludzie? – wydyszał. Znow nie dostał odpowiedzi. Jego przewodnik obejrzał się za siebie, po czym on też zaczął biec. Graham dostrzegł rodzaj metalowej, otwartej dróżki. Biegła poprzecznie do kierunku, w którym się poruszali. Skręcili w nią. Obejrzał się za siebie, ale jeśli ktoś podążał za nimi, to zasłaniał go śnieg.

– Pośpiesz się, panie – ponaglił go ich przewodnik. Podbiegli do małego wiatraka, obracającego się wysoko w powietrzu. – Stać. – Graham zatrzymał się posłusznie. Udało się im nie wpaść na pas, poruszający się z rykiem wzdłuż trzonu wiatraka. – Teraz tędy. – Wpadli po kostki w kanał ściekowy, wypełniony wodą z topniejącego śniegu. Po bokach mieli metalowe bariery, początkowo niskie, potem już sięgające pasa. – Pójdę

pierwszy. – Graham ciaśniej otulił się płaszczem i podążył za przewodnikiem. Znaleźli się na krawędzi wąskiej szczeliny, tak głębokiej, że pozornie nie miała dna. Ściek przeskakiwał nad nią, a po przeciwnej stronie ginał w mroku i śnieżycy. Graham wyrzwał przez barierę, zobaczył tylko ciemność. Przez moment pożałował ucieczki. Nie ośmielił się wyrzeć ponownie. Przedzierał się przez śniegowe błoto walcząc z zawrotami głowy.

Wyszli z kanału ściekowego. Biegli po płaskiej powierzchni wilgotnej od topniejącego śniegu, w połowie półprzezroczystej, podświetlonej od spodu światłem to zapalającym się, to gasnącym. Graham zawahał się, tworzywo nie wyglądało na wytrzymałe, ale przewodnik nie wahał się ani przez chwilę, poszedł więc w jego ślady. Tak dobiegli do śliskich stopni przy krawędzi szklanej kopuły, Okrążyli ją. Daleko w dole jacyś ludzie wydawali się tańczyć, dobiegły ich dźwięki muzyki. Grahamowi wydawało się, że słyszy okrzyki, dobiegające zza kurtyny śniegu, a jego przewodnik jeszcze przyspieszył. Zdyszani zatrzymali się wśród wielkich wiatraków. Jeden z nich był tak ogromny, że końce jego skrzydeł widać było tylko w dolnej części ich biegu; pojawiały się i natychmiast znikwały w ciemności nocy, wśród zamieci. Przez dłuższy czas pędzili po siatce ich wielkich metalowych wsporników, aż znaleźli się bezpośrednio nad ruchomymi platformami przypominającymi te, które Graham oglądał z balkonu. Na kolanach przeszli po pochyłym przezroczystym materiale tworzącym nad nimi dach. Nie mogli iść normalnie, śnieg był zbyt śliski.

Niemal całe szkło pokrywała cienka warstwa wody, więc Graham widział tylko zamazane kształty nie do rozpoznania. Na szczycie było jednak czyste. Spojrzał w dół. Natychmiast zakręciło mu się w głowie i choć przewodnik nalegał na pośpiech, on leżał płasko na tafli szkła, z wyciągniętymi na boki rękami i nogami. Czuł mdłości, nie był w stanie się poruszyć. Gdzieś tam, w dole, mieszkańcy nigdy nie zasypiającego miasta, nie znającego nocy i ciemności – z tej wysokości zaledwie małe ruchome plamki – spieszyli gdzieś w sobie tylko znanych sprawach, a platformy poruszały się bez przerwy, tu i tam, szybciej i wolniej. Pośtańcy i inni ludzie mający coś do załatwienia ślizgali się po linach, pełno było ich też na kruchych mostkach. Było zupełnie tak, jakby zajrzał w głąb gigantycznego szklanego mrowiska, tak dalekiego, a jednak odgradzonego zaledwie taflą szkła nieznannej wytrzymałości. Jeśli szkło pęknie, po prostu

wpadnie do środka. Jasno oświetlona ulica promieniowała wrażeniem ciepła, a on był już przemoczony do gołej skóry. Stracił czucie w przemarzniętych stopach. Był pewien, że nie zdoła się poruszyć!

– Szybko! – krzyknął jego przewodnik. W jego głosie słychać było strach. – Szybko!

Z wielkim wysiłkiem Grahamowi udało się wspiąć na sam szczyt kopuły. Następnie, w strumykach wody z topniejącego śniegu, obaj zjechali po drugiej stronie. Graham nie mógł nie zadać sobie pytania co się stanie, jeśli zaczepi o najdrobniejsze choćby pęknięcie. Ale dojechali do końca bez przeszkód. Stanęli, chwiejąc się lekko na nogach.

Przed sobą, widoczny przez płatki śniegu, mieli kolejny szereg ogromnych wiatraków. I nagle, wśród ich chaotycznie wirujących skrzydeł, rozległ się ogłuszający dźwięk, przeraźliwy mechaniczny zgrzyt o tak niezwykłym natężeniu, że wydawał się dobiegać ze wszystkich kierunków na raz.

– Odkryli naszą ucieczkę! – krzyknął przewodnik, nie kryjąc przerażenia.

W jednej chwili, w jednym potężnym oślepiającym błysku, noc zmieniła się w dzień.

Wysoko ponad falą niesionego wiatrem śniegu, ze szczytów wiatraków wyrosły maszty, każdy zwieńczony płonąca blaskiem kulą. Ich światło sięgało wszędzie, we wszystkich kierunkach. Jak okiem sięgnąć widać było odbijające jego promienie płatki śniegu.

– Tędy! – Przewodnik pchnął Grahama na długą ścieżkę z metalowej kratki, wolną od śniegu, biegnącą pomiędzy wznoszącymi się lekko zaśnieżonymi płaszczyznami. Kratka ogrzewała stopy, unosiły się z niej pasemka pary. – Szybciej – krzyknął. Dzieliło ich w tej chwili około dziesięć metrów. Nawet na niego nie czekając, opiekun Grahama pobiegł dalej poprzez jaskrawo oświetloną przestrzeń ku wspornikom kolejnego rzędu wiatraków. Graham opanował zdumienie. Ruszył w ślad za nim, także biegiem, przekonany, że lada chwila ktoś doścignie ich, uwięzi...

Po kilkunastu sekundach znaleźli się w tam, gdzie ruchome skrzydła na przemian to przepuszczały światło, to rzucały długie pasy cienia. Przewodnik biegł jeszcze przez chwilę, a potem nagle odskoczył w bok i znikł w plamie cienia w narożniku przy masywnej podstawie jednego

z wiatraków. Graham dołączył do niego zaraz potem. Oddychał ciężko, choć jak mógł najciszej.

Wyteżyli wzrok.

Scena, którą obserwował Graham, była dziwna i całkiem niezrozumiała. Śnieg prawie już nie padał, tylko tu i tam przelatywało od czasu do czasu kilka jego spóźnionych płatków. Mimo to ogromna, rozciągająca się przed nimi płaszczyzna wydawała się wręcz upiornie biała, czym kontrastowała z wielkimi ruchomymi pasmami nieprzeniknionej ciemności, prawdziwymi tytanami uczynionymi z cienia. Otaczała ich masywna, choć ażurowa metalowa konstrukcja nieludzkiego rozmiaru i wielkiej komplikacji. Skrzydła wiatraków poruszały się w ciszy niemal niezauważalnie, zataczały kręgi, tnąc krawędziami prześwieloną wszechobecnym blaskiem wilgotną mgiełkę. Gdziekolwiek spojrzeł, widział metalowe belki konstrukcyjne, wsporniki, a także niezmordowany, powolny mechaniczny ruch, w górę i w dół, ze światła w cień. Potężny, wydający się działać niezwykle sprawnie i celowo mechanizm, mógł się doskonale obchodzić bez ludzkiego wsparcia. Byli tu tylko oni i ośnieżona pustka, nie widzieli śladu innych ludzi, równie dobrze mogli znaleźć się nagle gdzieś, na niedostępnym alpejskim lodowcu.

– Będę nas ścigać! – krzyknął jego towarzysz. – A my nie jesteśmy nawet w połowie drogi! Jest zimno, ale mimo to musimy się tu ukryć. Co najmniej do chwili, kiedy znów zaczną padać śnieg.

Słyszał, że szczeka zębami.

– Gdzie te hale? Gdzie inni ludzie – spytał Graham. Nie otrzymał odpowiedzi.

– Popatrz – szepnął Graham. Przykucnął, znieruchomiał.

Śnieg zgęstniał nagle. Wraz z jego kłębamii z czarnej jamy nieba spłynęło coś bardzo niewyraźnego, dużego i szybkiego. Spadało w dół niemal pionowo, wykonało skręt, skrzydła miało szeroko rozpostarte, za ogonem ciągnął się biały pas kondensacji. Wzniosło się z oszałamiającą łatwością, wyrównało i lotem poziomym, w szerokim skręcie, znikło z pola widzenia, przysłonięte kurzawą śniegu. Poprzez ozebrowanie konstrukcji widać było dwóch ludzi, małych, bardzo aktywnych, obserwujących pole śniegu przez coś, co bardzo przypominało lornetkę. Widział ich wyraźnie zaledwie przez sekundę, potem przysłonił ich śnieg, po czym znikli mu z oczu w oddali.

– Teraz! Teraz!

Pociągnął za rękaw człowieka z przeszłości. Ile sił w nogach obaj popędzili przez metalowy labirynt, mając nad głową wirujące wiatraki. Biegący na oślep Graham wpadł na swego przewodnika, kiedy zatrzymał się on nagle i obrócił w jego kierunku. Zaledwie kilkanaście metrów dzieliło ich od wypełnionej czernią przepaści, ciągnącej się jak okiem sięgnąć i w lewo, i w prawo.

– Rób to, co ja – padło wydane szeptem polecenie. Towarzysz Grahama podpełzł do granicy przepaści, wysunął za nią głowę i obrócił się tak, żeby spuścić w nią nogę. Wydawało się, że szuka oparcia. Po chwili znikł, a potem jego głowa znów się pojawiła.

– Tu jest gzyms. W ciemności. Biegnie w obie strony aż do końca. Rób to co ja.

Graham wahał się, ale w końcu padł na kolana, podpełzł do krawędzi, zajrzał w aksamitną głęboką czerń. Przez chwilę, czując mdłości, nie miał odwagi ani posunąć się dalej, ani też się cofnąć. Zdobył się jednak na to, by usiąść, zwiesić nogę. Poczul ręce na ciele, przewodnik pociągnął go w dół, doznał obrzydliwego uczucia, że ześlizguje się w bezdenną przepaść, po czym rozległ się plusk. Stał w kanale ściekowym, pogrążonym w nieprzeniknionej ciemności.

– Tędy – szepnął głos. Popęzli kanałem wypełnionym lodowatą wodą, przyciskając ciała do ściany. Trwało to kilka wyjątkowo długich minut. Graham cierpiał niewymownie, przemoczony drętwiał z zimna, był skrajnie wyczerpany. Już wkrótce nie czuł ani rąk, ani nóg.

Ściek prowadził w dół. Graham szybko zorientował się, że są już daleko poniżej krawędzi budynków. Nad głowami mieli rzędy upiornie białych kształtów wyglądających jak duchy zasłoniętych roletami okien.

Pod jednym z owych okien umocowana była lina, ledwie widoczna i niemal natychmiast niknąca w dole, w nieprzeniknionej ciemności. Przewodnik chwycił go za rękę.

– Nie ruszaj się – szepnął.

Zaskoczony, Graham spojrział w górę. Latająca maszyna przesuwiała się w ciszy po szarosinym, upstrzonym kłębami śniegu niebie. W chwilę później znikła mu z oczu.

– Nie ruszaj się, oni tylko zawracają!

Trwali, nieruchomi. W końcu towarzysz Grahama wyprostował się, chwycił linę, zaczął majstrować przy zapięciach i niewidocznym wielokrążku.

– Co to jest? – spytał go Graham.

Odpowiedzią był cichy, rozpaczliwy krzyk. Przewodnik przykucnął, znieruchomiał. Graham wyteńczył wzrok. W ciemności widział tylko bladą plamę jego twarzy, zorientował się jednak, że wpatruje się on w wąski pasek nieba. Podążył za jego spojrzeniem. Zobaczył latającą maszynę, małą, odległą kropkę. Zobaczył też, jak po jej obu stronach pojawiają się skrzydła, jak kieruje się wyraźnie w ich stronę i jak z każdą chwilę robi się coraz większa. Leciała w ich stronę wzdłuż krawędzi przepaści.

Ruchy przewodnika stawały się coraz bardziej gorączkowe. Wepchnął Grahamowi w rękę dwie części w kształcie odwróconej litery „T”; nie widział ich, kształt rozpoznał dotykiem. Przymocowane były do liny, wyposażone w uchwyty na ręce, sporządzone z jakiejś elastycznej substancji.

– Wsuń poprzeczki między nogi. – Mimo, iż szeptał, w głosie przewodnika brzmiały akcenty hysterii. – Trzymaj się uchwytów. Trzymaj się ich bardzo mocno! – Graham uczynił, co mu rozkazano. – A teraz skacz! Wielkie nieba, skacz, mówię!

Przez jedną, jakże istotną sekundę Graham nie potrafił wydobyć głosu z gardła. Już po wszystkim był szczęśliwy, że jego twarz pozostała wówczas niewidoczna. Milczał. Drżał na całym ciele. Zerknął w bok, poruszający się z błyskawiczną szybkością cień zasłonił już niebo i nadal mknął w ich kierunku.

– Skacz! Skacz, w imię Boże! Albo nas dopadną! – To rozpacz w tym krzyku przerwała stan paraliżu, pchnęła go do działania. Graham zachwiał się, krzyknął ochryple przez zduszone gardło i w chwili, gdy latająca maszyna znalazła się niemal dokładnie nad nimi, skoczył w ciemność siedząc na drewnianym krzyżu, z rękami kurczowo zaciśniętymi na uchwytach. Usłyszał trzask i szybki stuk czegoś uderzającego w ścianę. Słyszał szum przesuwających się po linie, obracających szybko kółek. Słyszał krzyki aeronautów. Czyjeś kolana uderzyły go w plecy. Mknął w powietrzu, spadał przez powietrze. Całą dostępną siłę przeniósł na dłonie. Krzyczałby, gdyby zdołał zaczerpnąć oddechu.

Wpadł w oślepiające światło, jeszcze mocniej zacisnął dłonie. Rozpoznał szeroką ulicę z ruchomymi traktami, wiszącymi światłami i krzyżującymi się dźwigarami. Przemknęły błyskawicznie, w górę i znikły za jego plecami. Przed sobą dostrzegł coś, co wyglądało jak wielkie, rozwarte usta, gotowe go pochłonać.

I znów ciemność. Znów spadał, spadał, spadał, bolały go zaciśnięte place i nagle pojawiły się dźwięki, głosy, światło, znalazł się w jasno oświetlonym wnętrzu, a pod nim były tłumy. Tłum rozkrzyczanych ludzi, jego ludzi. Podbiegło ku niemu proscenium, scena, lina biegła w dół do otworu na prawo od niej. Poczł że zwalnia, że porusza się już bardzo powoli. Rozpoznawał słowa: „Ocalał! Władca ocalał!”. Scena zbliżała się, coraz wolniej. I...

Podróżujący za nim mężczyzna wykrzyknął coś z przerażenia. Jego krzyk powtórzyli ci na dole. Graham poczuł, że nie zsuwa się już po linie, lecz że wraz z nią spada. I te krzyki, te krzyki! Wyciągniętą ręką dotknął czegoś miękkiego, ramię przeszył mu ból uderzenia...

Nie chciał się poruszać, lecz ludzie go podnosili. Potem wydawało mu się, że zanieśli go na scenę, że dali mu coś do picia, ale wcale nie był tego pewien. Nie zauważył, co stało się z jego przewodnikiem. A kiedy już odzyskał panowanie nad zmysłami dotykał stopami ziemi, a ludzie pomagali mu wstać. Znajdował się w wielkiej niszy, doświadczenie z dawnych czasów mówiło mu, że w łoży parteru. Jeśli to rzeczywiście był teatr.

W uszach huczały mu okrzyki: „Oto Śpiący! Śpiący jest wśród nas! Śpiący jest wśród nas! Władca! Właściciel! Władca jest z nami! Jest bezpieczny!”.

Graham zdołał już rozpoznać, że znajduje się w wielkiej zatłoczonej sali. Nie widział pojedynczych osób, lecz morze różowych twarzy, machających rąk, powiewających szat, czuł niemal okultystyczne oddziaływanie tłumu uspokajające i dodające mu sił. Były tu balkony, były galerie, były wielkie łuki otwierające się na odległe perspektywy i wszędzie pełno ludzi, arena ludzi, ściśniętych jeden przy drugim, wiwatujących. Pod jego nogami leżał kawał liny jak martwy wąż. Obsługa latającej maszyny ucięła ją przy końcu, na wysokości, więc opadła tu, zwinięta. Jacyś ludzie właśnie usuwali tę przeszkodę. Lecz to wszystko docierało do niego

niewyraźnie, jakby z bardzo daleka, a cały budynek drżał i trzął się od okrzyków.

Graham stanął niepewnie, rozejrzał się dookoła. Ktoś chwycił go za ramię, pomógł mu odzyskać równowagę.

– Przeprowadźcie mnie do małego pokoju – powiedział Graham. Z oczu ciekły mu łzy. – Małego pokoju – powtórzył. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Odziany w czerń mężczyzna zbliżył się do niego, wziął go za drugie ramię. Jacyś bardzo oficjalnie wyglądający ludzie otworzyli przed nim drzwi. Ktoś podprowadził go do fotela. Zachwiał się, opadł ciężko na siedzisko, ukrył twarz w dłoniach. Drżał, zaledwie nad sobą panował. Ktoś zdjął płaszcz z jego ramion, nie pamiętał potem tej chwili. Fioletowa szata pod płaszczem była czarna od potu.

Ludzie biegali wokół niego, coś się działo, ale przez jakiś czas nie zwracał na to uwagi.

Uciekł. Mówiły mu o tym okrzyki tłumu. Znalazł bezpieczeństwo wśród ludzi, którzy stanęli po jego stronie. Minęła długa chwila, nim był w stanie swobodnie oddychać. Siedział nieruchomo, kryjąc twarz w dłoniach. Powietrze przeszywały okrzyki nieprzeliczalnej rzeszy ludzi.

ROZDZIAŁ IX

MARSZ LUDU

Graham uświadomi sobie, że ktoś wciska mu do ręki szklanę czystego płynu. Podniósł wzrok. Był to młody mężczyzna o ciemnej skórze, ubrany w żółty strój. Wypił napój jednym łykiem, natychmiast odzyskał energię. Stojący obok niego wysoki mężczyzna w czarnej szacie wskazał mu gestem półotwarte drzwi, prowadzące do wielkiej sali. Krzyczał mu przy tym coś wprost do ucha, a jednak nie dało się go zrozumieć, tak hałasowali zgromadzeni. Mężczyźnie towarzyszyła kobieta w srebrzystoszarej szacie, nawet tak wytrącony z równowagi Graham zauważył, że jest bardzo piękna. Dziewczyna wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi ze zdumienia i z ciekawości ciemnymi oczami, jej rozchylone wargi drżały. Przez niedomknięte drzwi widać było tłumy, dobiegał przez nie także dźwięk nierówny, ale potężny: tupanie, oklaski i krzyki, to cichnące, to znów coraz głośniejsze, ogłuszające. Było tak przez cały czas, który spędził w mniejszym pokoiku.

Graham obserwował usta mężczyzny w czerni. Po dłuższym czasie dotarło do niego, że coś mu on wyjaśnia. Przyglądał mu się bezmyślnie, a potem, nagle, poderwał się z fotela, chwycił mężczyznę za ramiona.

– Powiedz mi! – krzyknął. – Powiedz mi, kim jestem! – Na dźwięk jego głosu obecni podeszli bliżej. – Kim jestem? – Przeskakiwał wzrokiem z jednej twarzy do drugiej.

– Nie powiedzieli mu! – krzyknęła dziewczyna.

– Więc wy mi powiedzcie!

– Jesteś panem Ziemi! Jesteś jej właścicielem. Właścicielem świata.

Graham nie uwierzył im, był pewien, że źle słyszy. Odpychał od siebie ich słowa. Udawał, że nie słyszy, że nie rozumie. Podniósł głos.

– Przebudziłem się przed trzema dniami. Przez trzy dni byłem więźniem. Jak rozumiem doszło do walki pomiędzy grupą mieszkańców tego miasta... czy to Londyn?

– Tak – przytaknął młodszy z mężczyzn.

– A ci, którzy spotykają się w wielkiej sali z posągiem Atlasa? Czy jestem z nimi związany? Muszą mieć ze mną coś wspólnego. Nie wiem jak. Narkotyki? Wydaje mi się, że kiedy spałem świat oszalał. Ja oszalałem. Co to za rada, tam, pod statuą Atlasa? Dlaczego mieliby chcieć podać mi narkotyki?

– Żeby pozbawić cię świadomości – wyjaśnił mężczyzna w żółtej szacie. – Żebyś się nie wtrącał.

– Ale dlaczego?

– Bo to ty jesteś Atlase, panie. Ty dźwigasz świat na barkach. Oni rządzą w twoim imieniu.

Hałas dobiegający z wielkiej sali umilkł, słychać było już tylko jeden przemawiający monotonicznie głos. Lecz nagle, jakby dla potwierdzenia tych słów, wszczęło się ogłuszające zamieszanie, krzyk jak grzmot, brawa, owacje, rytmiczne skandowanie. W małym pokoju nie sposób było rozmawiać, nie usłyszeliby się nawzajem.

Graham wyęczał całą swą inteligencję próbując zrozumieć to, co usłyszał.

– Rada... – powtórzył. Nagle przypomniało mu się imię, które usłyszał wcześniej. – Ostrog – powtórzył je. – Kim jest Ostrog?

– Organizatorem... organizatorem buntu. Naszym przywódcą... w twoim imieniu, panie.

– W moim imieniu? A ty? Dlaczego go tu nie ma?

– Wyznaczył nas na swych przedstawicieli. Jestem jego bratem. Przyrodnim. Mam na imię Lincoln. Chce, żebyś pokazał się tym ludziom, a potem poszedł do niego. Nie przyszedł sam, gdyż dowodzi ze stanowiska przy wiatrakach. Ludzie powstali. Jednoczy ludzi.

– W twoim imieniu! – krzyknął ten młodszy. – Rządzili, tyranizowali, miażdżyli! A w końcu...

– W moim imieniu? W moim imieniu? Pan i Władca...

Głos młodszego, przez chwilę zagłuszony hałasami dobiegającymi z sali, znów stał się słyszalny, zrozumiały. Był to głos wysoki i przenikliwy, wydobywający się z ust zakrytych obfitym wąsem pod czerwonym, dużym orlim nosem.

– Nikt nie spodziewał się twego przebudzenia! Nikt nie spodziewał się twego przebudzenia! Tacy sprytni byli! Przekłęci tyrani! Ale musieli się

zdziwić! Nie wiedzieli co zrobić. Narkotyki? Hipnoza? A może zabójstwo? – I znów hałas uniemożliwił im rozmowę. – Ta, Ostrog jest w kwaterze przy wiatrakach. Jest gotów. Mamy już informacje o rozpoczynających się walkach.

Do Graham zbliżył się mężczyzna imieniem Lincoln.

– Ostrog zaplanował to wszystko – oznajmił. – Proszę mu zaufać. Nasza organizacja jest gotowa. Przechwyci płyty lotu... być może robi to właśnie w tej chwili.

– Teatr publiczny – wykrzyknął ile sił w płucach mężczyzna w żółtej szacie – wypełnia tylko część naszych ludzi. Mamy milion wyćwiczonych...

– Mamy broń. – Lincoln także krzyczał. – Mamy plany! Mamy wodza! Policja zesła z ulic, gromadzi się... – w tym momencie przestali go słyszeć, a potem jego głos powrócił. – Teraz albo nigdy. Władza Rady chwieje się. Wątpię już nawet w karne oddziały...

– Słyszysz wzywający cię lud.

Umysł Grahama przypominał nieco nocne niebo, o którym silny wiatr przewiewa chmury, to mroczny, burzowy, to znów niezwykle jasny. Był Władcą Ziemi, był człowiekiem przemoczonym przez topniejący śnieg. Z wrażeń, których doznał do dziś, dwa najsilniejsze były jednocześnie przeciwstawne: z jednej strony Biała Rada, potężna, nieliczna i zdyscyplinowana, Biała Rada, której udało mu się uciec, z drugiej monstrualne rozwrzeszczane tłumy, masy ludzi pozbawionych cech indywidualnych, rysów twarzy, wznoszące okrzyki ku jego czci, nazywające go Władcą. Jedna strona uwięziła go i planowała zabić, druga, od której dzieliły go cienkie drzwi, uratowała mu życie. Tylko czemu nic z tego nie rozumiał?

Drzwi otworzyły się. Głos Lincoln ucichł, stłumiony krzykiem tłumy, pojawili się zaś ludzie, zmierzający w ich kierunku jakby niósł ich hałas. Podbiegli do nich, wymachując rękami, zaś przez drzwi słyhać było skandowane słowa, które dawało się też odczytać z ruchu ich warg: „Pokażcie Śpiącego! Pokażcie Śpiącego!”. Odpowiadały na nie okrzyki: „Spokój!” i „Cisza!”.

Graham wyjrzał przez otwarte drzwi, prowadzące do wysokiej prostokątnej sali, wypełnionej przez kobiety i mężczyzn, przez twarze o otwartych ustach, falujące jasnoniebieskie szaty, uniesione ramiona.

Niewielu z tych ludzi siedziało, a jeden z mężczyzn, chudy i wynędzniały, odziany w obszarpany ciemnobrązowy strój, stał na fotelu, wymachując czarną płachtą. Spojrzał w oczy dziewczyny, zachwycone i wyczekujące. Czego się po nim spodziewano? Miał niejasne wrażenie, że dobiegające go głosy brzmią nieco inaczej, że stały się równe, zdyscyplinowane, on sam zaś myśli inaczej. Nie od razu zrozumiał skąd ta zmiana. Nie czuł już paniki, próbował nawet dowiedzieć się, czego się od niego oczekuje. Lincoln krzychał mu coś do ucha, ale nie sposób było go usłyszeć i zrozumieć. Wszyscy inni, oprócz kobiety, pokazywali gestami salę. Teraz rozumiał, co się zmieniło. Ludzie, wszyscy ludzie, śpiewali. Nie było to zwykła pieśń. Głosy ludzi zbierał i niósł w górę prąd potężnej muzyki, rzeka łączonych w jedno tonów, trąby, powiewające sztandary, marsze, obraz rozpoczynającej się wojny. Ludzkie stopy wybijały rytm, łup, łup.

Popchnięto go w stronę drzwi. Ruszył w tym kierunku mechanicznie, bez udziału woli. Siła, którą dał mu śpiew ożywiła go, uczyniła śmielszym. Przed jego oczami rozpostarła się sala, morze kolorów falujące do muzyki.

– Pomachaj im – podpowiedział mu Lincoln. – Pomachaj tak, żeby widzieli.

– Ale to – odezwał się ktoś, stojący przy drugim jego boku. – Musi mieć to.

Zatrzymał go dotyk dłoni na szyi. Na ramiona zarzucono mu czarną, układającą się w idealne fałdy pelerynę. Odrzucił ją, oswobadzając ramię. Poszedł za Lincolnem. Przy boku miał dziewczynę w szarej szacie, trzymającą się prosto, z twarzą rozplamioną radością. W jednej chwili to ona, odważna, gotowa do działania, stała się dla niego wcieleniem pieśni.

Stał w niszy. Majestatycznie rozkołysane fale pieśni rozpląnęły się z jego pojawieniem, wystrzeliły pianą okrzyków. Prowadzony dotykem dłoni Lincolną przeszedł na środek sceny. Zatrzymał się twarzą do widowni.

Sala zbudowana została w sposób dekoracyjny i skomplikowany: galerie, balkony, amfiteatralne schody, wyniosłe łuki. Dalekie i wysokie, bardzo wysokie, wydawało się wejście do ogromnej przestrzeni, zatłoczonej falującym tłumem. Widział tylko ruchomą ludzką masę, z której wypływały na powierzchnię pojedyncze ludzkie figurki, narzucały się jego oczom i natychmiast nikły. Blisko sceny kołysała się utrzymywana na ramionach trzech mężczyzn piękna kobieta z opadającymi na twarz

włosami i zieloną różdżką w dłoni. Grupa mężczyzn o zmęczonych twarzach, w niebieskich szatach, popychanych, z trudem utrzymujących się na nogach, za nimi bezwłosa twarz, bezzębne usta otwarte, krzyczące. Głos wykrzykujący tajemnicze słowo „Ostrog”. Te wszystkie wrażenia wydawały mu się ulotne, w porównaniu z pieśnią i tupotem stóp. Tłum wybijał rytm, łup, łup, łup. Zielona broń przechylała się w powietrzu to w tę, to w tamtą stronę. Błyskała. Dopiero teraz zorientował się, że najbliżsi mu ludzie, stojący przed nim, na poziomie sceny, rzeczywiście maszerują, przechodzą pod wielkim łukiem, krzyczą „Do Rady! Do Rady!”. Łup,! Łup! Łup! Podniósł rękę, krzyk jeszcze się wzmógł. Przypomniał sobie, że powinien krzyczeć „Marsz!”. Z jego ust wybiegły niesłyszalne heroiczne słowa. Jeszcze raz machnął ręką, krzycząc „naprzód!”. Ludzie już nie tupali rytmicznie, ludzie naprawdę szli przed siebie, łup, łup, łup. Byli wśród nich starzy mężczyźni, byli brodaci mężczyźni, byli młodzieńcy, były dziewczynki i kobiety w każdym wieku, ubrane w powiewne szaty, odsłaniające ramiona. Kobiety i mężczyźni nowego wieku! Bogate szaty i szare szmaty powiewały w rytm kroków wśród wszechobecnego błękitu. Nad ich głowami, po prawej stronie, unosiła się monstrualnej wielkości czarna chorągiew. Widział murzynkę w błękitach, skurczoną wiekiem kobietę w żółci, a po nich przemaszerowała teatralnie grupa wysokich jasnowłosych mężczyzn o bladych twarzach, odzianych w niebieskie kombinezony. Zauważył dwójkę Chińczyków. Wysoki, chudy, bardzo blady młodzik, w bieli od stóp do głów, wspiął się na scenę, wypowiedział słowa oddania i zeskoczył na dół, po czym cofał się, oglądając się za siebie. Głowy, ramiona, dłonie zaciśnięte na broni poruszały się w rytm muzyki.

Z ludzkiej masy wyłaniały się twarze, spojrzenia krzyżowały się, ludzie przechodzili obok i znikali. Mężczyźni machali do niego, wykrzykując coś, czego nie sposób było usłyszeć. Wiele z tych twarzy było ciemnych, zarumienionych, lecz niektóre wydawały się wręcz upiornie blade. Szalała tu jakaś choroba, gestykulujące dłonie były kościste, chude. Kobiety i mężczyźni nowej ery! Co za dziwne, co za nieprawdopodobne spotkanie! Ich strumień przepływał przed nim, zasilany niewyczerpanymi, zdawało się, dopływami opadającymi z górnej części sali, łup, łup, łup. Bogactwo pieśni wzmagало, a jej podniosły ton uzupełniało echo, rodzące się w labiryncie łuków i przejść. Mężczyźni i kobiety różnych statusów, razem,

łup, łup, łup. Cały świat wydawał się maszerować. Jego mózg maszerował, łup, łup, łup. Stroje powiewały, twarze, twarze, twarze, coraz więcej twarzy.

Łup, łup, łup – pod naciskiem dłoni Lincolna Graham odwrócił się w stronę łuku. Szedł nieświadom faktu, że dostosowuje krok do muzyki, że to muzyka nadaje mu rytm. Tłum, krok, pieśń... cały ruch odbywał się w jednym kierunku, wprost i w dół, aż wreszcie zwrócone ku niemu twarze znalazły się poniżej poziomu jego stóp. Graham widział formującą się drogę, którą miał pójść, był świadom otaczającej go wielkiej sali, straży i osób wyżej postawionych, trzymającego się jego prawej strony Lincolna. Interweniowała służba, od czasu do czasu zasłaniali mu widok na masy po jego lewej ręce. Przed sobą miał mężczyzn w czerni: trzech, trzech i jeszcze raz trzech. Prowadzono go wąskim ogrodzonym przejściem przechodzącym nad łukiem. Dołem nadal płynęła rzeka ludzi i cały czas ludzie ci wznosili okrzyki. Nie wiedział, dokąd idzie i wcale nie chciał wiedzieć. Obejrzał się na niezwyklej wielkości salę. Łup, łup, łup.

ROZDZIAŁ X

BITWA CIEMNOŚCI

Opuścili oszałamiające ogromem wnętrze. Maszerowali arkadą, wiszącą nad jedną z szerokich ulic ruchomych traktów przecinających miasto. Strażnicy szli przed Grahamem i za Grahamem. Wszystkie kolejne, opadające poziomy traktów zatłoczone były ludźmi maszerującymi, maszerującymi lewa, lewa, krzyczącymi, wznoszącymi ramiona, machającymi rękami, wypełniającymi sobie każdy wolny kawałek przestrzeni, krzyczącymi gdy pojawiali się w polu widzenia, krzyczącymi gdy mijali go, krzyczącymi gdy odchodzili, aż elektryczne kule, wydające się w perspektywie opadać, kryły ich nagie głowy, łup, łup, łup.

Pieśń, docierająca do uszu Grahama, nie wspierana już muzyką, stała się szorstka i wrzaskliwa, a rytmiczny tupot ciężkich kroków, łup, łup, łup, odbijał się dysonansem od nieregularnych kroków niezdyscyplinowanego motłochu, zajmującego wyższe trakty.

W oczy rzucił mu się nagle kontrastowy widok. Budynki po przeciwnej stronie wydawały się opuszczone, nikt nie korzystał z lin i mostków, opuszczonych, ukrytych w cieniu. Pomyślał, że tam przecież też powinno być mnóstwo ludzi.

Odebrał dziwne uczucie... drżenie. Bardzo szybkie drżenie. Znów się zatrzymał. Strażnicy idący przed nim szli dalej, ci którzy go otaczali, stanęli w tej samej chwili co on. Na ich twarzach zobaczył niepokój... strach. To drżenie miało coś wspólnego ze światłami. Podniósł wzrok.

Początkowo wydawało mu się, że ze światłami nie dzieje się nic niezwykłego. Że to coś bez wpływu na zdarzenia dziejące się na dole. Każda kula oślepiającej bieli przygasała jakby ścisnęła ją wielka dłoń, jakby przechodziła skurcz ciemności i zaraz po nim rozkurcz światła. Mrok, blask, mrok, blask, zmiany następowały coraz szybciej.

W następnej chwili Graham zorientował się, że gra światła związana jest w jakiś sposób z maszerującymi dołem ludzkimi masami. Domy i ulice,

i zbity tłum, wyglądały inaczej w grze rażącego blasku na przemian z ruchliwymi głębokimi cieniami. Na jego oczach wiele tych cieni zachowywało się tak, jakby obdarzone były własnym agresywnym życiem. Zbliżały się, wydłużały, poszerzały, rosły szybko i równomiernie... po czym znikwały tylko po to, by pojawić się, wzmocnione.

Pieśń i tupot stóp ustały. Skończył się marsz w określonym kierunku, tłum porywały wiry, topiły odpływy. Rozległy się okrzyki. „Światła!” – krzyczeli ludzie. Mnóstwem głosów jak jednym głosem krzyczeli: „Światła! Światła!”. Spojrzał w dół. W tańczących taniec śmierci migotliwych cieniach ulica stała się nagle polem potwornej walki. Wielkie białe kule zmieniły barwę na fioletowo-białą, potem fioletową z domieszką głębokiej czerwieni, zamigotały, migotały coraz szybciej, rozbłyskiwały, by zgasnąć, a potem po prostu gasły, małe czerwone iskierki we wszechogarniającej czerni. Po dziesięciu sekundach znikły nawet iskierki, pozostała tylko przeraźliwa ciemność, czarny potwór, w którego wnętrznościach zginęły nieprzeliczone rzesz tak kolorowych ludzi.

Wokół siebie czuł, choć ich nie wiedział, obecność wielu osób. Chwycono go za ramiona. Coś uderzyło go mocno w piszczel, donośny głos wykrzyczał mu do ucha: „Wszystko w porządku, wszystko jest w porządku”.

Otrząsnął się z zdumienia, pozbył paraliżu. Zbliżył głowę do głowy Lincolna, aż stuknęli się czołami.

– Skąd ta ciemność! – krzyknął ile sił w płucach.

– Rada odcięła źródła elektryczności oświetlającej miasto. Musimy zatrzymać się... czekać. Ludzie pójdą dalej...

Jego głos zagłuszyły okrzyki „Ratujcie Śpiącego! Zajmijcie się Śpiącym!” Strażnik wpadł na Grahama, nieumyślnie lecz boleśnie uderzył go swą bronią w rękę. Wokół niego zapanował chaos, krzyki z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze, ludzie poruszali się coraz gwałtowniej. Do uszu Grahama docierały jakieś oderwane dźwięki, ale hałas zagłuszał je, nie pozwalał ich rozpoznać. Wykrzykiwano sprzeczne rozkazy, ktoś na te rozkazy odpowiadał. Tuż pod nimi rozległy się nagle przenikliwe krzyki.

– Czerwona policja! – krzyknął mu w ucho głos. Właściciel głosu pozostał niewidoczny, nie sposób było zadać mu pytań.

Następujące szybko po sobie trzaski stawały się coraz wyraźniejsze, przy krawędziach dalszych traktów pojawiły się błyski światła. W ich

blasku widać było to pojawiające się, to znikające głowy i górne części ciał wielu mężczyzn, uzbrojonych tak jak jego strażnicy. Po chwili trzaski te wraz z błyskami były już wszędzie, jak daleko sięgał wzrok.

I nagle ciemność rozstała się niczym teatralna kurtyna.

Błyski światła oślepiały go. Ogrom ludzkiej gotującej się masy przytłaczał. Nad traktami przewalił się wielki krzyk, słychać było w nim nuty tryumfu. Podniósł wzrok w poszukiwaniu źródła światła. Wysoko nad jego głową, na końcu jednej z lin, wisiał mężczyzna, trzymając w ręku sznur ze świecącą oślepiająco lampą na końcu.

Graham znów spojrział na trakty. Nieco dalej dostrzegł czerwony klin. Była to duża grupa mężczyzn odzianych na czerwono, zgromadzonych na jednym z wyższych traktów, przypartych do masywnego, bezlitosnego klifu wielkiego budynku, otoczonego gęstym tłumem przeciwników. Toczyła się tam walka. Broń błyskała, wznosząc się i opadając, głowy widoczne przed chwilą na linii walk znikwały, ich miejsce zajmowały nowe. Błyski zieleni, wyrzucane przez broń, w jasnym świetle zmieniały się jakby w ostre igły dymu. Ale jasne światło zgasło. Nad traktami zapadła ciemność, nie oznaczająca jednak kresu zamieszania.

Coś go uderzyło. Ktoś popychał go w stronę galerii. Ktoś krzyczał, być może krzyczano coś do niego, ale nie potrafił powiedzieć, co. Przyparto go do ściany. Minęło go kilka osób, szły chwiejnie, po omacku. Graham miał wrażenie, że jego strażnicy biją się między sobą.

Nagle znów pojawił się mężczyzna, wiszący na linie, trzymający latarnię. Zrobiło się jasno jak w dzień. Grupa mężczyzn ubranych na czerwono wydawała się większa i bliższa, jej pierwsze szeregi sięgały połowy drogi od traktów do środkowego przejścia. Graham podniósł wzrok. Czerwoni zajęli też pogrążone w cieniu niższe galerie przeciwległego budynku i strzelali teraz ponad głowami towarzyszy, mierząc w kotłującą się masę, nadal zajmującą niższe trakty. Powoli zaczynał rozumieć, co tu się właściwie dzieje. Ci ludzie, jego ludzie, od samego początku szli wprost w pułapkę. Ciemność rozerwała ich szyki, a teraz zaatakowała policja. Uświadomił sobie, że został sam. Strażnicy – i Lincoln wraz ze strażnikami – cofnęli się w stronę galerii, z której szli kiedy jeszcze świeciły światła. Biegli teraz w jego kierunku, gestykulując gwałtownie.

Na traktach wzniósł się wielki krzyk. I nagle cała fasada stojącego z przeciwnej strony ciemnego budynku pokryła się czerwonymi plamami.

Mężczyźni w czerwieni wskazywali go wyciągniętymi rękami. Krzyczeli coś.

– Śpiący! Ratujcie Śpiącego! – poniósł się krzyk.

Coś uderzyło w ścianę nad jego głową. Spojrzał w tym kierunku, zobaczył błyszczący metalowy pocisk w kształcie gwiazdy. Lincoln już był przy jego boku. Zacisnął mu dłoń na ramieniu.

„Stuk, stuk” – minęły go dwa kolejne pociski.

Przez długą chwilę Graham nie był w stanie tego pojąć. Ulica pociemniała, świat wokół niego pociemniał, zapadł nieprzenikniony mrok. Wypaliła się druga flara.

Lincoln ciągnął go wzdłuż arkady.

– Nim znów zapali się światło! – krzyknął.

Jego pośpiech był zaraźliwy, a instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy od wywołanego zdumieniem i poczuciem nierealności paraliżu. Graham zmienił się w ślepe zwierzę, straszliwie bojące się śmierci. Biegł, potykając się w ciemności. Obijał się o strażników, biegnących obok niego. Zależało mu tylko na tym, by biec jak najszybciej, by zniknąć z miejsca, na którym był tak widoczny dla wszystkich.

Trzecia flara rozbłysła tuż po drugiej. Jednocześnie nad traktami poniósł się wielki krzyk, a odpowiedział mu ryk równie wielki, dobiegający z samych traktów. Czerwoni dotarli już niemal do środkowego przejścia. Było ich wielu, bardzo wielu, wszyscy patrzyli na niego i krzyczeli. Biała fasada budynku naprzeciwko cała upstrzona była czerwonymi plamami. Wszystkie te cuda, które się tu działy, dotyczyły jego. Obracały się na osi, którą był on sam.

Strażnicy Rady pragnęli ująć go, przerwać jego ucieczkę. Mógł uznać za wielkie szczęście, że te strzały były pierwszymi od stu pięćdziesięciu lat oddanymi w gniewie. Słyszał, jak kule uderzają w mur nad jego głową. Krople rozgrzanego metalu oparzyły mu ucho. Nawet nie patrząc wiedział, że ma przeciw sobie czerwoną policję, która zasadziła się na niego w budynku naprzeciw, a teraz strzelała do niego, wrzeszcząc.

Jeden z poprzedzających go strażników upadł. Graham nie zdołał się zatrzymać. Przeskoczył przez wijące się ciało. A w następnej sekundzie, cały i zdrowy, znikł w ciemnym przejściu. Ktoś, zapewne pędzący w drugą stronę, wpadł na niego z wielką siłą. Spadał klatką schodową w absolutnej ciemności. Zachwiał się, ktoś znów go potrącił, Graham zatoczył się, oparł

rękami o ścianę. Przygniotły go do niej ruchliwe, wijące się ciała, miały nim na wszystkie strony, w końcu pchnęły w prawo. Unieruchomiła go potężna siła, nie był w stanie chwycić oddechu, miał wrażenie, że pękają mu żebra. Nacisk zmalował na chwilę, a potem ludzka masa poniosła go w stronę wielkiej sali teatru, z której wydostał się przed chwilą. Były chwile, kiedy jego stopy nie dotykały ziemi. Potrącano go, popychano. Słyszał okrzyki: „Zbliżają się! Nadchodzą!”, z bliska dobiegł go stłumiony jęk. Nadepnął stopą na coś ciepłego, znów dobiegł go ten ochrypły jęk. Ludzie krzyczeli „Śpiący Śpiący!” ale sam był tak oszołomiony, że niezdolny wykrztusić słowo.

Słyszał trzaski zielonej broni. Na długą chwilę utracił indywidualną wolę, stał się atomem paniki ślepej, bezmyślnej, mechanicznej. Sam pchał i uderzał, wił się, miażdżony przez ciężar ciał. Uderzył nogą w stopień, a w następnej chwili okazało się, że idzie do góry. Nagle, z wszechobecnej czerni, wyskoczyły ku niemu twarze, upiornie białe, przerażone, spocone, lśniące odbitym światłem. Od jednej z nich, młodego chłopca, dzieliło go dwadzieścia cali, nie więcej. Wtedy było to po prostu przypadkowe zdarzenie, incydent bez wartości emocjonalnej, ale potem twarz ta wracała do niego w snach. Bo ten chłopak, którego ciało utrzymywał w pionie ścisk, został postrzelony i już nie żył.

Wiszący na linie człowiek zapalił czwartą latarnię. Światło wpadło do wnętrza przez ogromne okna i łuki. W jego blasku Graham dostrzegł, że wraz z mnóstwem ciemnych postaci ucieka przez dolny poziom wielkiego teatru. Tym razem obraz był chorobliwie biały, poprzecinany ruchomymi pasami czerni. Czerwona policja, jak się okazało, wyrąbując sobie przejście przez tłum, była już całkiem blisko niego. Nie udało mu się stwierdzić, czy go rozpoznali. Rozejrzał się w poszukiwaniu Lincolna i jego strażników. Okazało się, że Lincoln stoi na scenie, otoczony przez grupę oznakowanych czernią rewolucjonistów. Z tej wysokości rozglądał się, jakby szukając go wzrokiem. Graham zorientował się, że on sam znajduje się niemal po drugiej stronie tłumy i że za nim, oddzielone barierką, są już tylko wznoszące się amfiteatralnie rzędy siedzeń, w tej chwili już pustych. Do głowy wpadł mu pewien pomysł. Ruszył w stronę barierki, odpychając stojących mu na drodze ludzi. Niemal dotarł na miejsce, kiedy światło znów zgasło.

W jednej chwili Graham odrzucił płaszcz, nie tylko krępujący mu ruchy, lecz także wyróżniający go wśród innych. Zsunął go z ramion, usłyszał, jak ktoś płacze się w jego fałdach i upada. W następnej przeszedł przez barierkę i znikł w mroku po jej drugiej stronie. Po omacku dotarł do dolnego końca wznoszącego się do góry przejścia między rzędami foteli. W mroku strzały ustały, a krzyki nieco ścichły. Graham potknął się o niewidoczny w ciemności stopień, upadł... i w tym momencie jeziora i wyspy w czerni pojawiły mu się, wyraźne, przed oczami, krzyk ogłuszył, a do środka przez wyniosłe łuki oraz ogromne okna wpadły oślepiające białe promienie piątej gwiazdy.

Skulił się za rzędem siedzeń. Usłyszał krzyki, szybki warkot broni. Spróbował wstać, ktoś przewrócił go z powrotem na ziemię, lecz jednak udało mu się dostrzec, że otaczają go mężczyźni oznaczeni czernią, że strzelają oni do czerwonych, przeskakują z siedzenia na siedzenie, kryją się za oparciami, by przeładować. Natychmiast ukrył się za oparciami, chroniąc się przed zbłąkanymi pociskami, drącymi pneumatyczne poduszki, pozostawiającymi lśniące rysy na miękkim metalu ram. Instynktownie zarejestrował w pamięci położenie przejść między rzędami, najlepszych dróg ucieczki, gdy znów zapadnie ciemność.

Młody mężczyzna w spłowiałej niebieskiej odzieży przeskoczył przez rząd krzeseł. Jego stopy minęły głowę stulonego za osłoną Grahama o zaledwie parę cali.

– Cześć – przywitał go obojętnie. Nie rozpoznał, z kim na do czynienia. Odwrócił się, wystrzelił, krzyknął „Do diabła z Radą” i już miał wystrzelić po raz drugi, kiedy... stracił połowę szyi. Na policzek Grahama padła kropla wilgoci. Zielona broń zatrzymała się wpół ruchu. Przez chwilę młody człowiek stał jeszcze wyprostowany, z przedziwnie pozbawioną wyrazu twarzą, a potem zaczął powoli pochyłać się w przód, kolana ugięły się pod nim i upadł, a dokładnie w tej chwili zgasło światło.

Graham skoczył na równe nogi. Pobiegł, walczył o życie. Dopadł przejścia, znów potknął się o stopień, przewrócił. Pozbierał się i pobiegł dalej.

Szósta gwiazda rozbłysła, gdy był już blisko wejścia do korytarza. Mógł teraz przyspieszyć. Skręcił za rogiem, gwiazda zgasła. Uderzył w coś, odbił się, potoczył, wstał. Znalazł się w tłumie uciekinierów, biegnących w jednym kierunku. Myślał o tym, o czym z pewnością myśleli oni

wszyscy, pragnął tylko jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od pola walki. Rozpychał się nawet siłą, czuł wokół siebie ludzi, ziemia uciekła mu pod stóp.

Zrobiło się luźniej.

Przez kilka chwil biegł w ciemności krętym korytarzem, a także przez otwartą przestrzeń. Biegł pochyłoną w dół podłogą i schodami, a potem także po poziomym podłożu. Słyszał krzyki dobiegające z wielu gardeł: „Nadchodzą! Strażnicy nadchodzą! Strzelają! Uciekajmy przed walką, strażnicy strzelają. Na Siódmy Trakt! Na Siódmym Trakcie będziemy bezpieczni!”. W tłumie byli nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety i dzieci.

Tłum zgęstniał pod łukiem, przeszedł pod nim, i znów znalazł się na szerszej przestrzeni, słabo oświetlonej. Otaczające go czarne postaci rozbiegły się na boki, ale jednocześnie wszystkie posuwały się w jednym kierunku. W kierunku czegoś, co wydawało się gigantycznymi stopniami. Ci inni... rozproszyli się? W każdym razie nie wyczuwał już obok siebie tłumu. Zatrzymał się przy najwyższym stopniu. Obok, na tym samym poziomie, znajdowało się kilka siedzeń i mały kiosk. Podeszedł do niego, skrył się w cieniu rzucanym przez daszek. Rozejrzał się, dysząc ciężko. To, na co patrzył, było szare i niewyraźne w słabym świetle, ale wysokie, wielkie stopnie rozpoznał jako platformy traktów, w tej chwili nieruchomych. Platformy wznosiły się w obie strony. Za nimi stały domy niczym potężne, ledwie widzialne duchy, ozdobione niemal niewidocznymi napisami i reklamami. Wyżej, nad elementami konstrukcji i kablami, widać było skrawki bladego nieba. Mijali go ludzie idący szybko, z ich głosów i krzyków wnosił, że zamierzają dołączyć do walki. Inni, nie tak dzielni, przezornie kryli się w cieniu.

Dobiegające go odgłosy świadczyły, że gdzieś, daleko, nadal toczyły się walki, choć Grahamowi wydawało się oczywiste, że budynek teatru znajduje się nie przy tej ulicy. Bitwa jakoś się od niego oddaliła. A walczone w jego imieniu! Przez dłuższą chwilę stał, sparaliżowany, jak człowiek oderwany od interesującej książki, wąpiący nagle we wszystko, co do tej pory przyjmował jako oczywistość. Wówczas nie obchodziły go szczegóły, efekt ogólny był wystarczająco zdumiewający. Dziwne, bowiem ucieczkę z więzienia Rady, wielkie tłumy w sali i atak czerwonej policji na ludzką masę pamiętał ze szczegółami, za to przebudzenie i okres spokoju, sprzyjającego myśleniu, spędzony w mieszkaniu-więzieniu musiał

przypominać sobie z wysiłkiem. Początkowo jego pamięć pomijała po prostu te rzeczy, wracała do obrazu kaskady w Pentargen, chwiejącej się na wietrze i posępnej wspaniałości wybrzeża Kornwalii. Ten kontrast osnuwał wydarzenia aurą nierzeczywistości.

Po chwili pustka wypełniła się. Zaczął rozumieć, co się z nim dzieje. Przestało być to dla niego całkowitą tajemnicą, jak w zamknięciu. Poznał przynajmniej zarys wydarzeń, jakkolwiek byłyby zdumiewające. Coś uczyniło z niego władcę świata, o którego walczyły dwie skłócone ze sobą partie. Z jednej strony była Rada z jej czerwoną policją. Rada zamierzała zagarnąć jego zasoby, a może nawet zamordować go. Drugą stronę barykady zajmowali rewolucjoniści, którzy zwrócili mu wolność. Ich wodzem był niewidzialny „Ostrog”. Konflikt ten wstrząsał całym wielkim miastem. Czy tak szaleńczo rozwinął się jego świat?

– Nie pojmuję! – krzyknął. – Ja tego nie pojmuję!

Udało mu się wymknąć walczącym o niego stronom, znaleźć chwilę spokoju w półmroku. Co teraz? I co dzieje się właśnie w tej chwili? Wyobraził sobie mężczyzn w czerwieni, szukających go pracownicy, popychających przed sobą rewolucjonistów, których oznaką była czerń.

Tak czy inaczej łaskawy los dał mu chwilę oddechu. Może przycząić się, nie zaczepiany przez przechodniów, może obserwować to, co się wokół niego dzieje. Powiódł wzrokiem po kunsztownym, ogromnym budynku, który w tym słabym świetle wydał mu się czymś niewyobrażalnie wspaniałym. Robiło się coraz jaśniej, gdzieś tam, w górze, wschodziło słońce, w nowym świecie budził się zwykły, staroświecki, doskonale znany mu dzień.

Odzyskał już oddech. Przemoczone śniegiem ubranie zdążyło wyschnąć. Przy świetle wschodzącego słońca wędrował wzdłuż traktów, nie rozmawiając z nikim, nie zaczepiany przez nikogo, ciemna postać wśród wielu ciemnych postaci, pożądany przez wszystkich człowieka z przeszłości, niepoliczalnie bogaty właściciel świata. Unikał jaśniejszych światła, unikał tłumów, unikał jakiegokolwiek zamieszania, unikał sytuacji, w których mógłby zostać rozpoznany, a gdy wyczuwał takie zagrożenie, ograniczał się do obserwacji z cienia, po czym odchodził lub zbaczał na schody prowadzące w górę lub w dół, na inne poziomy, lub do systemów traktów prowadzących w poprzek przyjętej marszruty. Nie natrafiał już na walki, całe miasto wydawało się jednak gotowe do wojny. W pewnej chwili musiał

szybko uciec przed maszerującym tłumem, zajmującym całą szerokość ulicy. Wszyscy napotkani po drodze mieszkańcy wydawali się zaangażowani w konflikt. Byli to głównie mężczyźni, wydawało mu się, że uzbrojeni. Centrum walk była najprawdopodobniej ta część miasta, z której przyszedł, poza tym panował względny spokój, choć od czasu do czasu z daleko dobiegały go krzyki, jedyne oznaki niepokoju. Wówczas ciekawość i ostrożność rozpoczynały walkę w jego duszy, ale zwyciężała ostrożność, więc obierał drogę mającą, jak mu się wydawało, oddalić go od zamieszek. W mroku nikt go nie rozpoznał, nikt go nie zaczepił. Z czasem nawet echa bitwy umilkły, przechodniów było coraz mniej, aż wreszcie ulice opustoszały. Fasady stojących przy nich budynków były o wiele skromniejsze, wręcz surowe. Grahamowi wydawało się, że trafił do dzielnicy opuszczonych magazynów. Poczł się nagle bardzo samotny. Zwolnił kroku.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest samotny. Od czasu do czasu zbaczał z drogi, siadał na którejś z licznych ławek stojących przy górnych traktach lecz gorączkowy niepokój, świadomość własnej, niezwyklej wagi w toczących się być może w tej chwili bojach, nie pozwalała mu pozostać na w jednym miejscu na dłużej. Czy boje te toczyły się tylko o niego?

I nagle, w tym doskonale pustym miejscu, zaczęło się trzęsienie ziemi... ryk i grzmot... seria potężnych wstrząsów. Miasto przewiał lodowaty wicher, niespełna sto jardów od miejsca, w którym się znajdował, z wysokich dachów na środkowy balkon posypały się okruchy szkła i szczątki żelaznych konstrukcji, z dala dobiegły Grahama okrzyki, tupot stóp. Jego też zjawisko to pozbawiło równowagi, pobiegł w panice przed siebie, a potem zawrócił. Zdołał się uspokoić zanim podbiegł do niego jakiś mężczyzna.

– Co oni wysadzili? – spytał zdyszczanym głosem. – Bo to był wybuch. – Mężczyzna uciekł nie czekając na odpowiedź.

Wielkie gmaszyska pozostawały ledwie widoczne w dziwnym świetle, nadal bladym, choć widoczne pasma nieba zdradzały, że jest już pełnia dnia. Dostrzegł wiele bardzo dziwnych rzeczy, których na razie nie rozumiał. Próbował nawet czytać napisy zapisane fonetycznie. Co za zysk z tego, że odcyfruje się dziwnie wyglądające litery, nada im sens, skoro wysiłek oczu i umysłu daje w rezultacie „Do siedziby Eadhamite” albo

„Kompania Pracy – Little Side”. Wręcz groteskowe było zaś to, że te wszystkie domy, wielkie jak góry, były jego własnością.

Graham uświadomił sobie w tym momencie, jak groteskowa jest jego sytuacja. W rzeczywistości wykonał skok w czasie, który powieściopisarze opisywali niejednokrotnie. I, co w tej chwili wydawało się jasne, był na coś takiego dobrze przygotowany. Gotów był usiąść wygodnie, obejrzeć spektakl. Tylko że nie było żadnego spektaklu do oglądania, istniało wyłącznie wielkie, a jednocześnie nieokreślone niebezpieczeństwo, groźne cienie i zasłona ciemności. Śmierć tropiła go przez labirynt tajemnic. Czyżby miał zginać nim czegoś się dowie? Śmierć może przecież czekać na niego za najbliższym rogiem.

W duszy Grahama zrodziło się wielkie pragnienie, by zobaczyć, by zrozumieć.

Obawiał się rogów ulic. Uznał, że póki będzie się ukrywał, póty będzie bezpieczny. Gdzie ma się ukryć, kiedy znów rozbłyszczą światła? W końcu znalazł właściwe, jego zdaniem, miejsce, na ławce w niszy przy jednym z górnych traktów. Wydawało mu się, że jest tu sam.

Wcisnął kostki palców w zmęczone oczy. Przypuśćmy, że kiedy je znów otworzy, ciemne rynny traktów znikną, znikną też te niewiarygodnie wielkie konstrukcje. Przypuśćmy, że wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni: przebudzenie, rozkrzyczane tłumy, walka w ciemności, okaże się złudzeniem, fantasmagorią, jakimś nowym, szczególnie żywym rodzajem snu. Bo to przecież musi być sen, tyle niepowiązanych ze sobą, nielogicznych wydarzeń. Co kazało ludziom walczyć dla niego? Dlaczego cały rzeczywisty, normalny świat miałby uważać go za swego Władcę i Pana?

Rozmyślał tak siedząc z zasłoniętymi oczami, po czym je odsłonił. Wbrew świadectwu własnych uszu miał jednak nadzieję, że zobaczy wokół siebie znajomy dziewiętnastowieczny świat: może niewielką przystań w Bocastle, klify w Pentargen, albo sypialnię własnego domu. Lecz fakty nie dostosowują się do marzeń. Z cieni, idąca marszowym krokiem, wyłoniła się grupa mężczyzn pod czarną banderą, a za jego plecami wznosiła się fasada niebosiężnego budynku, ogromna, czarna, ozdobiona niemal niewidocznymi, niepojętymi literami.

– To nie sen – powiedział Graham. – Nie sen – powtórzył, kryjąc twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ XI

STARY CZŁOWIEK WIE WSZYSTKO

Do przytomność przywołało go rozlegające się bardzo blisko kasznięcie. Spojrzał w kierunku, z którego dobiegło. Zobaczył drobną, zgarbioną postać, siedzącą kilka jardów od niego, w cieniu niszy.

– Jakież wieści? – Głos pytającego był piskliwy, świszczący.

Graham zawahał się i odpowiedział:

– Nic nie wiem.

– Zostanę tu, póki nie zapalą świateł – oznajmił starzec. – Te niebieskie łotry są wszędzie, dosłownie wszędzie.

Przebudzony mruknął coś potakująco. Usiłował przyjrzeć się starcowi, lecz jego twarz ukrywał mrok. Bardzo chciał wykorzystać jego obecność, zareagować, porozmawiać, nie wiedział jednak, jak zacząć.

– Czarne i nikczemne – stary nieoczekiwanie przerwał milczenie. – Czarne i nikczemne – powtórzył. – Wyrzucony z pokoju, a tu jest tak niebezpiecznie.

– Musi to być dla pana bardzo przykre – zaryzykował Graham.

– Ciemność. Stary człowiek zagubiony w ciemności. Wokół niego oszalały świat. Wojny, walki, policja pobita, gdzie się obejrzysz łotry na swobodzie. Dlaczego nie sprowadzą czarnych do obrony? Nie musiałbym chodzić mrocznymi alejkami. Potknąłem się o trupa. Przewróciłem się o trupa! Bezpieczniej w towarzystwie. – Stary wstał nagle, podszedł do Grahama, przyjrzał mu się uważnie. – Jeśli jest to właściwe towarzystwo.

Rezultat oględzin musiał go zadowolić, bo starzec wrócił na miejsce. Przyniosło mu chyba ulgę to, że już nie jest sam.

– Ech! – westchnął. – Co za straszne czasy. Wojna i walki, i trupy na ulicach... mężczyźni, silni mężczyźni, ginący w ciemnościach. Synowie! Miałem trzech synów. Jeden Bóg wie, gdzie są dzisiaj.

Graham szukał w myślach pytania nie zdradzającego ogromu jego niewiedzy. Ale nim zdołał je sformułować, stary człowiek znów przerwał milczenie.

– Ten Ostrog wygra. O tak, wygra. A jaki będzie świat za jego rządów? Nie sposób powiedzieć. Moi synowie są pod wiatrakami, wszyscy trzej. Jedna z synowych była jego kochanką. Przez pewien czas. Kochanką! Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi. Chociaż wyrzucili mnie dziś na ulicę, a to takie ryzykowne... przecież wiedziałem, na co się zapowiada. Wiedziałem wcześniej niż inni. Ale ta ciemność. I tak potknąć się o trupa pośrodku ulicy... – przerwał. Oddychał ciężko, rzęził.

– Ostrog – powiedział Graham.

– Największy z szefów klasy robotniczej. Największy.

Graham myślał jak potrafił najszybciej.

– Rada niewielu ma przyjaciół wśród ludu – zaryzykował.

– O tak, niewielu ma, niewielu. I to ubogich! Mieli wszystko. Ech, powinni słuchać, co im mówią mądrzy. Ale przeprowadzili wybory. Dwukrotnie. A Ostrog... teraz, kiedy już doszło do wybuchu, nic ich nie powtrzyma. Nic ich nie powtrzyma! Dwukrotnie odrzucili Ostroga... Ostroga Szefa. Wiedziałem, w jaki wpadał wówczas gniew. To było straszne. Niech ich niebiosa mają w swej opiece, bo nic innego już im nie pomoże teraz, kiedy podniósł przeciw nim Kompanie Pracy. Nikt inny by się nie ośmielił. Niebiescy uzbrojeni, maszerujący ulicami! Uda mu się, z pewnością mu się uda! – Znów zapadła cisza, po czym stary dodał jedno słowo: „Śpiący”.

– No tak – powiedział Graham. – I...

Głos starca opadł do szeptu. Przysunął się tak blisko, że widać było bladą plamę jego twarzy.

– Prawdziwy Śpiący...

– Tak?

– Prawdziwy Śpiący umarł przed laty.

– Co? – spytał Graham podniesionym głosem.

– Przed laty. Umarł.

– Co też pan mówi!

– Co mówię to mówię. Umarł. A ten, który się obudził... podmienili go w jednej chwili. Biedne, niczego nieświadome, naszpikowane

narkotykami stworzenie. Ale nie wolno mi mówić wszystkiego, co wiem. Nie wolno mi mówić wszystkiego, co wiem!

Przez dłuższą chwilę stary bełkotał pod nosem coś całkiem niezrozumiałego, ale jego sekret był zbyt wielki i ważny, by zdołał go utrzymać.

– Nic nie wiem o tych, którzy go uspili, to było zbyt dawno nawet dla mnie, ale znam człowieka, który wstrzyknął mu środki pobudzające. One go obudziły. Dziesięć do jednego, obudzić albo zabić. Obudzić albo zabić. Tak postępuje Ostrog.

Grahama tak zdumiały te rewelacje, że musiał przerywać staremu, prowokować go do powtarzania tego, co powiedział, zadawać mu ostrożne pytania, a i tak z trudem rozumiał to, co do niego docierało, takie było niezwykle. A więc jego przebudzenie nie było naturalne? Czy temu człowiekowi wszystko pomieszało się ze starości, czy też mówił prawdę? Szukał w pamięci i gdzieś, w jej ciemnym zakątku, odnalazł wrażenia zdające się wskazywać, że rzeczywiście, reagował jak po stymulantach. Uświadomił sobie, że miał szczęście, iż teraz może wreszcie dowiedzieć się czegoś o tym nowym świecie.

Starzec przez dłuższą chwilę charczał i pluł, by po chwili kontynuować piskliwym, urywanym głosem.

– Odrzucili go po raz pierwszy. Śledziłem wydarzenia.

– Odrzucili go? Kogo? Śpiącego?

– Śpiącego? Nie, Ostroga. Był straszny! Straszny! Obiecali mu wtedy, że następnym razem na pewno. Głupcy, głupcy, nie bali się go tak jak na to zasługuje. A teraz miasto jest jego żarnami, na których zmielił nas na pył. Pył, oto czym jesteśmy. Nim wziął się do pracy robotnicy podrzynali sobie nawzajem gardła, czasami mordowali Chińczyków lub Policję Pracy, a nas zostawiali w spokoju. A teraz? Trupy na ulicach! Napady! Kradzieże! Tak źle nie było tu od grosu lat! Ech! Źle się dzieje małym ludziom, kiedy padają wielcy. Bardzo źle.

– Powiedział pan coś... powiedział, że jest źle od grosu lat?

– Co? – spytał nieprzytomnie stary. Powiedział coś o łapaniu za słówka, kazał mu powtórzyć pytanie po raz trzeci.

– Walki, morderstwa z bronią w rękę, głupcy wrzeszczący o wolności i nie tylko, nie tylko – powiedział wtedy. – Za mojego życia tak nie było. Jest jak w dawnych czasach, kiedy zaczęli ludzie z Paryża. Trzy grosy lat

temu to było. Dlatego mówię, że nie za życia. Ale tak się dzieje na tym świecie. Wszystko wraca. Musi wrócić. Przecież wiem. Te pięć lat pracy Ostroga to same kłopoty, wielkie kłopoty, głód, groźby, wielkie słowa i broń. Niebieskie kombinezony. Szepty, szepty. Nikt nie jest bezpieczny. Wszystko się rozpada. Teraz mamy bunt, walki, koniec Rady.

– Bardzo dużo pan wie o tych sprawach – zauważył Graham.

– Wiem co słyszę. Nie jestem byle Paplaczem.

– Oczywiście. – Ciekawe, co to takiego ten Paplacz? – I jest pan pewien, że to ten Ostrog... że to Ostrog zorganizował bunt? Doprowadził do przebudzenia Śpiącego? O to, żeby umocnić się w prawach, bo nie został wybrany do Rady?

– Powiedziałbym, że o tym wszyscy wiedzą – zdziwił się starzec. – No, może z wyjątkiem głupców. Chce zostać panem, obojętnie w jaki sposób. W Radzie albo bez Rady. Wie o tym każdy, kto cokolwiek wie. Już mamy trupy, człowiek potyka się o nie w ciemnościach. A pan gdzie bywał, że nie wie o animozjach między Ostrogiem a Verneysami? Jak pan myśli, skąd wzięły się te kłopoty? Że to przez Śpiącego? Co? Myśli pan może, że Śpiący naprawdę obudził się ot tak sobie? Co? Tak sądzisz?

– Jestem zwykłym człowiekiem, starszym niż na to wyglądam. Pamięć mnie zawodzi – usprawiedliwił się Graham. – Wiele rzeczy zdarzyło się zwłaszcza ostatnimi czasy. Prawdę mówiąc wiem o nich tyle, ile wiedziałbym, gdybym był Śpiącym.

– Ech? Stary jesteś, mówisz? Twój głos nie brzmi bardzo staro. Pamięć nie służy dobrze każdemu w moich latach, prawda, lecz ty nie jesteś taki stary, nie jesteś stary jak ja. Daleko ci do mnie. No cóż, zapewne nie powinienem sądzić ludzi po sobie. Jestem młody, jak na człowieka tak starego. Zapewne pan jest stary jak na tak młodego.

– Tak jest – przyznał Graham. – Dziwnie układały się me losy. Wiem bardzo mało, a historia? Przecież ja właściwie nie znam historii. Śpiący i Juliusz Cezar, dla mnie nie ma między nimi różnicy. Ciekawie jest słuchać tego, co pan opowiada.

– Wiem to i owo – pochwalił się stary. – Mogę opowiadać ale... proszę posłuchać!

Obaj mężczyźni nasłuchiwali w milczeniu. Rozległ się niski huk, od którego zadrżała ich ławka. Przechodzący mimo nich zatrzymali się jak wryci, krzyczeli coś do siebie. Starzec miał mnóstwo pytań, zadawał

je stojącemu najbliżej. Graham, zbudowany jego przykładem, podszedł do kilku innych, ale nikt nie wiedział, co się stało.

Graham wrócił na ławkę. Stary siedział, bełkocząc coś pod nosem. Siedzieli obok siebie, nie rozmawiając.

Tytaniczna walka tocząca się gdzieś daleko, a jednocześnie tak blisko, z wielką siłą narzucała się wyobraźni Grahama. Czy stary miał rację? Czy rację mieli ludzie twierdzący, że rewolucjoniści wygrywają? Czy może jednak nie, może zwyciężali czerwoni i pchali przed sobą ich resztki? W każdej chwili fala wojny może wlać się w tę cichą dzielnicę miasta, znów ponieść go ze sobą? Dobrze zrobił dowiadując się tego, czego się dowiedział, póki był na to jeszcze czas. Obrócił się, spojrzał na starego, chciał zadać mu kolejne pytanie, ale nie zdołał. Ten ruch przerwał jego milczenie.

– Ech, jak to wszystko do siebie pasuje! Ten Śpiący, w którym głupcy pokładają całą swą nadzieję. Znam całą tę historię, zawsze miałem dobrą głowę do historii. Kiedy byłem chłopcem – taki już jestem stary! – czytałem nawet drukowane książki! Z pewnością by się pan nie domyślił. I pewnie pan żadnej nie widział, bo zgniły i rozpadły się w pył, Kompania Oczyszczania pali je, robi z nich kostki budowlane. Ale na swój prostacki sposób były przydatne, nawet bardzo. Można było wiele się z nich nauczyć. Te nowomodne Paplacze... panu pewnie nie wydają się takie nowomodne... no więc te Paplacze, można ich długo słuchać i wszystko zapomnieć. A sprawę tego Śpiącego to ja śledzę od samego początku.

– Aż trudno uwierzyć – powiedział Graham powoli, ostrożnie dobierając słowa – w to, ile nie wiem. Byłem zajęty swoimi drobnymi sprawami. Okoliczności ułożyły się dla mnie tak dziwnie, że o tym Śpiącym nic nie wiem. Kto to taki?

– Ech! – prychnął stary. – Wiem, wiem. Biedny nikt, zapatrzony w wesołą kobietkę. Aż żal. Wpadł w trans. Zostało takie coś, stare, brązowe... srebrne fotografie!... pokazujące go leżącego, gros i półgrosa lat temu.

– Zapatrzony w wesołą kobietkę, aż żal – powtórzył Graham cicho, do siebie, a potem, głośniej, poprosił: – Niech pan mówi dalej.

– Musi pan wiedzieć, że miał kuzyna imieniem Warming, samotnego, bezdzietnego. Ten Warming zarobił fortunę na drogach, pierwszych drogach z eadhamitu. O tym z pewnością pan słyszał? Nie? Jak to! Wykupił

różne patenty, stworzył wielką firmę. W tamtych czasach istniały grosy grosów oddzielnych, małych i większych firm, dosłownie grosy grosów. Dwa dożeny lat i jego drogi dobiły koleje, już o nich zapomnieliśmy, bo wykupił i wyedhamitował tory. Nie chciał dzielić własności, nie chciał dopuścić akcjonariuszy, cały majątek pozostawił Śpiącemu, więc ustanowił radę nadzorczą z ludzi, których sam dobrał i przygotował do tej funkcji. Wówczas już wiedział, że Śpiący się nie obudzi, że będzie spał i spał póki nie umrze, o tak, bardzo dobrze wiedział! I tylko patrzeć, a pewien człowiek z Ameryki, który obu synów stracił w wypadku na jachcie, też cały majątek przekazał w ten sposób. Rada nadzorcza od samego początku dysponowała własnością wartą dożeny myriadów.

– Jak się nazywał?

– Graham.

– Nie o to mi chodzi. Jak się nazywał ten Amerykanin?

– Isbister.

– Isbister! – Graham stracił panowanie nad sobą. Krzyknął. – Ale ja przecież nie znam tego nazwiska!

– Oczywiście, że pan go nie zna – zdziwił się starzec. – Oczywiście, że nie. Dzisiaj w szkole nie uczą prawie niczego. Ale ja wiem o nim wszystko. To był bogaty Amerykanin pochodzący z Anglii. Zostawił śpiącemu nawet więcej niż Warming. Jak zdobył majątek? Tego nie wiem. Mówi się o jakiś obrazach robionych przez maszyny. W każdy razie zdobył, potem zostawił i tak powstała Rada. Bo początkowo to była rada nadzorcza.

– I co potem?

– Ech, pan to rzeczywiście nic nie wie. Pieniądze przyciągają pieniądze, a co dwanaście mózgów to nie jeden. Sprytnie to robili. Na pieniądzech wjechali do polityki, a potem mnożyli je korzystając z ceł i różnic kursów walut. Bogacili się i bogacili. Przez lata dwunastu członków rady kryło majątek Śpiącego. Zmieniali nazwiska, żonglowali tytułami własności, stosowali wszystkie kruczki. Byli dosłownie wszędzie: nieruchomości, udziały, kupowali tytuły prasowe i partie polityczne. Gdyby znał pan stare historie, to by pan wiedział, że Rada tak rosła i rosła. Miliardy, miliardy lwów, tak urósł na końcu majątek Śpiącego. Wszystko zaczęło się od przypadku, kaprysu Warminga i tragedii synów Isbistera. Ludzie w ogóle są dziwni – ciągnął starzec. – A najdziwniejsze w nich jest to, że Radzie udało się współpracować tak długo. Przecież ma dwunastu

członków! Od początku tworzyli klikę. I usunęli się w cień. Za dni mojej młodości o Radzie mówiło się tak, jak prosty człowiek mówi o Bogu. Rada nie mogła popełnić błędu. Nie wiedzieliśmy o ich kobietach i w ogóle. Gdyby to było wiadome, to szybko bym zmadrał. Ludzie są dziwni – powtórzy starzec. – Bo jesteś ty, młody ignorant i ja, siedemdzisinka, przy zdrowych zmysłach, wyjaśniający ci wszystko, jasno i krótko. Siedemdzisinka. Siedemdzisinka, a słyszę i widzę, lepiej słyszę niż widzę. Rozumuję bystrze, dowiaduję się wszystkich wieści. Siedemdzisinka! Jakie dziwne jest to życie! Dwudzistkę miałem, kiedy Ostrog był dzieckiem. Znałem go na długo przedtem, nim został Szefem Kontroli Wiatraków Powietrznych. Widziałem wiele zmian. Ech, nosiłem się na niebiesko. I wreszcie przyszedł czas, bym zobaczył manifestacje i starcia, i ciemność, i stopy trupów na traktach. Wszystko przez niego. Wszystko przez niego!

Głos starego cichł powoli, jego pochwała wielkości Ostroga stawała się coraz trudniejsza do zrozumienia.

Graham zastanawiał się przez chwilę, co robić, a potem podjął decyzję.

– Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem – powiedział. Wyciągnął rękę, odliczał punkty na palcach. – Śpiący spał...

– Odmieniony – przerwał mu stary.

– Być może. W każdym razie jego majątek, powierzony dwunastu z Rady, rósł nieprzerwanie, aż wchłonał wszystkie wielkie majątki świata. Członkowie Rady, dzięki majątkowi, stali się panami tego świata. Bo władali pieniądzem, jak kiedyś angielski parlament...

– Ech! – przerwał mu stary. – Właśnie tak. Bardzo dobre porównanie. Nie jest pan taki...

– A teraz Ostrog – mówił dalej Graham. – Zrewolucjonizował świat budząc Śpiącego kiedy tylko najprostsi i najbardziej łatwowierni ludzie wierzyli, że w ogóle może się on obudzić. Obudził Śpiącego, żeby przejął swój majątek... po tylu długich latach.

Starzec kaszlnął, zabrzmiało to jako potwierdzenie domysłów Grahama.

– Dziwne – powiedział – tak spotkać kogoś, kto dopiero dziś uczy się tych wszystkich rzeczy.

– I owszem. Trudno nazwać to inaczej.

– Był pan może w Mieście Rozkoszy? Całe życie o tym marzyłem. – Stary zachichotał. – Nawet teraz marzę – przyznał. – Przydałaby się jakaś

rozrywka. Nawet gdybym miał tylko popatrzeć. – Wybełkotał coś jeszcze, ale Graham już go nie zrozumiał.

– A ten Śpiący... kiedy się przebudził? – spytał nagle Graham?

– Przed trzema dniami.

– Gdzie jest teraz?

– Ostrog go dopadł. Śpiący uciekł radzie przed niespełna czterema godzinami. Szanowny panie, gdzie pan był przez cały ten czas? On przebywał w halach, tam gdzie toczyły się walki. Całe miasto o tym krzyczało, wszystkie paplacze. Wszędzie to wykrzykiwano. Przyznali to nawet ci głupcy, rzecznicy Rady. Ludzie pobiegli go zobaczyć, a przedtem wszyscy się uzbroili. Pijany pan był, czy przespał wydarzenia? A nawet gdyby... nie, z pewnością pan żartuje. Albo udaje. Przecież wyłączyli światło właśnie po to, żeby zapobiec zgromadzeniom. I uciszyć te cholerne paplacze. Przez nie pogrążyli nas w ciemności. Chce pan powiedzieć, że...

– Słyszałem, że Śpiącego uratowano – przerwał mu Graham. – Ale może cofnijmy się trochę. Jest pan pewien, że Ostrog go dopadł?

– Ostrog by go nie wypuścił.

– Ten Śpiący... naprawdę myśli pan, że jest fałszywy? Nigdy nie słyszałem...

– Wszyscy głupcy mają go za prawdziwego. Och, głupcy, głupcy. Jakby na świecie nie było tysięcy rzeczy, o których się nie słyszało. Znam Ostroga zbyt dobrze, by sądzić inaczej. Nie wspominałem panu o tym? W pewien sposób jestem nawet krewnym Ostroga. No, w pewien sposób. Przez synową.

– Przypuszczam... – powiedział Graham i umilkł.

– Tak?

– Przypuszczam, że chyba nie ma szansy, by ten Śpiący się usamodzielniał? To znaczy, na zawsze pozostanie marionetką, w rękach Ostroga, w rękach Rady... gdy tylko walki ustaną.

– W rękach Ostroga z pewnością. Dlaczego miałyby nie być marionetką? Wystarczy chwilę pomyśleć. Wszystko robią za niego inni, stać go na każdą przyjemność, jaką tylko sobie wymarzy. Dlaczego miałyby chcieć się usamodzielniać?

– Czym są te Miasta Rozkoszy? – Graham nagle zmienił temat.

Starzec kazał mu powtórzyć pytanie, a kiedy już upewnił się, że dobrze je zrozumiał, szturchnął Grahama mocno.

– To już za wiele! – oburzył się. – Pan sobie kpi ze starego człowieka! Od początku rozmowy podejrzewam, że tylko udaje pan niewiedzę.

– Być może coś rzeczywiście wiem – przyznał Graham. – Ale przecież... nie, po co miałbym udawać? Nie, nie wiem, czym są Miasta Rozkoszy. – Stary roześmiał się znacząco. – Co więcej, nie wiem, jak czytać wasze litery. Nie wiem, jakich używacie pieniędzy. Nie wiem, jakie są obce kraje. Nie wiem, gdzie jestem. Nie potrafię liczyć. Nie mam pojęcia, gdzie dostać coś do jedzenia i do picia, ani gdzie znaleźć jakieś schronienie.

– Tak? Naprawdę? A gdyby dostał pan teraz szklanekę napoju, przyłożyłby ją pan do oka czy do ucha?

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– He, he. No tak, dżentelmen w jedwabiach chce się zabawić. Jego prawo. – Wyszła, pomarszczona dłoń przesunęła się po ramieniu Grahama. – Jedwab. No proszę, proszę. Niech sobie będzie, w każdym razie chciałbym być tym człowiekiem, którego podstawiono za Śpiącego. Będzie się dobrze bawił. Cała ta pompa, same przyjemności. Ma dziwną twarz. Kiedyś każdy mógł go sobie obejrzeć. Kupiłem bilet i obejrzałem. Ten podstawiony jest bardzo podobny do oryginału ze starych zdjęć. Żółty. Ale będzie miał dość. To jest dziwny świat. Tyle szczęścia, no niech pan sam pomyśli, tyle szczęścia. Spodziewam się, że wyślą go na Capri. Bogaci tam bawią się najlepiej.

Stary znów się rozkaszał. Bełkotał pod nosem coś o jakiś dziwnych przyjemnościach, o rozkoszach.

– Takie szczęście... takie szczęście! – powtarzał. – Całe życie przeżyłem w Londynie. Taką miałem nadzieję, że los się do mnie uśmiechnie.

– Ale nie wie pan na pewno, że Śpiący umarł – Graham znowu zmienił temat.

Stary kazał mu powtórzyć te słowa, a potem powiedział:

– Ludzie żyją dziesięć dozeńów. Nie dłużej. Tak postanowił los. Nie jestem głupcem. Głupcy może wierzą, że los da się oszukać, ale nie ja.

Grahama denerwowała pewność siebie tego starca.

– Może pan być głupcem lub nim nie być – oznajmił – ale tak się składa, że się pan myli.

– Co?

– Myli się pan w sprawie Śpiącego. Nie powiedziałem tego wcześniej, ale mogę powiedzieć teraz. Myli się pan w sprawie Śpiącego.

– Skąd pan może wiedzieć? Myślałem, że nic pan nie wie, nawet o Miastach Rozkoszy. – Graham milczał. – Nic pan nie wie. Skąd pan może wiedzieć? Bardzo niewiele...

– To ja jestem Śpiący.

Te słowa też musiał powtórzyć.

– Proszę o wybaczenie – powiedział starzec po długiej chwili milczenia – ale powiedział pan coś bardzo głupiego. Coś tak głupiego może pana wpędzić w kłopoty. Zwłaszcza w takich czasach.

– Powiedziałem, że to ja jestem Śpiący – powtórzył Graham, zaskoczony. – Przed wielu, wielu laty naprawdę zapadłem w sen, w małej wiosce gdzie domy zbudowane były z kamienia. To były czasy, gdy istniały jeszcze żywoploty, wioski i gospody, i gdy wiejski krajobraz pocięty był na kawałki, na małe pola. Nigdy nie słyszał pan o takich czasach? I to ja, ten człowiek, który teraz do pana mówi – przebudziłem się przed czterema dniami.

– Przed czterema dniami! Śpiący? Ale oni przecież mają Śpiącego. Mają go i nie wypuszczą. Nonsens! Do tej pory mówił pan do rzeczy. Widzę to, jakbym przy tym był. Będzie miał przy boku Lincolna jako stróża, samego nigdzie go nie puszczą. Pod tym względem można im wierzyć. Dziwny z pana człowiek. Jeden z tych żartownisiów, co? Teraz rozumiem, dlaczego tak dziwnie wymawia pan niektóre słowa, ale... – stary przerwał, Graham dostrzegł, jak machnął ręką. – Ostrog by nie pozwolił Śpiącemu spacerować na wolności. Nie, opowiada pan takie rzeczy niewłaściwej osobie. Ech, jakbym mógł w to uwierzyć! O co panu chodzi? A przy okazji, rozmawialiśmy o Śpiącym.

Graham wstał.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Ja jestem Śpiącym.

– Dziwny z pana człowiek – powtórzył starzec. – Siedzi pan w ciemnościach, dziwnie mówi i to jeszcze tego rodzaju kłamstwa. Ale...

Graham nie wytrzymał. Roześmiał się głośno.

– To jakiś absurd! – krzyknął. – To absurd! Ten sen musi się skończyć. To wszystko robi się coraz dziwniejsze. Siedzę tu, ni to w dzień, ni w nocy, nie pamiętam, żebym kiedyś śnił o półmroku, nie pasuję do rzeczywistości o dwieście lat i próbuję przekonać starego durnia, że jestem sobą.

Zirytowany, wstał i odszedł szybkim krokiem. Stary poszedł za nim.

– Ech! Niech pan nie odchodzi, bardzo proszę. Wiem, jestem starym głupcem. Niech pan nie odchodzi. Proszę, niech pan nie zostawia mnie samego w ciemności!

Graham przystanął, niechętnie. Pomyślał, że postąpił głupio zdradzając swój sekret właśnie tu i teraz.

– Nie zamierzałem pana obrazić wyrażeniem wątpliwości w pańskie słowa. – Stary zatrzymał się tuż przy nim. – Nie chciałem zrobić panu krzywdy. Proszę nazywać się Śpiącym, skoro panu na tym zależy. Głupia to sztuczka, ale...

Graham wahał się przez chwilę, ale w końcu zawrócił na pięcie i odszedł. Przez krótki czas słyszał jeszcze stuk nierównych kroków starca, słyszał jego coraz cichsze okrzyki, po czym wchłonęła je cisza i już nigdy nie spotkał tego człowieka.

ROZDZIAŁ XII

OSTROG

Graham zyskał możliwość dokładniejszego rozważenia sytuacji, w której się znalazł. Wędrował w ciemności bardzo długi czas, ale po rozmowie ze starcem musiał uznać, że powinien przede wszystkim znaleźć tego Ostroga. Jedno było pewne: przywódcy rebelii wyjątkowo skutecznie ukryli fakt jego zniknięcia, ale w każdej chwili miał prawo spodziewać się informacji o swej śmierci lub powtórnym uwięzieniu przez radę.

Zatrzymał się przed nim jakiś człowiek.

– Słyszał pan? – spytał.

– Nie – przyznał Graham, zaskoczony.

– Blisko dozand – powiedział mężczyzna. – Blisko dozand ludzi!

Grupa mężczyzn – nie, była wśród nich jedna dziewczyna – minęła go w mroku. Usłyszał okrzyki: „Poddali się! Kapitulacja! Dozand ludzi! Dwa dozandy! Ostrog! Hurrra! Ostrog!”. Te okrzyki oddalały się, stawały coraz bardziej niewyraźne, aż wreszcie ucichły.

W pobliżu było więcej ludzi i oni także wiwatowali. Grahama zajęły dobiegające do jego uszu fragmenty okrzyków i głośnych rozmów. Bardzo wątpił, czy wszyscy tu mówią po angielsku. To, co słyszał, oderwane fragmenty, brzmiało jak pidżyn, jak dialekt „czarnych”, niewyraźny, bełkotliwy, niezrozumiały. Nie ośmielił się poszukać u kogoś odpowiedzi na swe pytania. Wrażenie, które sprawiali ci ludzie kłóciły się z jego przyjętymi za pewnik wyobrażeniami walki, a także potwierdzały, że stary, wierząc w Ostroga, wiedział co mówi. Z wielką trudnością przychodziło mu uwierzyć, że wszyscy ci ludzie radują się z klęski Rady i że Rada, ścigająca go tak wielkimi siłami i z takim uporem, jest jednak słabszą stroną konfliktu. Jeśli rzeczywiście tak to wygląda, jakie ma to dla niego znaczenie? Wahał się, więcej niż raz czuł potrzebę zadania tego fundamentalnego pytania, w pewnym momencie nawet zawrócił, poszedł

za mężczyzną o okrągłych kształtach sprawiających, że nie wyglądał groźnie, ale nie miał tyle odwagi, by zwrócić się nawet do niego.

Minęło wiele czasu nim uświadomił sobie, że mógłby przecież spytać o te „biura wiatraków”, czymkolwiek były. Za pierwszym razem otrzymał odpowiedź, że powinien kierować się w stronę Westminsteru. Za drugim, że może skorzystać ze skrótu, w którym natychmiast się zgubił. Musiał w tym celu zejść z traktów, do których już się przyzwyczał, nie znał zresztą innej metody transportu, a następnie, w dół po schodach, kierować się w jedno przejście pomiędzy nimi, w którym nadal panowała ciemność. Spotkały go tu przygody, których, w tych okolicznościach, należało się spodziewać. Spotkał niewidzialne, dziwne i groźne stworzenie o szorstkim głosie, mówiące dziwnym dialektem, który najpierw wydał mu się obcym, dziwnym językiem, w którego nurcie płynęły jakieś szczątki słów prawdopodobnie angielskich, tak zapewne przemawiali złoczyńcy tych czasów. Potem, podśpiewując „tralalala, tralalala” zbliżyła się do niego dziewczyna. Przemówiła po angielsku, z bardzo podobną intonacją. Wyznała, że zgubiła gdzieś siostrę, otarła się o niego, wydawało mu się, że przypadkowo, chwyciła go za ramię i roześmiała się, a kiedy zaprotestował, nie bardzo wiedząc przeciw czemu protestuje, odeszła i znikła w mroku.

Wokół Grahama robiło się coraz głośniejsze. Mijali go ludzie, zataczający się, potykający, rozgorączkowani i rozdyskutowani. „To Rada” – słyszał. „Poddali się”. „Rada? Ależ z pewnością nie Rada”. „Tak mówią na traktach”. Przejście chyba się poszerzyło, a potem ściany rozstały się i znikły. Znalazł się na wielkiej otwartej przestrzeni, wypełnionej ludźmi, poruszającymi się gdzieś, dość daleko. Zwrócił się z pytaniem do kogoś, kogo nie widział zbyt wyraźnie. „Proszę iść prosto” – powiedział kobiecy głos. Oderwał się od ściany, która służyła mu za przewodnika i niemal natychmiast wpadł na niski stolik, na którym stały jakieś szklane naczynia. Oczy Grahama przyzwyczały się już do ciemności, dzięki czemu widział rozległą przestrzeń ograniczoną ścianami, przy których stały stoliki. Poszedł przed siebie. Od kilku stolików dobiegły go odgłosy jedzenia i brzęk szkła, byli tu więc ludzie na tyle spokojni i pewni siebie, a może po prostu odważni, by pożywiać się beztrąsko mimo wstrząsających miastem rozruchów i wszechobecnej ciemności. Daleko i wysoko dostrzegł nawet blade światło, przedostające się przez otwór o półkolistym kształcie. Zbliżył się do niego i wówczas na otwór nasunęła się czarna pokrywa.

Graham potknął się o stopień, wszedł na galerię. Usłyszał szloch. Płakały dwie małe dziewczynki, skulone przy poręczy. Na dźwięk jego kroku dzieci ucichły. Próbował jakoś je pocieszyć, lecz nie udało mu się nawiązać z nimi kontaktu, a gdy oddalił się o kilka kroków usłyszał, że znowu się rozpłakały.

Zatrzymał się u stóp schodów, obok szerokiego wyjścia, przez które wpadało do środka szare światło dnia. Wydostał się z ciemności na ulicę ruchomych traktów. Szła wzdłuż nich nieporządna, rozkrzyczana ludzka masa. Unosiły się nad nią tony rewolucyjnej pieśni, większość strasznie fałszowała. Tu i tam zapalono świece, rzucające ruchome, podskakujące dziko cienie. Znowu pytał o drogę, dwukrotnie zaskoczyły go odpowiedzi w tej samej gwarze, dopiero trzecia okazała się zrozumiała. Od biur wiatraków w Westminsterze dzieliły go dwie mile, a droga była tak prosta, że nie sposób zabłądzić.

Wkrótce Graham znalazł się blisko biur. Radosna procesja maszerowała traktami, ludzie wyraźnie cieszyli się i bawili, a to, wraz z przywróceniem oświetlenia w mieście wydawało się świadczyć, że Rada została definitywnie obalona. A jednak informacja o tym, że Śpiący zaginął, nadal nie dotarła do jego uszu.

Światło powróciło do miasta z szokującą gwałtownością. Stał oślepiony, mrugając, wokół niego zatrzymywali się oszołomieni ludzie, miasto żarzyło się nieznośnym blaskiem. Okazało się, że niemal wniknął w podniecony tłum blokujący trakty koło biur wiatraków. Uczucie, że teraz wszyscy go już widzą, że lada chwila może zostać rozpoznany sprawiło, że nieco nieokreślona chęć przyłączenia się do Ostroga zmieniła się w duszy Grahama w nagłą pilną potrzebę.

Na razie potrącali go jednak, popychali, zastępowali drogę i w ogóle zagrażali mu ludzi ochrypli, zmęczeni wiwatowaniem, niektórzy pokrwawieni, z niedbale zabandażowanymi ranami odniesionymi w jego sprawie. Front biur wiatraków oświetlony był jakimiś ruchomymi obrazami, ale co one przedstawiały nie widział. Tłum był tak gęsty, że mimo wielkich wysiłków nie udawało mu się przez nie przecisnąć. Wychwytywał fragmenty rozmów. Jak mu się zdawało ludzie wymieniali się informacjami o walce pod Domem Rady. Ignorancja i niezdecydowanie sprawiały, że poruszał się powoli, niedostatecznie energicznie. Przez dłuższy czas nie miał pojęcia, jak dotrzeć pod gładki fronton biura. Powoli

wcisnął się w ludzką masę. Zobaczył, że ze środkowego traktu schody prowadzą w dół, wprost do wnętrza budynku. Wiedział już, dokąd iść, ale przez zbity tłum bardzo długo przeciskał się do celu. Tam zaś czekały go kolejne przeszkody. Przez godzinę wykłócał się w jednej strażnicy, to w drugiej, nim zgodzono się zanieść jego pismo do człowieka, na spotkaniu z którym najbardziej mu zależało. Ponieważ prawda już raz go ośmieszyła, mądrzejszy o to doświadczenie przy drugich schodach zeznał po prostu, że ma informacje niezwyklej wagi, które przekazać może wyłącznie Ostrogowi, nikomu innemu. Wysłali jego liścik, jakkolwiek niechętnie. Długo przyszło mu czekać w pokoiku przy u stóp klatki windy, lecz wreszcie pojawił się Lincoln, zdumiony, ucieszony i skruszony. Zatrzymał się w progu, obejrzał Grahama od stóp do głów, po czym podbiegł i przywitał go wylewnie.

– Tak! – krzyknął. – To pan! Pan żyje!

Graham wyjaśnił mu krótko, co się z nim działo.

– Mój brat czeka – oznajmił Lincoln. – Jest tu sam. Baliśmy się, że zginąłeś w teatrze. Miał wątpliwości, sytuacja jest ciągle niejasna, wbrew temu, co mówimy ludziom. Gdyby nie to, sam by po pana przyszedł.

Pojechali windą na górę. Wąski korytarz doprowadził ich do wielkiej sali, pustej z wyjątkiem dwóch spieszących się gdzieś kurierów. Przeszli nią do małego, w porównaniu z salą, pokoju, umeblowanego wyłącznie długą sofą oraz dużym owalnym dyskiem z szarej przypominającej chmurę materii, zawieszonym przy ścianie na sznurach. Lincoln zostawił tu Grahama na jakiś czas, samotnego, nie pojmującego znaczenia niewyraźnych kształtów, to tworzących się na dysku, to rozpraszających.

Uwagę jego zwrócił rozlegający się nagle dźwięk: wiwaty, nieopanowane radosne wiwaty ogromnego, lecz bardzo dalekiego tłumu. Potężny entuzjastyczny ryk. Po chwili dźwięk ten umilkł tak nagle, jak się rozległ, jakby pomiędzy nim samym a źródłem wiwatów ktoś najpierw otworzył, a zaraz potem zamknął drzwi. Z sąsiedniej, zewnętrznej sali słychać było szybkie kroki i melodyjny brzęk, jakby zza luźnego łańcucha, prześlizgującego się po kole zębatym.

A potem Graham usłyszał szelest stroju i kobiecy głos, mówiący „To Ostrog”. Zadzwonił mały dzwoneczek i znów zapadła cisza. Przerwały ją głosy i kroki. Ruch. Kroki jednego człowieka zaczęły się zbliżać, mocne, równe, regularne. Zasłona poruszyła się, uniosła powoli. Graham zobaczył

wysokiego, siwowłosego mężczyzna w szacie z kremowego jedwabiu, stojącego z uniesioną nad głowę ręką, przyglądającego mu się uważnie. Mężczyzna zrobił krok do przodu. Zasłona opadła.

Graham przede wszystkim zwrócił uwagę na bardzo szerokie czoło, jasnoniebieskie oczy, osadzone głęboko pod siwymi krzaczastymi brwiami, orli nos i otoczone gęstą siatką zmarszczek stanowczo zaciśnięte usta. Ciężkie powieki i wygięte w dół kąciaki ust zaprzeczały dumnej postawie tego mężczyzny, zdradzając jego wiek. Był stary. Graham poderwał się na równe nogi. Przez chwilę dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– Więc to pan jest Ostrog – powiedział Graham.

– To ja.

– Szef?

– Tak mnie nazywają.

Zapadło milczenie, dla Grahama nader kłopotliwe. Przerwał je mówiąc:

– Zdaje mi się, że to panu powinienem podziękować za zapewnienie mi bezpieczeństwa?

– Baliśmy się, że pan zginął. Albo że znów pana uśpiono, tym razem na zawsze. Robiliśmy wszystko, by utrzymać tajemnicę, to znaczy nie zdradzić faktu pana zniknięcia. Gdzie pan był? Jak się pan tu dostał?

Graham opowiedział krótko, co się z nim działo. Ostrog wysłuchał go w milczeniu, po czym uśmiechnął się lekko.

– Wie pan, co robiłem, kiedy poinformowano mnie, że się pan zjawił?

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Przygotowywałem pańskiego sobowtóra.

– Sobowtóra?

– Człowieka najbardziej podobnego do pana ze wszystkich, których udało się nam znaleźć. Zamierzaliśmy go zahipnotyzować, co zaoszczędziłoby mu problemów aktorskich. To było dla nas najważniejsze. Sukces rewolucji możliwy jest tylko jeśli pan żyje, przebudzony i nam sprzyja. Nawet w tej chwili zgromadzone w teatrze tłumy domagają się, by pan się im pokazał. Nie ufają... ma pan oczywiście jakieś informacje o tym, w jakiej sytuacji się pan znalazł?

– Wiem bardzo niewiele – przyznał Graham.

– Wygląda to tak – Ostrog wszedł do pokoju, odwrócił się – że jest pan absolutnym właścicielem świata. Jego królem. Pańska władza ograniczona

jest na kilka pomysłowych sposobów, niemniej dla zwykłych ludzi jest pan symbolem rządów. Biała rada, jak nazywa się Radę Nadzorczą...

– Mam o tym pewne pojęcie – przerwał mu Graham.

– Interesujące...

– Przypadkowo spotkałem zrzedliwego starca.

– Rozumiem. A więc masy – słowo to pochodzi z pańskich czasów ale, jak pan się z pewnością zorientował, my też mamy masy – uważają, że to pan nimi rządzi, trochę tak, jak w pańskich czasach wielu ludzi za właściwą władzę uważało Koronę. Rządy pańskiej Rady Nadzorczej budzą powszechne niezadowolenie. Nie różni się ono znacznie od znanego z historii niezadowolenia zwykłego człowieka z jego zwykłości: niezadawalająca praca, konieczność zachowania dyscypliny, niedopasowanie do rzeczywistości. Niemniej pańska Rada rządziła źle. W niektórych sprawach, na przykład administracji Kompaniami Pracy, postępowała po prostu niemądrze. Przegapiali wszystkie kolejne okazje. My z partii ludzi agitowaliśmy za reformami na długo przedtem, nim pan się obudził. Ale pan się obudził! Zupełnie jakbyśmy zaplanowali pańskie przebudzenie! Nie mogło przyjść we właściwszym czasie. – Ostrog uśmiechnął się. – Społeczna świadomość, za nic sobie mając lata pańskiego uśpienia, wyartykułowała myśl o tym, by go obudzić i proszę, pan się budzi.

Ostatnie słowa podkreślił gestem. Graham skinął głową na znak, że doskonale go rozumie.

– Rada tylko deliberowała, robiła zamieszanie i kłóciła się. Nie potrafiła podjąć decyzji, co też z panem zrobić. Wie pan, po co pana uwięzili?

– Rozumiem. Tak, teraz rozumiem... ale wygraliśmy, prawda?

– Rzeczywiście, wygraliśmy. Wygraliśmy dzisiejszej nocy, w ciągu zaledwie pięciu godzin. Uderzyliśmy błyskawicznie, ze wszystkich kierunków na raz. Ludzie z wiatraków, z Kompanii Pracy z jej milionami, oni wszyscy zerwali krępujące ich więzy. Mamy naszych także przy aeroplanach.

– Rozumiem – powtórzył Graham.

– To było, oczywiście, najważniejsze. Inaczej mogliby uciec. Powstało całe miasto, w powstaniu brał udział niemal co trzeci mieszkaniec. Wszyscy niebiescy, wszystkie służby publiczne, z wyjątkiem kilku aeronautów i około połowy czerwonej policji. Ocaliło nam to życie, a ich

policja traktów została rozbita, rozbrojona lub zginęła. Mniej niż połowa jej sił zdołała schronić się w siedzibie Rady. Londyn jest nasz, cały. Z wyjątkiem właśnie budynku rady.

Połowę swoich sił policyjnych Rada straciła w nonsensownej próbie złapania pana podczas ucieczki. Pana zniknięcie sprawiło, że potracili głowy. Wezwali wszystkie siły do teatru. Odcięliśmy ich tam od punktu dowodzenia. Ta noc była dla nas prawdziwą nocą zwycięstwa. Pańska gwiazda rozbłysła, wszędzie. Zaledwie wczoraj Biała Rada rządziła jak przez gros lat, jak przez półtora wieku, a dziś, przy minimum wysiłku, ot sekretna dostawa broni tu i tam, i nagle...!

– Nic nie wiem, jestem ignorantem. – Graham wykorzystał zapadłą ciszę. – Mam wrażenie... ja chyba nie bardzo rozumiem, o co toczy się ta wojna. Proszę mi to wytłumaczyć. Co się dzieje z Radą? Gdzie w tej chwili toczą się walki?

Ostrog przeszedł przez pokój, rozległ się trzask i nagle pogasły wszystkie światła, tylko owal zachował swój blady blask. Graham zdumiał się, lecz zaledwie przez krótką chwilę nie miał pojęcia, co się stało. Dysk, mętny do tej pory, szary, nabrał głębi, pojawiły się w nim barwy, a w końcu stał się jakby owalnym oknem, otwartym na nieznaną mu dziwną scenę. Nie od razu zorientował się w jej znaczeniu. Przedstawiała ona dzień, jakby zimowy, szary, lecz pogodny. Poprzez nią, mniej więcej w połowie między nim a najdalszym fragmentem przedstawionego obrazu, biegł pionowo biały mocny kabel, zwinięty z pojedynczych drutów. Po chwili przypomniał sobie rzędy wielkich wiatraków, które widział przecież już wcześniej, rozstawione w dużej odległości od siebie, rozdzielone plamami cienia, to przez ich pole uciekał przecież po wydostaniu się z niewoli Rady. Rozpoznał też równe rzędy mężczyzn w czerwieni, maszerujące wśród rzędów mężczyzn w czerni. Nim Ostrog przemówił znowu wiedział już, że patrzy z góry na zewnętrzną powierzchnię dzisiejszego Londynu. Padający w nocy śnieg znikł. Uznał, że lustro to jest jakąś współczesną wersją camera obscura, ale tego mu nie wyjaśniono. Zauważył, że chociaż kolumna postaci w czerwieni porusza się z lewa na prawo, to jednak znika z obrazu przy jego lewej krawędzi. Zastanowiło go to i doprowadziło do obserwacji, że obraz przesuwają się po owalu, powoli, jakby panoramował widok.

– Za chwilę zobaczy pan walkę – uprzedził go stojący u jego boku Ostrog. – Ci w czerwieni, których tu widać, to jeńcy. Patrzy pan na dachy Londynu, między domami nie ma dziś praktycznie przerwy. Ulice i parki publiczne są w całości przykryte. Przerwy z pańskich czasów, te przepaści między budynkami znikły.

Dobrą połowę obrazu przysłoniła nieostra plama. Jej kształt sugerował, że to część sylwetki mężczyzny. Błysnął metal, powierzchnia obrazu rozświetliła się dosłownie na chwilę, coś przesunęło się po owalu jak powieka ptaka po jego oku, po czym obraz uspokoił się i oczyścił. Pojawili się ludzie biegający między wiatrakami, mierzący z broni, błyskającej światłem oraz dymem. Po prawej było ich coraz więcej i więcej. Gestykulowali, być może krzyczeli, ale głosu to urządzenie nie przekazywało. Powoli, statecznie, przesuwali się, podobnie jak wiatraki, po powierzchni lustra.

– Za chwilę zobaczy pan Dom Rady.

Uwagę Grahama przykuła pojawiająca się w owalu czarna linia. Po chwili nie była już linią, lecz głęboką szczeliną, ogromną czarną przestrzenią pomiędzy napierającymi na siebie gmachami. W blade zimowe niebo wznosiły się cienkie pasemka dymu. Z pogrążonej w posępnym mroku ruiny na światło dzienne wyrastały porozrywane elementy szkieletu konstrukcyjnego, pocięte i połamane elementy nośne. Resztki wspaniałego niegdyś gmachu obsiadły małe postaci ludzkie, ruchliwe jak mrówki.

– To jest właśnie Dom Rady – powiedział Ostrog. – Ich ostatni bastion. Głupcy! Na wysadzenie w powietrze sąsiednich budynków zmarnowali tyle amunicji, że mogliby się bronić przez miesiąc. Słyszał pan wybuch? Strzaskał połowę zbrojonego szkła w mieście.

Podczas gdy Ostrog mówił, Graham przyglądał się stojącemu poza kręgiem ruin, wyrastającemu nad nie białemu budynkowi o nierównej fasadzie i poszarpanej linii dachu, odizolowanemu przez strefę zniszczenia. Czarne jamy znaczyły miejsca, w których wybuchy wyrwały wolną przestrzeń, rozdarły ściany pokazując dekoracje wielkich sal, żałosne w tym bladym świetle, przewiewane zimnym wiatrem. Wzdłuż ich ruin zwisały festony porwanych kabli, zapętlone liny i powykręcane belki konstrukcyjne, wśród nich zaś widać było ruchome małe czerwone plamki: obrońców Rady. Od czasu do czasu w ciemności rozbłyskały ogniki. W pierwszej chwili Graham odniósł wrażenie, że biały gmach jest

atakowany, ale niemal natychmiast dostrzegł, że siły buntowników nie zdobywają terenu, lecz ukryte wśród żalonych, choć porażających ogromem resztek wspaniałej zabudowy, otaczających tę ostatnią twierdzę czerwonych, prowadziły jej niezbyt energiczny ostrzał. A on, przed niespełną dziesięcioma godzinami, stał pod wiatrakami wentylacyjnymi w małym pokoiku tego właśnie budynku zastanawiając się, co też czeka go w tym świecie!

Nie spuszczał oka z przesuwanego się powoli wojennego epizodu. Zauważył, że budynek Rady otoczony jest ruinami ze wszystkich stron. Ostrog tymczasem beznamiętnie, krótkimi zdaniami, tłumaczył mu, że obrońcy dokonując dzieła zniszczenia myśleli, że w ten sposób odgradzą się od wybuchającej burzy. O spowodowanych ich działaniem stratach w ludziach opowiadał beznamiętnie, równie beznamiętnie wskazał widoczny w ruinach improwizowany cmentarz oraz ambulanse przypominające drobinki pleśni w serze, wypełniające szczeliny będące niegdyś ulicami lub ruchomymi traktami. Wydawał się bardziej zainteresowany wskazując słabe punkty siedziby Rady i rozlokowanie oblegających. Już wkrótce rujnująca Londyn wojna domowa przestała być dla Grahama tajemniczą. Dowiedział się, że tej nocy nie doszło do chaotycznego buntu, nie doszło do bitwy mniej więcej równych sił, lecz doskonale zorganizowanego coup d'état. Ostrog ze zdumiewającym talentem planował nawet najdrobniejsze szczegóły, rozumiał sens działania każdego zbiorowiska czarnych i czerwonych plamek, widocznych na przesuwanym się powoli obrazie. Wyciągnął rękę, wskazał Grahamowi pokój, w którym go więziono, po czym przesunął palcem nad ruinami znacząc drogę, którą uciekał. Wśród ruin Graham rozpoznał przepaść, przez którą przebiegał kanał ściekowy i wiatraki, za którymi krył się przed latającą maszyną. Inne punkty charakterystyczne, tak dobrze zapamiętane, uległy zniszczeniu w wybuchu. Graham spojrzął raz jeszcze na gmach Rady, częściowo ukryty za krawędzią owalu. Po prawej pojawiło się na nim wzgórze, zabudowane kopułami i wieżyczkami, widoczne z wielkiej odległości, niewyraźnie, jakby pogrążone we mgle.

- Czy Rada naprawdę obalono? – spytał.
- Naprawdę – upewnił go Ostrog.
- A ja? Czy to prawda, że ja...?
- Jest pan Władcą Świata.

– Ale... biała flaga...

– To sztandar Rady, sztandar Rządu Światem. Upadnie. Walka praktycznie się skończyła. Atak na teatr to był ich ostatni, rozpaczliwy wysiłek. Mają zaledwie około tysiąca ludzi, a nie wszyscy z nich zachowują lojalność. Brakuje im amunicji. A my ożywiamy tradycje, odlewamy broń palną.

– Tylko... no nie wiem... czy nie otrzymają pomocy? Czy miasto jest całym światem?

– W praktyce tylko ono pozostało im z wielkiego imperium. Zagraniczne miasta albo zbuntowały się wraz z nami, albo czekają, co się zdarzy. Pańskie przebudzenie zaskoczyło je i sparaliżowało.

– Przecież Rada ma latające maszyny. Dlaczego one nie biorą udziału w walkach?

– Rada je miała. Większość aeronautów dołączyła do buntu. Nie podejmą ryzyka walki w naszych szeregach, ale też nie będą walczyć przeciw nam. Musieliśmy mieć na nich jakiś wpływ. Mniej więcej połowa z nich stanęła przy nas, a reszta dobrze o tym wiedziała. Powiedziano im, że twoja ucieczka musi zakończyć się sukcesem, więc ci, którzy mieli cię szukać, nie podjęli żadnych działań. Tego, który do ciebie strzelał, zabiliśmy przed godziną. No i zajęliśmy płyty do lotów, ile się dało. Dzięki temu zdołaliśmy zatrzymać, a potem przejąć większe maszyny, a te mniejsze, które się nam wymknęły, bo kilku to się udało, ostrzeliwaliśmy konsekwentnie, więc nie mogły zbliżyć się do siedziby Rady. Opadały na ziemię i nie mogły znów się wznieść, bo tu wszędzie jest na to za mało wolnego miejsca. Zniszczyliśmy kilka, kilka innych opadło i poddało się, reszta poleciała na kontynent w poszukiwaniu przyjaznego miasta, jeśli jakieś jeszcze zostało i jeśli wystarczy im paliwa. Prawie wszyscy byli szczęśliwi, że wpadli w niewolę, bo niewola dawała im poczucie bezpieczeństwa. Zagrożenie życia w latającej maszynie to niezbyt przyjemna perspektywa. Nie, jeśli o to chodzi, Rada nie ma szans. Jego dni dobiegły kresu.

Ostrog roześmiał się. Na owalnym lustrze pokazał Grahamowi co ma na myśli mówiąc o płytach lotów. Nawet cztery najbliższe wydawały się bardzo dalekie, a dodatkowo pokrywała je cienka warstwa porannej mgły, niemniej sprawiały wrażenie ogromnych, nawet w porównaniu z tym, co je otaczało. A potem niewyraźne kształty przesunęły się w lewo i znów

pojawiły się rzędy maszerujących, rozbrojonych czerwonych. Po chwili zastąpił je obraz mrocznych ruin, a następnie oblężona biała twierdza. Nie wyglądała już upiornie. Wiszące nad nią chmury zdołały się rozejść, w promieniach słońca błyszczała bursztynową barwą. Miniaturowa na obrazie bitwa nadal wydawała się nierozstrzygnięta, ale czerwoni obrońcy rady przestali strzelać.

I tak, nie ruszając się z miejsca, w ciszy i spokoju, dziewiętnastowieczny człowiek obserwował ostatnie sceny dramatu wielkiego buntu, czyniącego go władcą świata. Zaskoczony mimo wszystkiego, co widział i w czym uczestniczył, zdumiony, Graham dopiero teraz zrozumiał, że ten świat jest jego światem, a nie świat, który zostawił za sobą, że nie uczestniczył w spektaklu, osiągającym punkt kulminacyjny i kończącym się nieuchronnie, że tu i teraz przeżyje przeznaczone mu lata, że tu będzie wypełniał obowiązki, zwalczał zagrożenia, ponosił odpowiedzialność. Zasypał Ostroga pytaniami, Ostrog nawet zaczął mu odpowiadać, ale nagle przerwał.

– Udzielę panu pełnych wyjaśnień, oczywiście, ale to później. Na razie czekają nas pewne... obowiązki. W tej chwili traktami przybywają tu ludzie z całego miasta, rynki i teatry już są zatłoczone. Pojawił się pan w ostatniej chwili. Ludzie zaczynają się niepokoić, chcą pana koniecznie zobaczyć. Nie tylko tutaj, także w Paryżu, Nowym Jorku, Chicago, Denver, na Capri. W tysiącach miast sytuacja jest napięta. Przez lata powszechnie domagano się obudzenia pana, a teraz, gdy to się stało, nie potrafią uwierzyć...

– Ale przecież... nie mogę być wszędzie...

Ostrog odpowiedział mu przez pokój. Obraz na owalu bladł w miarę jak rozjaśniało się światło, aż w końcu znikł.

– To kineto-telefoto-grafy – wyjaśnił. – Pozdrowi pan lud tutaj, a na całym świecie zobaczą to miliony, miliardy, wypełniające sale, nieruchome w mroku. W czerni i w bieli, oczywiście, nie aż tak. Będzie pan słyszał ich wiwaty, dodatek do wiwatów dobiegających z sali. Jest także pewne optyczne urządzenie, wykorzystywane przez ważnych i kobiety, tancerki. Może być dla pana nowością. Należy ustawić się w bardzo jasnym świetle i wówczas nie pan będzie widoczny, lecz pański powiększony obraz, rzucany na ekran, tak że nawet ktoś stojący w ostatnim rzędzie najdalszej galerii będzie w stanie policzyć pańskie rzęsy.

Graham rozpaczliwie pragnął poznać odpowiedź na choćby jedno z wirujących mu w głowie pytań.

– Ilu ludzi mieszka w Londynie?

– Osiem i dwadziści myriadów.

– Osiem i co?

– Więcej niż trzydzieści trzy miliony.

Takiej liczby Graham nie był sobie nawet w stanie wyobrazić.

– Oni oczekują, że coś im pan powie – mówił dalej Ostrog. – Nie chodzi o to, co za pańskich czasów nazywało się „mową” lecz to, co nazywamy „słowem”: jedno krótkie zdanie, zaledwie kilka słów. Musi to brzmieć uroczyście. Jeśli wolno mi zaproponować: „Przebudziłem się i moje serce jest z wami”. Pragną czegoś właśnie w tym rodzaju.

– Co pan powiedział?

– Przebudziłem się i jestem z wami. Proszę także ukłonić się po królewsku. Ale najpierw musimy przygotować dla pana czarną szatę. Czerń jest naszym kolorem. Spodziewam się, że nie ma pan nic przeciwko temu. Potem ludzie rozejdą się do domów.

– Jestem w pańskim ręku – przyznał Graham po chwili wahania.

Z tym twierdzeniem Ostrog z pewnością się zgadzał. Spojrzał na kurtynę, zawołał jakiegoś swego niewidocznego asystenta. Niemal natychmiast Grahamowi dostarczono szatę, identyczną jak ta, którą miał na sobie w teatrze. Gdy upinał ją na ramionach z zewnętrznego pokoju dobiegł go wysoki, przenikliwy dźwięk dzwonka. Ostrog miał chyba zamiar wypytać asystenta, co się dzieje, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie, rozsunał zasłonę i znikł, pozostawiając Grahama w towarzystwie uniżonego pomocnika. Graham słyszał jego oddalające się kroki, usłyszał też krótkie pytanie i równie zwięzłą odpowiedź, a także odgłos szybkich kroków. Kurtyna znów się przesunęła – to wrócił Ostrog, a jego duża, męska twarz płonęła podnieceniem. Przeszedł przez pokój kilkoma długimi krokami, wyłączył światło, chwycił Grahama za rękę i pokazał mu lustro.

– Wystarczyła chwila nieuwagi – powiedział.

Jego wielki, czarny palec wskazujący zawisł nad widocznym lustrze gmachem, siedzibą Rady. Graham nie od razu dostrzegł, że na maszcie nie ma już jej białego sztandaru.

– Czyżby...?

– Rada skapitulowała. Jej rządy skończyły się. Na zawsze. Proszę spojrzeć. – Ostrog wskazał cienką smugę czarnego dymu, wznoszącą się niespiesznie nad nagim masztem flagowym.

Obraz na owalu zbladł, to Lincoln wszedł do pokoju przez odsuniętą zasłonę.

– Nalegają – oznajmił. – Bardzo hałaśliwie.

Ostrog mocniej zacisnął palce na ramieniu Grahama.

– Obudziliśmy gniew ludu. Daliśmy mu broń. Przynajmniej dziś jego życzenie jest prawem.

Lincoln przytrzymał zasłonę odsuniętą dla nich obu. Po drodze zobaczył wąską białą salę, w której mężczyźni, wszyscy w niebieskich płóciennych szatach przenosili przykryte coś, co natychmiast skojarzyło mu się z marami, a lekarze, noszący fioletowe stroje, przebiegali tu i tam w niezwykłym pośpiechu. Słyszał jęki, okrzyki bólu, widział zakrwawiony stół lekarski, także ludzi leżących na innych stołach i czerwone od krwi bandaże. Wystarczył mu na to rzut oka z ogrodzonego przejścia dla pieszych, a potem wspornik zasłonił mu widok, a ryk tłumów stał się coraz donośniejszy i bliższy.

Po chwili brzmiał już jak huk gromu. Uwagę Grahama przykuły powiewające czarne sztandary, niebieskie płótno i brązowe szmaty; w długiej perspektywie korytarza widział fragment ogromnej sali teatru stojącego obok publicznych rynków. Z każdym krokiem ogarniał wzrokiem coraz więcej szczegółów. Zrozumiał, że wkracza powtórnie do teatru, który poprzednio, uciekając przed czerwoną policją, widział jako siatkę blasku i czerni. Tym razem znajdował się na poziomie galerii, wysoko nad sceną. Wnętrze znów było jaskrawo oświetlone. Poszukał wzrokiem pomostu, którym uciekał, ale nie potrafił odróżnić go od bardzo wielu innych. Stłoczeni ludzie zasłonili przed nim roztrzaskane siedzenia, dziurawe poduszki, z których uszło powietrze oraz inne ślady walk. Oprócz sceny, która pozostała wolna, dosłownie nie było gdzie szpilki wcisnąć. Z góry wyglądało to jak ogromna płaszczyzna róży zdobna w gęste blade plamki: twarze ludzi stojących z podniesionymi głowami i wbitym w niego wzrokiem.

Gdy tylko pojawił się wraz z Ostrogiem umilkły entuzjastyczne okrzyki, ucichły śpiewy i wiwaty. Wspólny interes uspokoił ludzi, narzucił

dyscyplinę chaosowi. Wydawało się, że każdy człowiek, jeden z myriadów ludzi, widzi tylko jego.

ROZDZIAŁ XIII

KONIEC STAREGO PORZĄDKU

Na tyle, na ile Graham był w stanie to ocenić, białą flagę Rady ściągnięto z masztu około południa. Odebranie formalnej kapitulacji zabrało jednak kilka godzin, więc po ogłoszeniu „słowa” wycofał się do swego nowego mieszkania w biurach wiatraków. Burzliwe dwanaście godzin, podczas których ani na chwilę nie doznał ukojenia, pozostawiło go niezwykle wręcz zmęczonym. Wyczerpała się nawet jego ciekawość. Na zmianę Graham to siedział, nieruchomy i bierny, to spał. Przebudzili go dwaj medycy ze środkami pobudzającymi, mającymi pomóc mu przetrwać kolejną uroczystość. Wziął je, wykąpał się, za radą medyków w zimnej wodzie, dzięki czemu doświadczył przyływu żywotności oraz zainteresowania światem. Bez trudności, wręcz z entuzjazmem, przeszedł wraz z Ostrogiem, jak mu się wydawało, kilka mil wąskimi przejściami, z użyciem wind i ruchomych schodów, dzięki czemu stał się świadkiem ostatnich chwil rządów Rady.

Droga wiła się wśród labiryntu budynków. Ostatnie przejście skręcało łukiem, po czym rozszerzało się i kończyło okrągłym wyjściem, przez które widać było niebo o upalnym zmierzchu, oświetlone zachodzącym słońcem oraz, na tle nieba, poszarpaną linię ruin siedziby Rady. Tu też dobiegły go głośne krzyki. W następnej chwili stali już na krawędzi przepaści, w zniszczonym budynku nadal górującym nad ciągnącym się poniżej morzem ruin. Przed oczami Graham rozciągała się imponująca ogromem przestrzeń, nadal zdumiewająca mimo iż widział ją już przecież w lustrze. W przybliżeniu amfiteatralna, rozciągała się na więcej niż milę. Po lewej nadal rozświetlało ją słońce, przed nim i po prawej pograżyła się już w cieniu. Nad szarym, stojącym po jej środku budynkiem Rady powiewała czarna flaga poddania, powiewająca leniwie na słabym wietrze. Dziury w murze odsłaniały zniszczone pokoje, sale i korytarze, żałosne w swej nagości, w powietrzu wisiały powyginane, splecione ze sobą metalowe

pręty, sploty kabli opadały ze ścian niczym obrastające je wodorosty, wprost w ogłuszający dźwięk niepoliczalnych głosów, groźny dźwięk, przez który przebijały trąby. A wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągał się krajobraz zniszczenia, zdruzgotane ściany, pociemniałe elementy konstrukcji, owoc bezwzględnych rozkazów Rady: bezkształtna masa elementów konstrukcyjnych, dźwigarów, tytanicznych niegdyś murów, z wyrastającymi z nich w niebo połamanymi filarami. Ziemię przemywała bieżąca woda, a daleko, niemal na horyzoncie, z bezkształtnej masy słoczonych budynków, wyrastał na dwieście metrów w górę skręcony koniec głównej magistrali wodnej, plujący huczącym wodospadem.

I wszędzie, wszędzie roiło się od ludzi. Gdziekolwiek dało się postawić stopę stali ludzie, drobne z tej odległości figurki, lecz łatwo dostrzegalne w cieniu, za to w słońcu stapiające się w jedną złotą masę. Ludzie wspinali się po chwiejnych resztkach murów, okupowali grupami potrzaskane filary, dekorując je niczym wieńcami, tłoczyli się na granicy kręgu ruin, naciskając wyraźnie na ciągle jeszcze pusty środek. Ich krzyk wypełniał powietrze.

Wyższe piętra gmachu Rady wydawały się puste, w każdym razie widać tam było tylko zwisającą z masztu czarną flagę poddania. Ciała albo spoczywały w gmachu Rady, albo zasłaniała je ludzka masa, albo już je uprzątnięto. Graham dostrzegł ich zaledwie kilka, zapomnianych, ukrytych w ruinach lub pod nadal płynącą wodą.

– Pokażesz się im, panie? – spytał Ostrog i tym razem to on przeciągnął „a”. – Bardzo chcę cię zobaczyć.

Graham zawahał się, a potem zrobił kilka kroków w stronę przepaści opadającej tam, gdzie kiedyś stała ściana. Stał nieruchomo patrząc w dół, samotna, wysoka sylwetka w czerni, wyraźnie widoczna na tle nieba. Zgromadzeni w ruinach ludzie bardzo powoli zaczęli zdawać sobie sprawę z jego obecności. Jednocześnie niewielkie grupki mężczyzn w czarnych mundurach ruszyły z zewnętrznego kręgu, przebijając się przez tłumy szły powoli lecz pewnie ku gmachowi Rady. Małe czarne głowy stawały się różowe, obracały w jego kierunku, jakby domagały się rozpoznania. Graham pomyślał, że przynajmniej to jest im winien. Wyciągnął rękę, wskazał gmach Rady, pozwolił ramieniu opaść. Głosy z dołu nabrały harmonii, nabrały siły, wiwaty docierały do niego falami.

Nim zakończyła się procedura kapitulacji niebo na zachodzie zrobiło się blade, zielono-niebieskie, a na południu Jowisz zawisł na nim, wysoko. Tam, wysoko, dokonywała się powolna, naturalna zmiana, pięknie, majestatycznie nadchodziła noc, tu, na dole, był pośpiech, podniecenie, sprzeczne rozkazy, chwile bezczynności i gorączkowe wysiłki organizacyjne, nieustanny hałas, nieustanne zamieszanie. Nim pojawiła się Rada zapracowani, spoceni mężczyźni wynieśli setki ciał tych, którzy zginęli w walce wręcz, toczącej się tu, w długich krętych korytarzach i wielkich salach.

Strażnicy w czerni obstawili drogę, którą miała wyjść Rada. Tłumy ludzi były wszędzie, wśród oświetlonych niebieskawym światłem zachodu ruin, w całym Domu Rady, a także na szczytach otaczających ten gmach ruin. Nawet gdy nie wiwatowali ich głosy miały siłę fal, załamujących się na kamienistej plaży. Ostrog sam wybrał wysoką górę gruzu z wysadzonych wybuchami, zawałonych murów. Z drewna i metalowych belek pośpiesznie konstruowano na niej scenę. Nawet gdy wydawała się już gotowa, z cienia pod nią dobiegał hałas pracujących maszyn.

Scenę zaopatrzono w niewielkie podwyższenie dla Grahama i Ostroga. Z tyłu, za nimi stanął Lincoln, za plecami Lincolna ustawili się zaś oficerowie niżsi stopniem. Miejsce na właściwej scenie zajęli czarno umundurowani strażnicy trzymający w rękach tę małą zieloną broń, której nazwy Graham jeszcze nie znał. Ci, którzy stali najbliżej widzieli, że nieustannie biega on wzrokiem od tłumów w ruinach do ciemniejącej ze zbliżaniem się nocy masy gmachu Rady, z którego mieli wyjść jej członkowie i na wierzchołki otaczających scenę ruin, skąd opuszczał go z powrotem na tłumy. Głos tłumów tymczasem znów wzniósł się, ogłuszał.

Członków Rady dostrzegł już z daleka, w świetle jednej z prowizorycznych latarni zapalonych na ich drodze, grupkę białych postaci pod czarnym łukiem. W gmachu Rady kryli się w cieniu, lecz teraz, zbliżając się, weszli w krąg światłą pierwszej jaskrawej elektrycznej gwiazdy, a potem następnych. W marszu towarzyszył im złowrogi ryk tłumy, nad którym sprawowali władzę przez sto pięćdziesiąt lat, a gdy zbliżyli się wystarczająco, zobaczył też ich blade, zmęczone, przestraszone twarze. Zobaczył, że mrugają szybko, oślepiął ich blask, w którym stał wraz z Ostrogiem. W Sali Atlasa wyglądali inaczej, nieruchomi i chłodni. Rozpoznawał już niektórych z nich: tego, który stukał w stół podczas

rozmowy z Howardem, potężnie zbudowanego rudobrodego, niskiego, delikatnego o dziwnie wydłużonej czaszce. Dwaj szeptali coś do siebie, przyglądając się jemu i Ostrogowi. Za nimi postępował wysoki, ciemnowłosy przystojny mężczyzna, wpatrzony w ziemię. Nagle podniósł on wzrok, spojrzął na Grahama, a potem, po krótkiej chwili, przeniósł spojrzenie na Ostroga.

Drogę dla członków Rady wyznaczono tak, że musieli przejść wokół wyniesienia na scenie, a dopiero potem zejść w dół wyłożoną deskami pochylnią na samą scenę, gdzie miała nastąpić ich kapitulacja.

– Pan! Władca! Bóg i Pan! – krzyczeli ludzie. – Precz z Radą!

Graham przyglądał się im, rozkrzyczanej ludzkiej masie, której krańce ginęły w mgiełce zachodu, a potem spojrzął na stojącego obok Ostroga w białej szacie, spokojnego i nieruchomego. Obrócił wzrok na członków Rady. Na niebie świeciły znajome ciche gwiazdy. Uświadomił sobie coś cudownego, jeden mały okruch losu. Czyżby miał w pamięci swe własne życie, odległe o dwieście lat... i czyżby to, co działo się teraz, też było jego życiem?

ROZDZIAŁ XIV

Z BOCIANIEGO GNIAZDA

Mimo przedziwnych w swej naturze opóźnień, krętą drogą wątpliwości... i walki dziewiętnastowieczny człowiek zajął wreszcie należne mu miejsce za sterem współczesnego skomplikowanego świata.

Kiedy obudził się z długich godzin głębokiego snu, w który zapadł po ocaleniu z rewolty i po kapitulacji Rady, nie rozpoznał otoczenia. Wielkiego wysiłku pamięci wymagało od niego przypomnienie sobie wszystkiego, co zaszło, a i tak wspomnienia otaczała aura nierzeczywistości, jakby opowiedziano mu te zdarzenia lub jakby przeczytał o nich w książce. Jednak nawet nim wspomnienia odzyskały właściwą im jasność, wróciła do niego radość z odzyskanej wolności i zachwyty nową wysoką pozycją w świecie. Był jego właścicielem, był Władcą tej Ziemi. Nowy wspaniały wiek należał, dosłownie, do niego. Nie, nie żywił już nadziei, że to, czego doświadczył, jest tylko snem, wręcz przeciwnie. Pragnął przekonać samego siebie, że są jak najbardziej rzeczywiste.

Służalczy kamerdyner pomógł mu się ubrać pod czujnym okiem godnego, dostojnego stewarda, drobnej dziewczynki o rysach twarzy Japończyka, mówiącego jednak nienaganną angielszczyzną. To właśnie on wyjawiał mu sekrety stanu, a przynajmniej część z nich. Rewolucja już stała się faktem i została powszechnie zaakceptowana. Życie w mieście wracało do normy. Za granicą upadek Rady prawie wszędzie przyjęto z nieukrywaną radością. Nigdzie nie była popularna, a tysiąc miast Zachodniej Ameryki, po dwustu latach nadal zazdrosnych o Nowy Jork, Londyn i Wschód, przed dwoma dniami, gdy rozeszła się wieść o uwięzieniu Przebudzonego, powstało jak jedno. Paryż prowadził swą własną wojnę. Reszta świata czekała wstrzymując oddech.

Graham właśnie spożywał posiłek, kiedy odezwał się dzwonek stojącego w rogu pokoju telefonu. Steward przywołał go, a w słuchawce

rozległ się uprzejmy głos Ostroga. Pojawienie się Lincolna przerwało wymianę uprzejmości po zaledwie kilku zdaniach. Graham jeszcze raz, dobitnie wyraził ochotę porozmawiania z ludźmi, poznania nowego życia, które się przed nim otwierało. Lincoln poinformował, że za trzy godziny rozpocznie się formalne spotkanie urzędników, którzy przybędą na nie wraz z żonami. Miejscem spotkania były służbowe apartamenty zarządcy wiatraków. Spacer po miejskich traktach, tłumaczył dalej, jest w tej chwili niestety niemożliwy, a to ze względu na niezwykle poruszenie obywateli. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, by przyjrzał się miastu z góry, z bocianiego gniazda zarządcy wiatraków. Obowiązki towarzyszenia mu przejmie opiekun, sam Lincoln, obdarzywszy go promiennym uśmiechem, wymówił się nawałem obowiązków natury administracyjnej.

Wyżej niż największe wiatraki sięgało bocianie gniazdo, górujące co najmniej tysiąc stóp nad dachami, niewielka tarcza, zaledwie kropka na tle nieba, umieszczona na szczycie metalowego filigranu wzmocnionego linami. Na szczyt ten Graham dostał się za pomocą niewielkiej, zawieszanej na linie kołyski. W połowie tej wyglądającej bardzo krucho łodygi, na niewielkiej galerii, zawieszono wiązkę rur, z góry wydających się bardzo niewielkimi, obracających się powoli na pierścieniu balustrady galerii. Były to wzierniki, zgrane lustrami zarządcy wiatraków, to w jednym z nich Ostrog pokazał mu, jak zdobywa dla niego władzę. Japoński opiekun zakończył wspinaczkę pierwszy. Przez niemal godzinę zadawali sobie pytania i odpowiadali na nie.

Był prawdziwie piękny wiosenny dzień. Wiał słaby ciepły wiatr. Pod intensywnie błękitnym niebem ogromny Londyn lśnił w jaskrawych promieniach słońca poranka. Powietrzem, wolnym od dymu i zanieczyszczeń, oddychali tak, jakby znaleźli się w górach Szkocji.

Za wyjątkiem nieregularnego owalu ruin wokół gmachu Rady i łopocącej nad nim czarnej flagi kapitulacji, w nie widziało się śladów błyskawicznej rewolucji, która, jak wyobrażał to sobie Graham, w jedną noc i jeden dzień zmieniła losy świata. Tłum nadal kręcił się wśród ruin, a na wielkich otwartych płytach, z których w czasach pokoju aeroplany startowały do wielkich miast Europy i Ameryki, pełno było ubranych na czarno zwycięzców. Po wąskim pomoście z desek na kozłach, rozpiętym wśród ruin, przechodzili zaferowani robotnicy, podłączający kable

i przewody łączące gmach Rady z dzielnicami miasta. Tu Ostrog miał przenieść swą kwaterę główną z budynku biurowego Wiatraków.

Poza tym pod pogodnym niebem panował spokój. Oazy spokoju tak dalece przeważały wielkością nad terenem, na którym wrzały prace, że Graham, odwracając od nich wzrok, niemal był w stanie zapomnieć o tysiącach ofiar, niewidocznych z miejsca, w którym się w tej chwili znajdował, spoczywających w sztucznym blasku quasi-podziemnego labiryntu, martwych lub umierających od doznanych w walce ran, zapomnieć o improwizowanych salach szpitalnych, w których uwijali się niczym w gorączce lekarze, pielęgniarki i noszowi, zapomnieć to wszystko, czego doświadczył: świadomości cudu, zdumieniu, niepewności. Wiedział, że tam w dole, w ukrytym przed jego wzrokiem mrowisku zwyciężyła rewolucja czarnych ubrań, czarnych flag, czarnych girland wiszących nad ulicami. A tu, pod jasnymi promieniami słońca, poza bezpośrednim terenem walk świat wyglądał jak zwykle, jakby nic się nie stało, a skrzydła wiatraków, prawdziwy las, wyrosły za rządów Rady z jednego, może dwóch sadzonek.

Daleko, na horyzoncie, wznosiły się niebiesko-zielone Surrey Hills, także naszpikowane wiatrakami, podobnie jak naszpikowane nimi były bliższe Highgate i Muswell Hill. Graham wiedział już, że wszędzie, jak kraj długi i szeroki, na każdym wzgórzu i każdej grani, tam gdzie kiedyś krzyżowały się żywopłoty, gdzie stały domy, kościoły i gospody, gdzie rozciągały się farmy, gdzie w cieniu drzew stawiano zabudowania gospodarcze, wiatraki takie jak te, które miał przed sobą, smukłe lecz potężne symbole i reklamy nowego wieku, rzucały ruchome cienie i tłoczyły żywą energię spływającą do miasta przewodami jak arterie ciała. I wszystko to powstało na fundamencie British Food Trust, jego własności, zazdrośnie strzeżonej przez samotnych strażników.

Wśród nowych form wielkiego miasta nie rozpoznawał znajomych kształtów. Wiedział, że ocalała katedra św. Pawła i wiele starych domów Westmisteru, lecz znikły one, przytłoczone imponującymi konstrukcjami współczesnego świata. Nie widział też Tamizy, jej srebrna, lśniąca nic nie urozmaicała szalonego krajobrazu, system wodociągów miejskich pochłaniał każdą jej kroplę na długo przed granicą miasta. Jej koryto i ujście, pomniejszone tak, że niemal niewidoczne, wypełniała morska woda. Brudni od smarów, nędznie odziani barkarze dostarczali ciężkie

ładunki z Pool bezpośrednio do rąk robotników. Tak daleko, że niemal niewidoczne, między niebem a ziemią wisiał las masztów portu Pool. Ładunki nie wymagające pośpiechu transportowano aż z krańców Ziemi ogromnymi żaglowcami, te zaś, które wymagały szybkiej dostawy, mniejszą flotą jednostek o mechanicznym napędzie.

Na południu, ponad wzgórzami, biegły ogromne akwedukty, dostarczające słoną wodę do systemu kanalizacji. W trzech kierunkach biegły blade linie – drogi, na których widać był szare poruszające się szybko punkciki. Graham postanowił sobie obejrzeć je przy pierwszej okazji, miała nadejść wówczas, gdy dostanie do dyspozycji statek latający. Towarzyszący mu funkcjonariusz opisał je jako dwie lekko wygięte powierzchnie o szerokości stu jardów, przeznaczone do ruchu w przeciwnych kierunkach, zbudowane przy użyciu substancji o nazwie Eadhamite, sztucznego tworzywa, o ile dobrze zrozumiał, przypominającego wzmocnione szkło. Drogami tymi jeździły dziwne wąskie pojazdy na ogumowanych kołach, wielkie jednokołowe pojazdy, pojazdy dwu- i czterokołowe, osiągające prędkości od jednej do sześciu mil na minutę. Koleje znikły, pozostały po nich resztki nasypów i zardzewiałych torowisk. Gdzieś tam stanowiły one fundament pod eadhamitowe trakty.

Pierwszą rzeczą, która przykuła jego uwagę, była wielka ilość reklama na balonach i latawcach, ciągnących się krętą linią na północ i na południe, wzdłuż trasy podróży aeroplanów. Samych wielkich aeroplanów nie było jednak widać. Nie podróżowały w tej chwili i tylko jeden, mały monoplan krążył wysoko na błękitnym niebie gdzieś, nad Surrey Hills, skromny, nie rzucający się w oczy punkcik.

Graham wiedział, choć nie był w stanie sobie tego wyobrazić, że niemal wszystkie małe miasteczka, niemal wszystkie wioski w całym kraju po prostu znikły. Z tego, co mu powiedziano wynikało, że zaledwie tu i tam, pośrodku pola pojedynczej uprawy, stało coś wielkiego, przypominającego hotel i to coś zachowywało tradycyjną nazwę: Bournemouth, Wareham czy Savage. Jego opiekun pośpieszył z wyjaśnieniem, dlaczego te zmiany były konieczne. Stary porządek wypełnił świat farmerskimi domami, zagrodami. Co dwie, może trzy mile zaczynało się nowe gospodarstwo nowego właściciela ziemskiego, a przy nim gospoda, warsztat szewski, sklep i kościół, innymi słowy – wieś.

Co mniej więcej osiem mil powstawało miasteczko, w którym mieszkał prawnik, kupcy: zbożowy, wełniany i bławatnik, siodlarz, weterynarz, lekarz, młynarz i tak dalej. Działo się tak dlatego, że osiem mil do była dla farmera wygodna wycieczka, cztery mile tam, cztery z powrotem. Ale potem pojawiła się kolej, kolej lokalna i szybkie pojazdy silnikowe, zastępujące powozy konne i gdy tylko zaczęto budować drogi z drewna i gumy, a potem Eadhamitu oraz innych materiałów trwałych, znikł powód istnienia gęsto rozrzuconych osiedli. Za to rozrastały się wielkie miasta. I przyciągały z niewyczerpaną siłą grawitacji robotników, ilu by ich było, zawsze było ich za mało. Jednocześnie w miarę, jak rosły wymagania, jednocześnie ze stopniem skomplikowania życia, wieś stawała się albo coraz droższa, albo nieakceptowalna. Odeszli w niepamięć wikary i dziedzic, lekarza rodzinnego zastąpili miejscy specjaliści co oznaczało, że wieś traci kontakt z kulturą. Telefon, kinematograf i fonograf zastąpiły gazety, książki, nauczycieli i małe szkoły. Życie poza zasięgiem kabla elektrycznego czyniło z człowieka dzikusa. Na wsi nie można było ani ubrać się, ani wyżywić (zgodnie z wysokimi wymaganiami nowych czasów), w nagłym przypadku nie można było wezwać lekarza, nie miało się ani towarzystwa, ani celu przed sobą. Co więcej urządzenia mechaniczne w rolnictwie pozwoliły zastąpić trzydziestu robotników jednym inżynierem. Tak więc, odwracając sytuację urzędnika miejskiego z czasów, kiedy Londyn nie nadawał się do zamieszkania z powodu przesycającego powietrze pyłu węglowego, dzisiejsi pracownicy wieczorami przybywali do miasta dla jego łatwego życia i rozrywek, a opuszczali je rankami. Miasto wchłonęło człowieka, ludzkość znalazła się na nowym etapie rozwoju. Nomadów zastąpili myśliwi, myśliwych zaś rolnicy, dla których miasteczka, miasta i porty był tylko przedłużeniem wsi i jej służyli.

W epoce wynalazków, logicznie, powstały jej własne skupiska ludzi. Ta prawda, przyjmowana w nowym świecie jako coś oczywistego, wymagała od Graham największego natężenia wyobraźni. A kiedy pomyślał o tym, co istnieje „o tam, dalej”, o wszystkich tych przedziwnych rzeczach istniejących na kontynencie, wyobraźnia po prostu go zawiodła.

Niczym w wizji widział niewyobrażalnie wielkie miasta, miasta na równinach, miasta nad rzekami, miasta na brzegach mórz, miasta otoczone ośnieżonymi górami. Na całym niemal świecie mówiono

po angielsku, łącznie z Łatyńskim Amerykańskim, Hindu, Negro i dialektami Pidżin, był on językiem służącym do codziennego porozumienia dwóm trzecim ludzkości. Na kontynencie, nie licząc ocalałych resztek, rządziły jeszcze trzy języki: niemiecki, sięgający Antiochii i Genui, ocierający się o łatynski angielski w Kadyksie, zgalicyzowany rosyjski, graniczący z hinduskim rosyjskim Persji i Kurdystanu, a pidżinem w Pekinie, oraz francuski, nadal czysty, klarowny i giętki, używany wraz z hinduskim angielskim oraz niemieckim w krajach basenu Morza Śródziemnego, a przez dialekty negro sięgał Konga.

I wszędzie, na całej usianej miastami ziemi, z wyjątkiem administrowanego osobno „czarnego pasa” tropików, panował ten sam kosmopolityczny system społeczny. A także wszędzie, od równika po bieguny, rozciągała się jego własność i jego wpływy. Cywilizowany był cały świat, cały świat mieszkał w miastach, cały świat należał do niego.

Na południowym zachodzie, tak dalekie, że wydawały się zamglone, lśniące, dziwne, zmysłowe i w jakiś sposób także straszne, stały Miasta Rozkoszy, które poznał z kinematografu – fonografu i ze słów starca, z którym rozmawiał w nocy. Były to dziwne miejsca przypominające antyczne Sybaris, centra sztuki i piękna, najemnej sztuki i najemnego piękna. Miasta sterylne, cudowne, pełne ruchu i muzyki, dokąd uciekali ci wszyscy, którym nie służyła gwałtowna, pozbawiona chwały, ekonomiczna walka, tocząca się w lśniącym podziemnym labiryncie.

A Graham wiedział, że ta walka istotnie jest gwałtowna, nawet okrutna. Do tego stopnia, że dla ludzi z tych czasów dziewiętnastowieczna Anglia była synonimem idyllicznego wręcz łatwego, spokojnego życia. Z tą myślą zwrócił uwagę na to, co działo się najbliżej niego. Spróbował wyobrazić sobie fabryki, ukryte w tym skomplikowanym labiryncie...

ROZDZIAŁ XV

WAŻNI LUDZIE

Apartamenty zarządcy Wiatraków zdumiałyby Grahama, gdyby wkroczył do nich wprost ze swego dziewiętnastowiecznego życia, lecz przecież poznał już luksus, jakże charakterystyczny dla nowych czasów. Przez jedną z dobrze mu już znanych przesuwanych płyt wszedł na obszerną platformę kończącą się niezbyt stromymi schodami, po których chodzili – i schodzili – ludzie ubrani tak wspaniale i jaskrawo, jakich tu do tej pory nie widział. Z miejsca, w którym stał, widział pod sobą delikatną, bogatą ornamentykę w matowej czerni, bladym fiolecie i bieli, której elementy łączyły mostki z, jak mu się wydawało, porcelany i filigranu. Jej kresem były dalekie, tajemniczo przyćmione, perforowane zasłony.

Spojrzał w górę. Zobaczył rzędy za rzędami wznoszących się stromo w górę galerii, obróconych frontem w jego stronę. Powietrze przepełniały niezliczone głosy, ściszone lecz pogodne oraz dobiegająca z góry radosna muzyka, której źródła nie zdołał dojrzeć.

W środkowym przejściu stali ludzie, lecz choć były ich tysiące, nie sprawiało ono wrażenia przesadnie zatłoczonego. Ubrani byli niezwykle jaskrawo, niezwykle zdobnie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, bowiem trzeźwiący wpływ purytańskiej koncepcji godności męskiego stroju już dawno odszedł w przeszłość. Włosy mężczyzn, choć rzadko długie, zwykle zwinięte były w loki wyraźnie sugerujące sztukę fryzjerską, a łysina znikła z powierzchni ziemi. Dominowały równo przycięte loki, które zachwyciłyby Rossettiego, a jeden z dżentelmenów, którego Grahamowi wskazano z szacunkiem, nazywając go, tajemniczo, "amorystą" uczesany był w dwa warkocze a la Marguerite. Nie brakowało i kucyków, wyglądało na to, że obywatele pochodzenia chińskiego nie wstydzą się już swej rasy. Stroje wskazywały, że nie stosuje się dziś pewnej jednolitości, wynikającej z mody. Co zgrabniejsi mężczyźni nosili obcisłe spodnie, tu widziało się bufy, tam rozcięcia, tu pelerynę, tam luźny płaszcz. Przeważała moda

czasów Leona Dziesiątego, bez żadnych wątpliwości zmieszana z elementami orientalnymi. Korpulentność mężczyzn, w czasach wiktoriańskich poddawana torturze sprzączek i guzików, okrutnym, bezlitosnym ciasnym nogawkom i rękawom, dziś była fundamentem obrazu bogactwa, godności otulonej fałdami szat, lecz wszędzie widziało się też postaci smukłe i wdzięczne. Grahamowi, typowemu, sztywnemu przedstawicielowi nader sztywnej epoki, ludzie ci wydawali się oczywiście aż nazbyt wdzięczni, a ich wyraziste twarze miał za przesadnie, rażąco wyraziste. Gestykulowali przy tym, otwarcie wyrażając rozbawienie, zaskoczenie i zdumienie, a także zainteresowania, w tym – co szczególnie go zdumiewało – zainteresowanie będącymi w towarzystwie damami. Na pierwszy rzut oka widziało się zresztą, że kobiety mają wielką liczebną przewagę.

Towarzyszące dżentelmenom damy strojem, postawą i zachowaniem demonstrowały wyrafinowanie raczej niż poddanie ciśnieniu obyczaju. Niektóre wydawały się preferować klasyczną prostotę idealnie ułożonych szat, niczym w stylu Empire, z kusząco obnażonymi ramionami, inne nosiły stroje obcisłe bez widocznych szwów i bez pasów w taliach, czasami z luźnymi fałdami opadającymi na plecy. Rozkoszna duma stroju wieczorowego pozostała taką, jaką była dwa stulecia wcześniej.

Wszyscy ci ludzie poruszali się z niezwykłym wdziękiem. Graham wspomniał nawet Lincolnowi, że mężczyźni wyglądają na żywcem przeniesionych z rysunków Rafaela, na co otrzymał odpowiedź, że opanowanie ruchu i gestykulacji jest częścią edukacji każdego zamożnego obywatela. Pojawienie się Władcy w towarzystwie spotkało się z aplauzem, który można by nazwać wstrzemięźliwym. Zgromadzeni okazali swe doskonale, a jednocześnie wstrzemięźliwe maniery nie tłocząc się wokół niego i nie przyglądając mu się otwarcie, nawet gdy zstępował ze schodów, idąc w ich kierunku.

Graham wiedział już od Lincolna, że ma do czynienia ze śmietanką towarzyską dzisiejszego Londynu. Wszyscy obecni tu tego wieczora albo sami byli ważnymi osobami urzędowymi, albo mieli bliskie związki z ważnymi osobami urzędowymi. Wielu z nich przerwało pobyt w europejskich Miastach Rozkoszy tylko po to, by go powitać. Specjaliści – aeronauci, którzy przeszli na jego stronę, przyczyniając się do obalenia Rady niemal w tym samym stopniu, co on sam, szczególnie się wyróżnili,

podobnie jak zarząd Wiatraków. Wymienić należało także najważniejszych urzędników Ministerstwa Żywności. Kontroler Europejskich Zasobów Trzody Chlewnej wydawał się szczególnie melancholijny, miał niezwykle interesującą twarz, a zachowywał się z ujmującym, dyskretnym cynizmem. Przez pole widzenia Grahama przemknął biskup w uroczystych biskupich szatach, pogrążony w rozmowie z dżentelmenem w kompletnym chaucerowskim stroju, którego częścią był nawet laurowy wieniec.

– Kto to taki? – Pytanie to wyrwało się Grahamowi niemal wbrew woli.

– Biskup Londynu.

– Nie... chodzi mi o tego drugiego.

– Dworski poeta.

– Macie...

– Och, oczywiście nie pisze wierszy. Jest kuzynem Wottona, jednego z Doradców. Należy także do Rojalistów Czerwonej Róży, to bardzo szacowny klub, a oni tam hołdują różnego rodzaju tradycjom.

– Asano wspomniał mi o królu.

– Król do nich nie pasował. Musieli go usunąć. Wszystkiemu winna krew Stuartów, jak miemam, ale doprawdy tego już było...

– Za wiele?

– Oczywiście. Zdecydowanie za wiele.

Graham nie całkiem pojmował, o co chodzi, zapewne wiązało się to z ogólnym, charakterystycznym dla tych czasów odwróceniem ról. Ukłonił się oszczędnie pierwszej przedstawionej mu osobie. Nie miał wątpliwości, że subtelne różnice klasowe występują nawet w tak dobranym towarzystwie, bowiem Lincoln uznał za wskazane przedstawić go tylko niewielu wybranym, należącym do najściślejszej elity. Jako pierwszy dostąpił tego zaszczytu Przywódca Aeronautów, mężczyzna o mocno opalonej twarzy, dziwnie kontrastującej z otaczającymi ich gośćmi o twarzach bladych i delikatnych. W krytycznym momencie przeszedł na stronę buntowników, co uczyniło go bardzo ważną osobą. Zachowaniem bardzo korzystnie wyróżniał się spośród obecnych, a przynajmniej takie wrażenie wyniósł ze spotkania Graham. Wypowiedział kilka niezobowiązujących słów, zapewnił o swej lojalności, zapytał wprost o zdrowie Władcy. Jego zachowanie cechował spokój i pewność siebie, po angielsku mówił zaś bez charakterystycznego dla tej epoki ostrego niedbałego akcentu. Bez ogródek stwierdził, że jest typowym „podniebnym

wojownikiem”, użył tych właśnie słów, że nie ma z nim żartów, że jest prawdziwym, w dodatku staroświeckim mężczyzną, że może niewiele wie, ale tego, czego nie wie, nie warto wiedzieć. Po czym skłonił się krótko pilnując, by w jego ukłonie nie było uniżoności i odszedł.

– Cieszy mnie, że przetrwali ludzie tacy, jak on – westchnął Graham.

– Fonografy i kinematografy – odparł Lincoln, nie ukrywając złości. – Dobra szkoła, taka bezpośrednia.

Graham spojrział na mocno zbudowanego aeronautę. Człowiek ten wydał mu się dziwnie znajomy.

– Żeby powiedzieć prawdę, po prostu go kupiliśmy. No i boi się Ostroga. Od niego zależało powodzenie.

Leonard odwrócił się szybko, przyszła kolej na przedstawienie Głównego Inspektora Szkół Prywatnych, osoby wiotkiej, ustrojonej w niebieskoszarą szatę akademika. Główny Inspektor przyglądał się Grahamowi przez pince-nez w wiktoriańskim stylu, a swe uwagi podkreślał gestami pięknie wymanikiurowanych dłoni. Grahama natychmiast zainteresowało, czym właściwie zajmuje się ten dżentelmen. Zadał mu kilka niezwykle bezpośrednich pytań. Jego rozmówca wydawał się rozbawiony tą bezpośredniością. Unikał wyjaśnienia zasady monopolu nauczania, posiadanego przez jego Kompanię, wynikającego z umowy podpisanej przez syndykat zarządzający wielością londyńskich okręgów samorządowych. Nie ukrywał natomiast entuzjazmu dla postępu nauczania, jaki miał miejsce od wiktoriańskich czasów.

– Pokonaliśmy wkuwanie – oznajmił z entuzjazmem. – Świat nie zna już egzaminów. Czyż to nie wspaniałe?

– Jak to się wam udało? – spytał zainteresowany Graham.

– Uczyniliśmy nauczanie pociągającym, czy też tak atrakcyjnym, jak to tylko możliwe. A jeśli nie pociąga... cóż, nie nalegamy. Pokrywamy ogromne pole.

Zagłębił się w szczegóły, to była bardzo interesująca rozmowa. Graham dowiedział się z niej, że nadal istnieje możliwość pozauniwersyteckiego kształcenia, jakkolwiek w zmodyfikowanej formie.

– Jest na przykład pewien specjalny typ kobiet – Główny Inspektor rozkoszował się poczuciem własnej użyteczności – gotowych poświęcić studiom wszystkie siły... oczywiście pod warunkiem, że studia te nie są zbyt ciężkie. Mamy ich tysiące. Tysiące! W tej chwili – w tym momencie

pan Inspektor przybrał pozę Napoleona – niemal pięćset fonografów wykladała w całym Londynie temat wpływu Platona i Swifta na życie miłosne Shelleya, Hazlitta i Burnsa. Po wykładach należy napisać pracę na ich temat. Prace są oceniane, oceny zaś, wraz z nazwiskami, publikujemy w widocznym miejscu, uporządkowane od najlepszej oceny. Rozumie pan teraz, co wyrosło z zasianego przez was ziarna? Analfabetyzm klasy średniej, tak powszechny w pańskich czasach, znikł bezpowrotnie.

– Szkoły podstawowe... czy je także kontrolujecie? – zainteresował się Graham.

Okazało się, że owszem, wszystkie są kontrolowane. Graham, który w późniejszym wieku nabrał zainteresowań demokratycznych, szczególnie się tym zainteresował i rozmowa potoczyła się warkotem. W jej trakcie przypomniawszy mu się słowa starego mężczyzny, z którym rozmawiał w ciemności. Generalny Inspektor potwierdził je tylko słowami: „Staramy się uczynić szkoły podstawowe jak najprzyjemniejsze dla małych dzieci. Już wkrótce będą musiały pracować. Zaszczepiamy im proste zasady, posłuszeństwo... pracowitość...”.

– Uczycie ich bardzo powierzchownie?

– Dlaczegoż mielibyśmy postępować inaczej? Nauka rodzi problemy, prowadzi do niezadowolenia. Bawimy nią, a mimo to mamy kłopoty. Dochodzi do niepokoju. Skąd w głowach robotników pojawiają się buntownicze myśli... tego nie wiemy. Bez wątplenia przekazują je sobie nawzajem. Są to myśli socjalistyczne i gorzej, nawet anarchistyczne. Agitatorzy ciągle pojawiają się wśród nich. Za swe główne zadanie uważam – i zawsze uważałem – zwalczanie publicznego niezadowolenia. Dlaczego ludzie mieliby być nieszczęśliwi?

– Oczywiście – odparł Graham z namysłem. – Ach, jest jeszcze tyle rzeczy, które muszę poznać.

Lincoln, stojący obok i obserwujący wyraz twarzy Grahama podczas rozmowy, uznał za stosowne zainterweniować.

– Ludzie czekają – powiedział cicho.

Rozgestykulowany Inspektor Generalny uznał za stosowne opuścić towarzystwo. Lincoln tymczasem zauważył dyskretne spojrzenie Grahama.

– Być może chciałby pan poznać niektóre panie? – zasugerował.

Szczególnie interesująca okazała się córka Zarządcy Chlewni Europejskich, drobna, ruda osóbką o pełnych życia niebieskich oczach. Lincoln pozostawił ich pogrążonych w rozmowie. Dziewczyna okazała się entuzjastyczną wielbicielek „kochanych dawnych czasów”, jak je nazywała – tych czasów, w których zapadał w trans. Mówiła szybko, z uśmiechem, śmiały się także jej oczy w sposób, który wręcz wymagał odwzajemnienia.

– Próbowałam – mówiła dziewczyna – bardzo wiele razy próbowałam wyobrazić sobie te dawne romantyczne czasy. A dla pana... dla pana są wspomnieniami. Jakim dziwnym, jakim tłocznym musi wydawać się panu nasz świat. Widziałam fotografie i obrazki z przeszłości, małe oddzielne domki zbudowane z cegły, czyli z palonego błota, całe czarne od sadzy waszych ogni, mosty kolejowe, proste reklamy, uroczyści dzicy purytanie w dziwnych czarnych strojach i takich wysokich kapeluszach, żelazne koleje na żelaznych mostach nad głowami ludzi, konie, bydło, nawet półdzikie psy biegające po ulicach. A potem, tak nagle, znalazł się pan tu i teraz.

– Tu i teraz – powtórzył Graham.

– Wyrwany z życia... wyrwany ze wszystkiego, co dla pana znajome.

– Dawne życie nie było takie szczęśliwe. Nie żałuję tego, co się stało.

Dziewczyna spojrzała na niego i zaraz opuściła wzrok. Milczała chwilę, po czym westchnęła, zachęcająco.

– Nie?

– Nie żałuję – powtórzył Graham. – Żyłem zwykłym życiem, bez znaczenia, to zaś... Uważaliśmy nas świat za wystarczająco tłoczny, skomplikowany i cywilizowany. Dopiero teraz, choć na tym świecie mam dopiero kilka dni, spoglądając w przeszłość nabieram wrażenia, że były to czasy dziwne, barbarzyńskie, zaledwie wstęp do tego nowego porządku. Trudno będzie pani zrozumieć, jak mało wiem.

– Proszę pytać mnie o co tylko pan chce – uśmiechnęła się do niego dziewczyna.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, kim są ci ludzie? Przecież ja nic o nich nie wiem! To dla mnie bardzo zagadkowe. Są tu jacyś generałowie?

– Tacy ważni? W mundurach?

– No nie, oczywiście, że nie. Skąd mieliby się tu wziąć? Za to są ludzie kontrolujący wielkie firmy publiczne. Kim jest tamten mężczyzna o bardzo dostojnym wyglądzie?

– On? To bardzo, bardzo ważny funkcjonariusz. Nazywa się Morden. Zarządza Wydziałem Środków Przeciwwłóciowych. Słyszałam, że jego robotnicy produkują czasami myriad myriadów pigułek dziennie, w dwadzieścia cztery godziny. Proszę wyobrazić sobie myriad myriadów!

– Myriad myriadów... nic dziwnego, że jest taki dumny z siebie. Lekarstwa!!! Jakież cudowne są te czasy! Mężczyzna w fioletowej szacie?

– Widzi pan, on jeszcze nie całkiem należy do elity. Ale lubimy go. Jest naprawdę sprytny i bardzo zabawny. Współkieruje Wydziałem Medycyny naszego Uniwersytetu Londyńskiego. Wie pan, medycy, oni noszą ten fiolet. No ale ludzie, którym płaci się za robienie czegoś... – uśmiech dziewczyny nie zostawiał wątpliwości, dla takich ludzi nie ma miejsca w dobrym towarzystwie.

– Jest tu ktoś z waszych wielkich artystów? Pisarzy?

– Pisarzy, nie. To przeważnie bardzo dziwni ludzie. Zapatrzeni w siebie. No i bez przerwy kłócą się pomiędzy sobą. Niektórzy gotowi byliby walczyć o pierwszeństwo na schodach! Musi pan przyznać, że to by było okropne. Jak mi się zdaje jest jednak wśród nas modny kaptiloptomista, Wraysbury. Z Capri.

– Kaptiloptomista? – zdziwił się Graham – Ach tak, pamiętam! Artysta! Czemu nie?

– Musimy zabiegać o jego względy – usprawiedliwiła się dziewczyna. – Nasze głowy są w jego rękach.

Graham zawahał się i nie skorzystał z okazji do wypowiedzenia odpowiedniego komplementu, jego spojrzenie było jednak pełne wyrazu.

– Sztuka dojrzała wraz z cywilizacją? – zauważył. – A wasi wielcy malarze?

Dziewczyna przyjrzała mu się z powątpiewaniem, a potem znów się roześmiała.

– Przez chwilę... przez chwilę wydawało mi się, że pan... – nie przestawała się śmiać. – Ma pan oczywiście na myśli tych dobrych ludzi, których tak szanowaliście, ponieważ potrafili pokrywać wielkie płótna olejnymi barwami? Wielkie prostokąty? A ludzie oprawiali je w złoczone ramy i wieszali rzędami w swych kanciastych pokojach? Nie mamy już malarzy. Ludzie znudzili się czymś takim.

– A pani myślała, że o co mi chodzi?

Dziewczyna uśmiechnęła się uroczo, znacząco i zapraszająco. Znacząco przyłożyła palec do gładkiego ponad wszelkie podejrzenia policzka.

– Tu też – dodała, wskazując powieki.

Graham poczuł nagły przypływ odwagi, ale natychmiast przypomniał sobie widziane gdzieś zdjęcie wujka Toby'ego i wdowy Wadman. Ogarnął go archaiczny wstyd. Nagle doskonale zdał sobie sprawę z tego, że przygląda mu się bardzo wielu zainteresowanych nim ludzi.

– Rozumiem – powiedział. Zabrzmiało to żałościwie.

Rozejrzał się dookoła. Widział, jak wpatrzeni w niego ludzie natychmiast odwracają wzrok. Prawdopodobnie nawet się zarumienił.

– Kim jest mężczyzna rozmawiający z damą w szacie koloru szafranu? – spytał.

Okazało się, że mężczyzna ten to jeden z wielkich amerykańskich organizatorów przedsięwzięć teatralnych, który właśnie zakończył jakąś gigantyczną produkcję w Meksyku. Graham uznał, że twarz ma jak z posągu Kaliguli. Inną uderzającą postacią był Czarny Władca Pracy. Określenie to na razie nie wzbudziło w nim żadnych skojarzeń, te pojawiły się później – „Czarny Władce Pracy”? Jego urocza towarzyska, wcale nie zawstydzona, wskazała mu pełną wdzięku drobną kobietę, nazywając ją jedną z pomocniczych żon anglikańskiego biskupa Londynu. Przy okazji wygłosiła panegiryk wysławiający odwagę duchownego, jako że dotąd obowiązywała zasada obligująca duchownych do monogamii, czyli czegoś „ani naturalnego, ani stosownego”.

– Dlaczego rozkwitające między mężczyzną i kobietą uczucie miałyby zostać stłumione i pomniejszone tylko dlatego, że mężczyzna jest kapłanem? – spytała. I dodała: – A przy okazji, jest pan anglikaninem?

Graham zamierzał spytać jakoś delikatnie czym jest pomocnicza żona, oczywisty eufemizm, ale przy jego boku pojawił się Lincoln i ta zmysłowa, nader interesująca rozmowa dobiegła kresu. Podeszli obaj do wysokiego mężczyzny w karmazynowym stroju i dwóch uroczych osób w strojach, jak mogło się zdawać, birmańskich, okazujących niezwykłą nieśmiałość. Wymieniwszy z nimi kilka uprzejmych słów powrócił do prezentacji.

Mijał czas, odebrane, osobne wrażenia zaczęły układać się w całość. Początkowo to zgromadzenie pozłacanej arystokracji z wyższych sfer obudziło w nim demokratę, poczuł do niej wrogość i miał ochotę kpić. Ale ludzka natura nie ułatwia człowiekowi opierania się wyrafinowanym

pochlebstwom, a muzyka, światła, gra kolorów, otaczające go nagie dekolty i ramiona, dotyk dłoni, ujmująco uśmiechnięte twarze, melodyjny dźwięk artystycznie modulowanych głosów, komplementy, zainteresowanie i szacunek stworzyły atmosferę niezwykle przyjemną, wręcz rozkoszną. Graham zapomniał o swych górnolotnych przekonaniach, dał się oczadzić wysokiej pozycji, którą mu przyznano. Nabrał królewskiej pewności w zachowaniu, wyprostował się, szedł pewnym krokiem, mówił głębszym, dźwięczniejszym głosem, nawet szata opadała mu z ramion w dostojniejszych fałdach. Co by o nim nie mówić, był to przecież wspaniały, interesujący świat.

Podniósł wzrok. Z delikatnego jak z porcelany mostu nad jego głową ktoś na niego patrzył. Twarz znikła niemal natychmiast, ale zdążył rozpoznać osobę, dziewczynę, którą widział w małym pokoju za salą teatralną zaraz po tym, jak uciekł radzie. I dziewczyna ta obserwowała teraz jego. Przez krótką chwilę nie pamiętał, gdzie ją widział, a potem przypomniał sobie to drgnienie, nienazwane uczucie, ogarniające go na jej widok. Ale królująca tu wdzięczna muzyka taneczna nie pozwalała na wspomnienie głośniego bojowego marsza.

Dama, z którą rozmawiał, powtórzyła pytania. Graham przywołał się do rzeczywistości nierealnego flirtu, w który wdał się niemal bez udziału woli. Nieprawdopodobne, lecz w tej właśnie chwili poczuł niepokój, narastający i zmieniający się w niezadowolenie. Buntował się, jakby czuł, że ma do spełnienia nieuświadomiony obowiązek. Doznał wrażenia, że wśród tych świetności umyka mu coś istotnego, być może najważniejszego. Zainteresowanie tłoczącymi się wokół niego damami mijало powoli. Przestał odpowiadać, niewątpliwie niezręcznie, na delikatne awanse które, w co przestał wątpić, one wszystkie mu czyniły. Oczami szukał tej młodej dziewczyny, którą napotkał w godzinie bntu.

Gdzie dokładnie ją zobaczył?

Graham stał na jednej z wyższych galerii pogrążony w rozmowie z kobietą o błyszczących oczach. Tematem rozmowy był Eadhamit i to on go wybrał, nie ona. Musiał przerwać jej zapewnienia, że jest mu oddana rzeczowymi, prostymi pytaniami. Okazało się że, jak wszystkie poznane kobiety, ma więcej wdzięku niż wiedzy. Nagle, płynąc pod prąd lekkiej muzyki, dotarły do niego dźwięki pieśni buntu, tej pięknej pieśni, którą słyszał w teatralnej sali, surowej i uroczystej.

Ach! Teraz sobie przypomniał.

Spojrzał w górę, zaskoczony. Dokładnie nad jego głową widniało *oeil de boeuf*, wole oko, przez które napływały dźwięki pieśni. Wyżej były górne końce kabli, niebieska mgiełka i kurtyna blasku z oświetlających trakty lamp. Pieśń wbiła się w hałas ludzkich głosów i umilkła. Wyraźnie słyszał i czuł drżenie i szmer traktów oraz głosy wielu ludzi. Miał dziwne wrażenie, którego nie potrafił wytłumaczyć, rodzaj instynktownej wiedzy, że na zewnątrz, na traktach, zgromadził się tłum i obserwuje to miejsce, w którym bawi się ich Pan i Władca.

Dama o błyszczących oczach dzielnie walczyła z sekretem Eadhamitu, gdy on znów dojrzał znajomą, spotkaną w teatrze dziewczynę. Szła teraz galerią w jego kierunku, widział ją gdy ona jeszcze go nie zauważyła. Ubrana była w szatę o barwie połyskliwej szarości, ciemne włosy otaczały głowę niczym chmura, a kiedy tak na nią patrzył zimne światło z okrągłego otworu wychodzącego na trakty padło na jej opuszczoną głowę.

Dama, której Eadhamit sprawiał tak wielkie kłopoty zauważyła, jak zmienia mu się twarz. Natychmiast skorzystała z tej szansy ucieczki.

– Panie, czy chcesz poznać tę dziewczynę? – spytała wprost. – To Helen Watton. Siostrzenica Ostroga. Wie o bardzo wielu bardzo ważnych sprawach i jest chyba najpoważniejszą osobą na świecie. Jestem pewna, że pan ją polubi.

Dziewczyna stała już obok Grahama, a dama o błyszczących oczach odpłynęła z wdziękiem.

– Dobrze panią pamiętam – powiedział Graham. – Z tego małego pokoju. To było wtedy, kiedy ludzie tak głośno śpiewali. I tupali do rytmu. Nim przeszedłem przez salę.

Dziewczyna przezwyciężyła chwilowe zawstydzenie. Spojrzała mu w oczy, twarz miała spokojną, nieruchomą.

– To było cudowne – powiedziała. Zawahała się, a potem dodała, jakby z wysiłkiem: – Ci ludzie gotowi byli dla ciebie umrzeć, panie – uniżenie przeciągnęła „a”. – Tej nocy oni wszyscy gotowi byli dla ciebie umrzeć.

Na policzki dziewczyny wystąpiły rumieńce. Rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś może ich podsłuchać.

Nieco dalej na galerii pojawił się Lincoln. Parł przez tłum w ich kierunku. Dziewczyna dostrzegła go i jej zachowanie się zmieniło, zaczęła się śpieszyć, zwróciła się do niego odrzucając formy.

– Panie – powiedziała szybko. – Nie mogę ci tego powiedzieć, nie tu, nie teraz. Ale... zwykli ludzie są bardzo nieszczęśliwi. Są uciskani. Są... źle rządzeni. Niech pan nie zapomni o ludziach gotowych oddać życie, by pan mógł żyć.

– Ale ja nic nie wiem... – zaprotestował Graham.

– Teraz nie mogę rozmawiać.

Lincoln był już blisko. Skłonił się dziewczynie, prosząc tym ukłonem o wybaczenie.

– Podoba się panu nasz świat? – spytał z przypochebnym uśmiechem. Szerokim gestem objął i to olśniewające miejsce, i zgromadzonych w nim olśniewających ludzi. – W każdym razie z pewnością różni się od starego.

– Owszem, różni. Ale jednak nie aż tak bardzo, jak można by przypuszczać.

– Proszę poczekać, aż znajdzie się pan w powietrzu. Wiatr osłabł, aeroplan oczekuje pana już w tej chwili.

Dziewczyna czekała z boku, milcząca, jakby zależało jej, by ją oddalił. Graham spojrzał jej w oczy, chciał o coś zapytać, wyczytał z nich ostrzeżenie, skłonił się więc tylko i odszedł wraz z Lincolnem.

ROZDZIAŁ XVI

MONOPLAN

Londyńskie płyty lotów zgromadzono w nieregularnym łuku po południowej stronie rzeki. Zebrano je w trzy grupy po dwie. Pozwolono im zachować autentyczne nazwy podmiejskich wzgórz i wiosek: Roehampton i Wimbledon Park, Streatham i Nordwood, Blackheath i Shooter's Hill. Były to identyczne konstrukcje, sięgające wysoko ponad dachy najwyższych gmachów, każda miała cztery tysiące jardów długości i tysiąc szerokości. Zrobiono je ze związku żelaza z aluminium, który zastąpił stosowane w budownictwie żelazo. Wyższe kondygnacje tworzyła sieć belek konstrukcyjnych i wsporników, wśród których biegły schody i jeździły windy. Wierzchołek miał formę równej powierzchni, której część dla startujących machin można było podnieść. Toczyły się one wówczas po skierowanych nieco w górę prowadnicach aż do końca tej struktury.

Graham udał się na płytę lotów publicznymi traktami. Towarzyszył mu Asano, jego japoński opiekun. Lincolna odwołał Ostrog, zajęty kwestiami natury administracyjnej. Duży oddział straży wiatraków czekał na swego Władcę przed biurami. Oczyszczył mu drogę na górny ruchomy trakt. Jego przejście na płytę lotów było niezapowiedziane, niemniej jednak zgromadził się tu tłum i ruszył jego śladem. Idąc Graham słyszał, jak ludzie wykrzykują jego imię. Mężczyźni, kobiety i dzieci w niebieskich strojach zajęli schody w części centralnej, wiwatowali i gestykulowali. Nie słyszał, co krzyczą. Znów zaskoczył go fakt, że ubodzy mieszkańcy miasta używali wulgarnej gwary. Gdy wreszcie zszedł na sam dół, jego straż natychmiast otoczyli ludzie. Dopiero później uświadomił sobie, że przynajmniej niektórzy z nich usiłowali wręczyć mu petycję. Straże z trudem torowały mu drogę.

Monoplan oraz przydzielony do niego aeronauta czekali na niego na zachodniej platformie. Z bliska maszyna nie wydawała się już mała. Spoczywający na wózku, na ogromnej platformie, jego aluminiowy szkielet

miał wielkość co najmniej dwudziestotonowego jachtu. Poprzeczne żagle wspierające, mocowane klinami i usztywnione metalowymi nerwami, bardzo przypominały pszczele skrzydła. Konstrukcja, wypełniona jakimś nieznanym mu przezroczystym tworzywem, rzucała cień na wiele jardów kwadratowych powierzchni płyty. Fotele dla inżyniera i jego pasażera, przesunięte zdecydowanie ku rufie, zwisały swobodnie na skomplikowanym systemie bloków, chronione metalową klatką. Miejsce pasażera wyposażono w osłonę przed wiatrem oraz poduszki powietrzne na metalowych prętach. W razie potrzeby można je było całkowicie zamknąć, lecz Graham, głodny nowości, zażyczył sobie by pozostało odsłonięte. Aeronauta siedział za osłaniającą twarz szybą. Pasażer mógł przytwierdzić się do krzesła, co w momencie lądowania było praktycznie niezbędne, mógł też poruszać się po krótkiej szynie z poręczami od siedzenia do schowka na dziobie maszyny, gdzie znajdowały się jego bagaże osobiste oraz okrycia i środki wzmacniające. Wraz siedzeniami schówek stanowił przeciwwagę dla elementów głównego silnika, umieszczonego, podobnie jak śruba napędowa, na rufie.

Na płycie nie było nikogo oprócz niego samego, Asano i ich świty. Graham oddał się pod opiekę aeronauty, który pomógł mu zająć miejsce na siedzeniu. Asano zszedł przez pręty kadłuba na płytę, zatrzymał się, pomachał ręką. Wydawało się, że przesuwają się po platformie w prawo i znika.

Silnik buczał głośno, śruba napędzająca wirowała, przez jedną krótką chwilę płyta oraz stojące za nią budynki przesuwają się przed oczami Grahama równo i powoli, po czym nagle jakby się przechyliły. Graham instynktownie, kurczowo chwycił małe metalowe uchwyty po obu stronach siedzenia. Poczuł, że się unosi, usłyszał szum wiatru na osłonie. Śruba napędowa obracała się sterowana potężnymi impulsami – raz dwa trzy, przerwa, raz dwa trzy – delikatnie modyfikowanymi przez inżyniera. Maszyna zaczęła wibrować, wibracje trwały przez cały lot. Dachy londyńskich budynków oddalały się szybko na sterburcie, równie szybko malejąc. Graham nie patrzył już na inżyniera, rozglądał się dookoła. Po prawej i po lewej nie zobaczył niczego interesującego, tak samo wyglądałby świat widziany przez okno szybkiej kolejki linowej. Rozpoznał Gmach Rady i Highgate Ridge.

Spojrzał wprost w dół, między stopami.

Grahama ogarnął paniczny strach, nagły, niespodziewany, jak przecucie katastrofy. Zacisnął dłonie na uchwytych. Przez sekundę, może dłużej, nie był w stanie unieść głowy. Kilkaset stóp niżej znajdował się jeden z wiatraków południowo– zachodniego Londynu, a dalej południowa płyta lotu z grupą ludzi nie większych od kropek. I to wszystko szybko się od niego oddalało. W pierwszym odruchu chciał wyskoczyć na ziemię, ale tylko zacisnął zęby, zmusił mięśnie do podniesienia głowy. Uczucie paniki minęło.

Przez kilka długich chwil siedział z zaciśniętymi zębami, wpatrzony w niebo. Silnik pracował rytmicznie: pyr, pyr, pyr – przerwa, pyr, pyr, pyr, przerwa. Dłonie w dalszym ciągu zaciskał mocno na prętach. Spojrzał na aeronautę, zobaczył uśmiech na jego opalanej twarzy. Odpowiedział uśmiechem, zapewne sztucznym. „Na początku trochę to wszystko dziwne!” – krzyknął, nim zdążył odzyskać godność. Jeszcze długo nie miał odwagi spojrzeć w dół. Patrzył na bladoniebieski horyzont, formujący się nad głową aeronauty. Nie potrafił wygnąć z głowy myśli o awarii. Pyr, pyr, pyr – przerwa. Co będzie, jeśli zawiedzie jakaś mała śrubka silnika wspomagającego? Co będzie, jeśli...? Z wysiłkiem odepchnął od siebie te przypuszczenia, co mu się w końcu udało, choć nie do końca, obawa pozostała.

Maszyna wznosiła się coraz wyżej w czyste, jasne niebo.

Gdy tylko minął pierwszy szok wywołany poruszaniem się w powietrzu bez fizycznego wsparcia, lot stał się dla niego czymś bardzo, ale to bardzo przyjemnym. Ostrzegano go przed chorobą powietrzną, lecz łagodne pulsowanie monoplanu żeglującego na łagodnej bryzie bardzo przypominało kołysanie się statku na długiej fali, a on był urodzonym żeglarzem. Rozrzedzone na tej wysokości powietrze sprawiało, że w głowie kręciło mu się przyjemnie. Wpadł w doskonały nastrój. Po niebie nad ich głowami płynęły białe strzępiaste chmurki. Wreszcie, po raz drugi, lecz teraz ostrożnie, opuścił wzrok. Poprzez szkielet konstrukcji, żebra i wręgi, zobaczył wiszący w powietrzu klucz białych ptaków. Przyglądał się im z wielkim zainteresowaniem. Nie czuł paniki, więc sięgnął wzrokiem głębiej. Smukłe bocianie gniazdo zarządcy wiatraków lśniło złotem w promieniach słońca. Mała z każdą chwilą.

Wraz z odwagą Grahamowi wróciła zdolność obserwacji. Najpierw jego wzrok zarejestrował niebieską linię wzgórz, potem Londyn, już

na zawietrznej – skomplikowany wzór powierzchni dachowych. Zbliżyli się do granic miasta... i zdumienie stłumiło te resztki strachu, które Graham mógł jeszcze odczuwać.

Stopniowe przejście miasta w wieś, istniejący między nimi szeroki pas graniczny przedmieść, chłonących coś z tego i coś z tego jak gąbka, tak charakterystyczny dla wielkich miast XIX wieku, odszedł w przeszłość. Pozostało po nim pole ruin, różnobarwnych, gęsto porośniętych roślinami niegdyś uprawianymi w ogrodach, zdobiącymi trawniki, sadzonymi pomiędzy rosnącymi w rzędach iglakami. Iglaki wyrastały teraz nawet z resztek budynków, przeważały jednak rafy i skaliste wysepki ruin, wraki podmiejskich willi, szkielety domostw tkwiących przy swych uliczkach i alejkach, wyrastających z pół gładkiej zieleni trawników i plam brązowej ziemi, porzucone przed laty lecz, jak się wydawało, zbyt konkretne, by zniwelować je i przystosować do rolnictwa w wielkiej skali, charakterystycznej dla tej epoki.

Podmiejska vegetacja: krzaki pnących róż, ostrokrzewu, dzikiego wina, szczeci i wysokich traw falowała, przeciskała się kanałami i pieniała uderzając dziesiątki brzegów wyseppek nagich ścian, aż wreszcie załamywała się na londyńskich murach. Tu i tam, pomiędzy tym, co ocalało z epoki wiktoriańskiej, wznosiły się prawdziwe pałace rozkoszy, połączone z miastem skośnymi kablami. Tego zimowego dnia wydawały się puste, tak jak opuszczone wydawały się nowostworzone wśród ruin parki. Granice miejskie wydawały się być wytyczone tak jasno, tak rygorystycznie jak w antycznych czasach, gdy o zmierzchu zamykano bramy przed żądnymi łupów wrogami. Z wielkiej półkolistej gardzieli strumień pojazdów wylewał się na eadhemitową Bath Road.

W ten sposób Graham poznał świat za granicami Londynu, w jednym błysku, który zaraz zgasł, a gdy nabrał odwagi, znów spojrzął pionowo w dół, dostrzegł tylko warzywne pola doliny Tamizy, niepoliczone maleńkie kwadraciki o barwie czerwonego brązu, oddzielone lśniącymi nitkami kanałów irygacyjnych.

Wpadł w nastrój tak dobry, że graniczący z zachwytem. Ze zdziwieniem stwierdził, że oddycha głęboko jak nigdy, że śmieje się głośno, że ma ochotę krzyczeć. Ochota ta okazała się za wielka, nie do opanowania, w końcu zaczął krzyczeć. Monoplan skręcił na południe. Podróżowali z małym przechyłem na zawietrzną, zmiennym kursem: najpierw ostre lecz

krótkotrwałe wznoszenie, potem długi ślizg łagodnie w dół, szybki i bardzo przyjemny. Podczas ślizgów śruba była wyłączona. Lot w niebo dawał Grahamowi radość, płynącą z wysiłku prowadzącego do sukcesu, lot ku ziemi przez rozrzedzone powietrze... to było przeżycie jak żadne inne. Gdyby mógł pozostałby tu, w górze, na zawsze.

Skupił się na obrazie ziemi, uciekającej szybko na północ. Wielką radość sprawiały mu te maleńkie, lecz doskonale widoczne szczegóły. Ruiny domów, tych domów, które kiedyś dominowały w krajobrazie, bardzo mu zaimponowały. Podobnie rozległa bezdrzewna płaszczyna, z mapy której znikły farmy i wioski, pozostawiając po sobie rozpadające się szczątki. Wiedział, w jakim kierunku poszły zmiany, ale wiedzieć i widzieć to dwie zupełnie różne sprawy. W płytkim basenie, rozciągającym się pod jego stopami, próbował wypatrzeć coś znajomego, ale teraz, gdy dolina Tamizy pozostała za nimi, nie widział niczego. Wkrótce znaleźli się jednak nad stromym kredowym wzgórzem, w którym, po znajomym zarysie wąwozu po stronie wschodniej oraz ruinach miasteczka, stojącego niegdyś na obu zboczach wzgórza, rozpoznał Hog's Back pod Guildford. Teraz łatwiej przyszło mu rozpoznawać kolejne charakterystyczne punkty terenu: Leith Hill, piaski Aldershot i tak dalej. Oprócz tych miejsc, przez które trasą dawnej kolei biegła szeroka eadhamitowa Portsmouth Road, gęsto nakrapiana ruchomymi punkcikami, wąwóz cały okryty był gęstą zielenią.

Downs, jak daleko sięgał wzrokiem przez zawieszoną w powietrzu szarą mgiełkę, zastawione były wiatrakami, o wiele starszymi braćmi tych, które widział w Londynie. Poruszały się powoli, statecznie, napędzane południowozachodnim wiatrem. Tu i tam widać było także stadka owiec, należących do British Food Trust, tu i tam pojawiały się też czarne plamki, oznaczające zmotoryzowanych pasterzy. Za rufą monopłanu ginęły po kolei Wealden Heights, Hindhead, Pitch Hill i Leith Hill, a także druga linia wiatraków bardzo się starających, by odebrać wiatr tym, które stały na zawietrznej. Fioletowe wrzosowiska znaczył żółtymi plamami kolcolist, a dalej, z boku, pasterze na pojazdach poganiali stado czarnych wołów. Pojawili się w jednej chwili, a w następnej zmienili się w ruchome kropki, by w końcu zniknąć mu z oczu. Jednocześnie Graham usłyszał bliski krzyk czajki. Przelatywali w tej chwili nad South Downs. Obejrzał się przez ramię, zobaczył wyniosłe blanki płyty lotów Portsmouth, górujące nad grzbietem Portsdown Hills. W następnej chwili rozciągnął się pod nimi

zatłoczony port, pełen statków jak pływające miasta, górujące nad oświetlonymi słońcem małymi białymi klifami Needles, i wreszcie wąskie szare, iskrzące się pasmo morza. Solent przeskoczyli w jednej, wydawałoby się, chwili, w następnej przelecieli nad wyspą Wight, a za nią było już większe, szersze, głębsze morze, w jednym miejscu fioletowe w cieniu rzucanym przez chmurę, w innym lśniąco niczym lustro, jeszcze gdzie indziej mętne, niebiesko-zielone. Wyspa Wight malała w oczach, a po kilku minutach wąski pas szarej mgły oddzielił się od wielu podobnych, od obłoków i stał się słonecznym przyjemnym dla oka wybrzeżem północnej Francji. Poszerzył się, zyskał na solidności, widać już nawet było jego szczegóły.

Znaleźli się nad francuskim odpowiednikiem białych klifów wybrzeża Anglii.

I znów minęło zaledwie kilka minut, a przynajmniej tak wydawało się Grahamowi, a na horyzoncie pojawił się Paryż. Górował nad nim przez chwilę i znikł, monoplan skręcił bowiem na północ. Niemniej Graham przekonał się, że Wieża Eiffla nadal stoi, obok niej dostrzegł też kopułę, zwieńczoną punkciem Kolosa. Widział także, choć wówczas nie rozumiał, co widzi, ukośny słup dymu. Aeronauta powiedział coś o „kłopotach w na podziemnych traktach”, ale znaczenie tej uwagi też wydawało mu się tajemnicze. Nie umknęły jego uwadze zgrabne wieże i wdzięczne kształty budynków górujących nad miejskimi wiatrakami. Nie miał wątpliwości, jak kiedyś tak i teraz, przynajmniej pod względem wdzięku i urody Paryż nadal przewyższał swego większego rywala.

W tym momencie na jego oczach lecąc od strony miasta z błyskawiczną szybkością zbliżył się do nich bladoniebieski kształt, jak liść niesiony pierwszym podmuchem burzowego wiatru. Kształt ten skręcił, zbliżał się do nich bardzo szybko, coraz większy i większy. Aeronauta mówił coś, czego Graham nie rozumiał.

– Co? – krzyknął, nie spuszczając wzroku ze zbliżającego się kształtu.

Aeronauta wyciągnął rękę.

– Londyński samolot, panie – odkrzyknął.

Wzniesli się jeszcze wyżej. Wielka maszyna rosła w oczach, większa i wspanialsza niż można to sobie było wyobrazić. Dźwięk silnika monoplanu, pyr, pyr, pyr, przerwa, jeszcze przed chwilą tak mocny, tak szybki, wydał się nagle wręcz powolny, w porównaniu z prędkością tego

giganta. Jakież potężny był ten stwór, jakże pewnie, jakże błyskawicznie się przemieszczał. Przeleciał pod nimi, całkiem blisko, zdumiewająco cichy, poprzecinane siatkami przewodów przezroczyste skrzydła nadawały mu pozór żywego stworzenia. Grahamowi udało się dostrzec rzędy pasażerów, bezpiecznych w przytulnych wiszących siedzeniach, ukrytych za zabezpieczającymi przed wiatrem osłonami, ubranego na biało inżyniera, zmagającego się z pędem powietrza w ażurowym przejściu, ogromną połącz skrzydeł. Usłyszał prychanie silników, napędzających śrubę. Zachwycający był to obraz, doprawdy zachwycający! Trwał jednak zaledwie kilka sekund. Zdążył jeszcze unieść się lekko, a ich skrzydłami szarpnął wir przelotu tego giganta. Mały monoplan wydawał się stać w miejscu, ten wielki zaś małał, małał, małał, aż znów stał się niebieską plamką na bezmiarze niebios. Ten aeroplan latał tam i z powrotem między Londynem i Paryżem. W dobrą, bezwietrzną pogodę dokonywał takich przelotów cztery razy dziennie.

Przelecieli nad kanałem, jak się teraz Grahamowi wydawało, bardzo wolno. Po lewej pojawiła się Beachy Head.

– Lądujemy – krzyknął aeronauta, zaledwie przekrzykując szum wiatru bijącego w osłony.

– Jeszcze nie! – odkrzyknął Graham, śmiejąc się. – Nie lądujemy, nie teraz!

– Chodzi mi...

– Chcę dowiedzieć się więcej o tej maszynie – przerwał mu Graham. – Idę do pana!

Uwolnił się z siedzenia. Zrobił krok zabezpieczonym przejściem. Zatrzymał się na chwilę, zbladł, mocniej zacisnął dłonie na poręczach. Jeszcze jeden krok i był już blisko aeronauty. Czuł ciężar na ramionach – ciśnienie pędu powietrza. Gdy tylko wychylił się zza osłony, w jednej chwili stracił kapelusz. Wicher szarpał zwiewanymi z policzków włosami. Aeronauta dokonał kilku szybkich poprawek środka ciężkości i ciśnienia.

– Chcę usłyszeć wyjaśnienia – powiedział Graham. – Co pan robi, gdy przesuwa pan ten silnik do przodu?

Aeronauta wahał się chwilę nim udzielił odpowiedzi.

– To bardzo skomplikowane, panie.

– Mnie to nie przeszkadza – krzyknął Graham. – Mnie to wcale nie przeszkadza.

Nastąpiła kolejna chwila wahania.

– Ale aeronautyka jest sekretem. Jest przywilejem...

– Wiem. Tylko, że ja jestem Władcą. Mnie wolno wiedzieć. -Graham roześmiał się. Ucieszyła go świadomość posiadania władzy, daru z niebios wyższych niż te, przez które leciał. Tymczasem monoplan skręcił, jego dziób wskazywał zachód. Podmuch przenikliwego wiatru oblepił ubraniem jego ciało, schłodził rozpaloną twarz. Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy.

– Panie, obowiązują mnie pewne zasady...

– Nie obowiązują, jeśli chodzi o mnie. Wydajesz się pan o tym zapominać.

Aeronauta nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

– Nie. Nie zapominam. Ale na całym świecie... człowiek, który nie jest przysięgłym aeronautą... człowiek nie ma szans. Ludzie są pasażerami...

– Słyszałem już coś takiego. Nie mam zamiaru się spierać. Wiesz, pan, po co spałem dwieście lat? Po to, by móc latać!

– Panie – protestował aeronauta – panie, są zasady... jeśli je złamię... – Graham przerwał mu gestem. Nie miał zamiaru wysłuchiwać, co grozi za złamanie zasad. – Jeśli zechcesz mnie obserwować...

– Nie – przerwał mu Graham. Zachwiał się, bowiem maszyna uniosła nos. Zwiększali wysokość. – Nie będziemy się w to bawić. Chcę to zrobić, sam, tymi rękami. Nawet gdybym miał doprowadzić do katastrofy. Tak będzie, nie inaczej! Zobaczymy, czy zdołam się wspiąć... zamierzam usiąść na pańskim siedzeniu. Proszę lecieć równo! Polecę sam, nawet jeśli ten lot miałbym zakończyć katastrofą. Niech coś wynagrodzi mi ten długi sen. Samo to wystarczy. Przecież w przeszłości marzyłem, by latać. Proszę utrzymać równowagę.

– Szpiedzy mnie obserwują! Jest ich wielu!

Graham tracił cierpliwość. Być może po prostu nie chciał się opanowywać. Przesunął się obok stojącego mu na drodze mnóstwa dźwigni. Monoplan zachwiał się w locie.

– Kto jest Władcą tego świata? – spytał. – Ja czy pańskie Stowarzyszenie? A teraz proszę zdjąć dłonie z tych dźwigni i chwycić mnie za nadgarstki. Tak, właśnie tak. A teraz... jak opuścić nos tej maszyny, by zaczęła szybować?

– Panie...

– O co chodzi?

– Ochronisz mnie?

– O Boże, tak! Oczywiście! Choćbym miał spalić Londyn! Więc...?

I tą obietnicą Graham zapłacił za pierwszą lekcję żeglowania statkiem powietrznym.

– W pańskim interesie leży – powiedział śmiejąc się, bo powietrze tu było jak mocne wino – nauczyć mnie szybko i dobrze. Mam to pociągnąć? Ach! Więc to tak... och!

– Cofnij dźwignię, Paaanie. Cofnij dźwignię!

– Cofnąć dźwignię... w ten sposób? Raz, dwa, trzy... dobry Boże! Och! Wznosimy się! To dopiero życie!

Maszyna tańczyła po niebie, wykonywała najdziwniejsze figury. To poruszała się spiralą zaledwie stujardową, to wznosiła się stromo, to opadała ostro i szybko niczym drapieźny ptak, by zakończyć spadek pętlą, wynosząc ją znów do góry. W jednym z tych nagłych spadków wydawała się już, już uderzyć w skupisko balonów na południowym wschodzie, skręciła i ominęła je tylko dlatego, że nieoczekiwanie odzyskała zręczność. Niezwykła jej szybkość i płynność ruchu wraz z efektem, jaki rozrzedzone powietrze wywierało na jego organizm, wprawiło Grahama w szaloną beztroskę. Lecz w końcu otrzeźwił go pewien wypadek, po którym monoplan zaczął spadać wprost w skupisko i ruch nierozpoznawalnych czarnych plam. Jednocześnie usłyszał stuk, coś przeleciało obok, poczuł wilgoć niczym rozprysnięcie kropli deszczu. Obejrzał się. Za maszyną, w jej kilwaterze, wirowała jakby biała szmata.

– Co to było? – spytał. – Bo nie widziałem?

Aeronauta też spojrział za siebie, a następnie chwycił za dźwignię, by odzyskać płynność lotu, a kiedy monoplan wzleciał do góry, odetchnął głęboko.

– To był łabędź – wyjaśnił.

– Nie widziałem go – usprawiedliwił się Graham.

Aeronauta milczał. Na jego twarzy widać było drobne krople potu.

Polecieli poziomo. Graham powrócił na miejsce pasażera, osłonięte od porywistego wiatru. Potem monoplan zaczął opadać, szybko, choć śruba wiatrowa pracowała ciężko, by opóźnić upadek, a pod nimi rosła czarna płaszczyzna płyty. Słońce, zachodzące za kredowe wzgórza, opadało wraz z nimi. Porzucili niebo oblani złotem.

Wkrótce w czarnych kropkach mogli już rozpoznać ludzi. A jednocześnie naprzeciw nich wybiegł dźwięk jak szum wali załamującej się na kamienistej plaży. Dachy wokół platformy lądowniczej dosłownie oblepione były ludźmi, radującymi się z jego bezpiecznego powrotu. Czarna, ściśnięta masa widoczna też była pod platformą, plama cienia najeżona jaśniejszymi, niepoliczalnymi plamkami twarzy, drżąca ledwie widocznie, bo powiewająca białymi chusteczkami lub po prostu machająca rękami.

ROZDZIAŁ XVII

TRZY DNI

Lincoln czekał na Grahama w apartamencie pod płytą lotu. Wydawał się bardzo ciekawy tego, co zaszło. Nie krył zadowolenia dowiedziawszy się, jak wielką radość sprawił Grahamowi pierwszy lot i jak bardzo go zainteresował. Sam Graham był w nastroju wyjątkowo entuzjastycznym.

– Muszę nauczyć się latać! – mówił podniesionym głosem. – Muszę opanować latającą maszynę. Żałuję tych wszystkich biedaków, którzy umarli nie mając tej możliwości. Och, to słodkie pędzące powietrze! Nie ma na świecie cudowniejszego doświadczenia.

– Szybko dowie się pan, że na tym świecie czeka pana wiele cudownych doświadczeń. Nie wiem, co zechciałby pan robić teraz. Mamy muzykę, którą z pewnością uzna pan za nowatorską.

– Na razie zależy mi tylko na lataniu. Chcę się go nauczyć. Wasz aeronauta twierdził, że jego związek zawodowy sprzeciwia się upowszechnianiu umiejętności latania.

– Zdaje się, że tak jest rzeczywiście – przyznał Lincoln. – Ale nie dla pana! Jeśli zechce pan tym się zająć, jutro zostanie pan przysięgłym aeronautą.

Graham natychmiast dobitnie wyraził swe zainteresowanie. Przez długą chwilę dzielił się z Lincolnem swymi doświadczeniami. Nagle zmienił temat.

– A jeśli chodzi o najważniejsze sprawy, co się dzieje? – spytał.

Lincoln zbył najważniejsze sprawy machnięciem ręki.

– Jutro Ostrog wszystko panu opowie. Sytuacja się uspokaja. Rewolucja osiągnęła swe cele na całym świecie. Tu i ówdzie dochodzi oczywiście do starć, to nieuniknione, ale pańskie rządy nie są w żaden sposób zagrożone. Proszę odpoczywać spokojnie, Ostrog ma wszystko w ręku.

– Czy to możliwe bym został – jak to pan powiedział – przysięgłym aeronautą nim pójdę spać? – Graham chodził niecierpliwie po pokoju. –

Mógłbym zacząć latać jutro z samego rana...

– To możliwe – przyznał Lincoln po chwili namysłu. – Bardzo możliwe. Tak, oczywiście załatwimy to. – Roześmiał się. – Przyszedłem gotów zaproponować rozrywki, ale o nie już się pan zatroszczył. Zadzwoń do biur aeronautycznych stąd, a potem wrócimy do pańskich apartamentów w biurach zarządu wiatraków Turbin Wiatrowych. Po kolacji na miejscu będą już aeronauci. Być może po kolacji zechce pan... – przerwał.

– Tak? – zdziwił się Graham.

– Przygotowaliśmy dla pana przedstawienie taneczne. Tancerki sprowadziliśmy z teatru na Capri.

– Nienawidzę baletu – stwierdził Graham krótko. – Zawsze go nienawidziłem. A nawet jeśli to nie balet... nie, to nie jest coś, co chętnie bym oglądał. Mieliśmy tancerki w naszych dawnych czasach. Tancerki były już w antycznym Egipcie. Za to latanie...

– To prawda – przytaknął Lincoln. – Chociaż nasze tancerki...

– Mogą poczekać. Z pewnością mogą poczekać. Wiem, że mogą. Nie jestem Rzymianinem. Mam pytania do ludzi, którzy się na tym znają. Pytania o wasze maszyny. Jestem ciekawy. Ciekawy odpowiedzi. Nie chcę, żeby coś odwracało od nich moją uwagę.

– Może pan wybierać z wszystkiego, co istnieje na tym świecie. Czegokolwiek pan zapragnie, jest pańskie.

Pojawił się Asano. Pod silną eskortą straży Graham powrócił do swego mieszkania. O wiele większe tłumy zgromadziły się, by zobaczyć jego powrót niż ściągnęła jego wyprawa na płyty lotu. Czyniły hałas tak donośny, że momentami Graham nie słyszał odpowiedzi Lincolna na zadawane mu pytania związane ze sztuką latania. Początkowo odpowiadał na hołdy i owacje kłaniając się, machając do ludzi, jednak Lincoln zwrócił mu natychmiast uwagę, że widoczne reakcje na zachowanie tłumu uważane są za niewłaściwe. Graham, i tak już zmęczony wymuszoną grzecznością, natychmiast przestał zauważać swych poddanych.

Gdy dotarli na miejsce Asano udał się na poszukiwanie kinematograficznych obrazów maszynierii w działaniu, a Lincoln wysłał podwładnych Grahama po modele i małe maszyny ilustrujące rozwój mechaniki w ciągu ostatnich dwustu lat. Kilka niewielkich urządzeń do komunikacji telegraficznej tak zafascynowało Władcę, że starannie

przygotowany wytworny posiłek, serwowany przez piękne, zręczne dziewczęta, musiał czekać dość długo. Zwyczaj palenia tytoniu niemal znikł z powierzchni ziemi, lecz gdy wyraził życzenie podjęto stosowne starania i znakomite cygara znalezione na Florydzie dostarczono mu przesyłką pneumatyczną jeszcze przed końcem kolacji. Następnie pojawili się aeronauci, a po nich inżynierowie, wtajemniczający go w swe cuda. Przez dłuższy czas idealna sprawność maszyn liczących, budujących, silników rotacyjnych, silników spalania detonacyjnego, elewatorów zbożowych i wodnych, maszyn rzeźniczych i urządzeń stosowanych w rolnictwie bardziej interesowała Grahama niż mogłaby go zainteresować najpiękniejsza bajadera.

– Byliśmy dzikusami – powtarzał raz za razem. – Byliśmy dzikusami. Żyjącymi w epoce kamienia, w porównaniu z tym, co tu widzę.

Wśród jego gości znaleźli się także psychologowie – praktycy, którzy wtajemniczyli go w interesujące osiągnięcia sztuki hipnozy. Ze zdziwieniem dowiedział się, że Milne Bramwell, Fechner, Liebault, William James, Myers i Gurney cenieni byli dziś tak wysoko, że zdumiałoby to ich współczesnych. Praktyczne zastosowania psychologii w wielu przypadkach wyparły środki medyczne: leki, antyseptyki, anestetyki. Psychologów stosowali niemal wszyscy, od których wymagano koncentracji umysłowej. Efektem postępów w tej dziedzinie było realne powiększenie ludzkich możliwości. Osiągnięcia geniuszy liczących w pamięci, które przywykł uważać za wyjątki i cuda dokonywane przez zahipnotyzowanych dostępne były wszystkim, byle stać ich było na wynajęcie zręcznego hipnotyzera. Już dawno znikły stare metody edukacji, zastąpione nowymi, znacznie wydajniejszymi. Kilkanaście tygodni transów zastępowało lata nauki. W ich trakcie eksperci – instruktorzy musieli tylko powtarzać po kolei wszystkie kroki, którymi dochodzi się do właściwego rozwiązania problemu oraz dodać sugestię umożliwiającą posthipnotyczną znajomość tychże kroków. Miało to szczególne znaczenie w procesach matematycznych i dlatego szczególnie chętnie korzystali z niej gracze w szachy oraz gry wymagające niezwykłych zdolności manualnych, których niewiele zostało. W rzeczywistości wykonywanie wszystkich czynności opierających się na skończonej liczbie zasad, czyli mechanicznych lub do nich zbliżonych, uwolniono od szkodliwych emocji, od niedoskonałości wynikających z gry wyobraźni,

doprowadzając je do nieporównywalnej z niczym precyzji. Dzieci przedstawicielei klas pracujących, gdy tylko dochodziły do wieku umożliwiającego zastosowanie hipnozy, przekształcano w ten sposób i idealnie precyzyjne, godne zaufania maszynowe umysły, uwalniając je jednocześnie od dzieciństwa i młodości. Uczniów aeronautów, cierpiących na zawroty głowy, leczono w ten sposób z wyobrażonych strachów. Przy każdej ulicy można było znaleźć hipnotyzera, gotowego wdrukować w umysł stały zestaw wspomnień. Ktokolwiek pragnął zapamiętać czyjeś imię, serię cyfr, piosenkę lub przemówienie, korzystał z tej metody. I przeciwnie, wspomnienia można było zacierać, usuwać przyzwyczajenia, pozbywać się pragnień. Tego rodzaju psychiczna chirurgia była, podobno, w szerokim użyciu. Zapominano o upokorzeniach, o zawstydzających doświadczeniach, wdowy uwalniały się w ten sposób od wspomnień zmarłych mężów, a gniewni kochankowie wyzwali z niewoli uczuć. Wszczepianie pożądań ciągle jednak było niemożliwe, a rezultaty badań nad przepływem myśli pozostawały nieusystematyzowane. Psycholodzy zilustrowali swe objaśnienia zdumiewającymi eksperymentami mnemotechnicznymi, wykorzystując do nich grupę bladych dzieci w niebieskich ubraniach.

Graham, jak większość ludzi z jego czasów, nie ufał hipnotyzerom. Gdyby nie to, mógłby teraz, w tej chwili, uwolnić swój umysł od wielu bolesnych frasunków. Jednakże mimo zapewnień Lincolna Graham wyznawał dawne przekonanie, że dać się zahipnotyzować to pozbyć się osobowości, zrezygnować z wolnej woli. A na bankiecie cudownych doświadczeń, który właśnie się dla niego zaczynał, bardzo chciał być sobą, w całej pełni sobą.

Minął dzień i następny, i następny, każdy wypełniony gromadzeniem wiedzy. Każdego dnia Graham spędzał wiele godzin rozkoszując się lataniem. Trzeciego dnia przeleciał nad środkową Francją, zobaczył nawet pokryte śniegiem Alpy. Tym codziennym ćwiczeniom zawdzięczał spokojny, głęboki sen. Wkrótce wyleczył się całkowicie z przygnębienia i anemii, których doświadczył po pierwszym przebudzeniu. A kiedy nie latał i nie spał, z zapalem oddawał się rozrywkom. Dostarczano mu wszystkiego, co uznawał za interesujące, niespotykane, zachwycające, by mógł zaspokoić głód nieznanego. Całe tomy wypełnić by można jego nowymi doświadczeniami.

Każdego popołudnia przez około godzinę Graham poświęcał się funkcjom dworskim. Dzięki nim jego zainteresowanie współczesnymi nabrało charakteru osobistego, stało się niemal zażyłe. Początkowo interesowała go przede wszystkim ich obcość, ich szczególność, a fircykowatość strojów i zachowania niezgodne z tym, co uznawał a priori za odpowiednie dla wyższych sfer, drażniły go niepomiernie. Zdumiało go jednak to, jak szybko minęło to rozdrażnienie, początkowo rodzące wręcz wrogość i jak szybko pogodził się z wymaganiami pozycji, którą zajmował w tym świecie. Czasy Wiktorjańskie odeszły w przeszłość, niemal w niej znikły. Szczególnie dobrze czuł się w towarzystwie rudowłosej córki Zarządcy Chlewni Europejskich. Drugiego dnia po obiedzie poznał bliżej jedną ze współczesnych tancerek, która okazała się wyjątkową artystką. Po czym powrócił do hipnotycznych cudów.

Trzeciego dnia Lincoln ośmielił się zasugerować, że jego Władca powinien poszukać odpoczynku w którymś z Miast Rozkoszy. Ale Graham odmówił, tak jak odmawiał korzystania z usług hipnotyzerów podczas eksperymentów aeronautycznych. Londyn to było jego miejsce na świecie. Wielką przyjemność sprawiało mu identyfikowanie miejsc przywołujących wspomnienia z dawnych czasów.

– Tutaj, sto stóp niżej – mówił na przykład – jadałem na lunch kotlety mielone, kiedy jeszcze studiowałem na Uniwersytecie Londyńskim. A tu, jeszcze niżej, była stacja Waterloo, chaotyczna mieszanina, w której nie sposób było znaleźć właściwy pociąg. Często stałem tam, z torbą w rękę i wpatrywałem się w niebo, niemal całkiem przykryte mnóstwem znaków i sygnalizacji. Nie śniło mi się, że pewnego dnia będę spacerował sto stóp wyżej, jakbym unosił się w powietrzu. A teraz przez czyste niebo, które kiedyś było nieprzejrzystą kopułą dymów, lecę kręcąc koła moim monoplanem.

Przez te trzy dni Graham tak intensywnie zajmował się rozrywkami, że nie starczało mu czasu na śledzenie wielkich politycznych ruchów, tego co działo się poza granicami rezydencji. Jego dwór nie poruszał tych tematów. Codziennie odwiedzał go Ostrog, jego Szef, jego Wielki Wezyr, majordomus, by w terminach jak najbardziej ogólnych upewnić swego Władcę o tym, że jego rządy utrwalają się na całym świecie. „Drobne problemy” w tym mieście nie potrwają długo, mówił, podobno jak „pewne niepokoje” w innym. Pieśń społecznej rewolty już do niego nie docierała.

Nigdy nie dowiedział się, że zakazano jej w granicach miasta. Emocje, których doświadczał na bocianim gnieździe cofnęły się w cień jego pamięci i tam zapadły w głęboki sen.

Drugiego i trzeciego dnia, mimo zainteresowania córką Zarządcy Chlewni, a zapewne z powodu refleksji, do jakiej skłaniały jej słowa, przypomniał sobie o dziewczynie, Helen Wotton, którą spotkał na przyjęciu zarządcy Wiatraków. Wywarła na nim wielkie wrażenie, chociaż nieustanny napływ nowych cudownych wrażeń kazał mu odsunąć to wrażenie na bok, przynajmniej na jakiś czas. Lecz teraz pamięć o niej powracała powoli. Graham zastanawiał się, co właściwie znaczyły jej słowa, kilka urywanych, na pół zapomnianych zdań. W miarę, jak słabło zainteresowanie mechaniką, Graham coraz żywiej przypominał sobie jej piękne oczy i pełną wyrazu twarz. Jej krucha uroda stała się pomiędzy nim a pewnymi silnymi, lecz prostackimi namiętnościami, których doświadczał. Ale spotkał się z nią powtórnie dopiero po trzech pełnych dniach.

ROZDZIAŁ XVIII

GRAHAM PAMIĘTA

Nadeszła wreszcie chwila, gdy dziewczyna zatrzymała Grahama w pasażu łączącym biura wiatraków z jego oficjalnymi apartamentami mieszkalnymi. Pasaż był długi i wąski, co kilka kroków znajdowały się w nim wnęki z łukowatymi otworami okiennymi, skierowanymi na wewnętrzny dziedziniec, gdzie rosły palmy. Natknął się na dziewczynę siedzącą w jednej z tych wnęk. Słyszając jego kroki odwróciła głowę, a widząc, z kim ma do czynienia, drgnęła gwałtownie. Jej twarz zrobiła się nagle bardzo blada. Wstała, postąpiła krok w jego kierunku, jakby miała go pozdrowić, lecz zawahała się w ostatniej chwili. Graham zatrzymał się. Czekał. Nie od razu zrozumiał, że nerwy odebrały jej mowę i że jeśli czekała tu na niego, to z pewnością miała mu coś ważnego do powiedzenia. Uznał, że jego królewska pozycja wymaga, by to on ułatwił jej zadanie.

– Bardzo pragnąłem się z panią spotkać – powiedział. – Przed kilkoma dniami chciała pani coś mi powiedzieć. Chciała pani powiedzieć mi coś o moim ludzie.

Dziewczyna patrzyła na niego, zakłopotana.

– Mówiła pani, że lud jest nieszczęśliwy?

Odpowiedź usłyszał po chwili milczenia.

– Moje zachowanie musiało wydać się panu dziwne.

– Istotnie, wydawało mi się dziwne. Jednakże...

– Nie planowałam tego...

– Tak?

– To wszystko.

Dziewczyna patrzyła na niego, wyraźnie niepewna siebie. Odetchnęła głęboko.

– Pan zapomniał – powiedziała z wysiłkiem.

– O czym?

– O ludziach.

– Ma pani na myśli...

– Pan zapomniał o swym ludzie.

Graham spojrział na nią pytająco.

– Tak, rozumiem, że jest pan zaskoczony. Bo nie wie pan, kim naprawdę jest. Nie wie pan, co się dzieje.

– Tak?

– Pan nie rozumie.

– Zapewne rzeczywiście nie wszystko rozumiem. Proszę o wyjaśnienia.

Onieśmienie dziewczyny ustąpiło w jednej chwili. Podjęła decyzję.

– Tak trudno to wytłumaczyć. Zamierzałam, bardzo chciałam... a teraz nie mogę. Nie przygotowałam sobie odpowiednich słów. A pan... pana otacza aura cudowności. To, że pan spał, a teraz się przebudził... przecież to właśnie cud. Przynajmniej dla mnie, a także dla wszystkich prostych ludzi. Pan żył, cierpiał i umarł, był pan zwykłym człowiekiem, a potem obudził się pan i znów żył, jako Władca niemal wszystkiego na ziemi.

– Władca Ziemi – powtórzył Graham. – Tak mnie nazywają. A teraz proszę, niech pani spróbuje sobie wyobrazić, jak mało wiem.

– Miasta... fundacje... Kompania Pracy...

– Księstwa, dominia, władza. Sława i chwała. Tak, słyszałem te okrzyki. Tak, wiem, jestem Władcą, czy może królem, jak wolisz. Z Ostrogiem, Szefem...

Graham przerwał. Dziewczyna patrzyła mu w oczy, dziwnie przenikliwie i rzeczowo. Musiał się uśmiechnąć.

– Biorącym za wszystko odpowiedzialność.

– To nas właśnie martwiło. Nie... – powiedziała stanowczo – ...pan weźmie odpowiedzialność na siebie. Odpowiedzialność weźmie pan na siebie. Lud pokłada w panu zaufanie – mówiła dalej, cicho i spokojnie. – Przynajmniej przez połowę tego czasu, który spędził pan we śnie, przez pokolenia, z każdym pokoleniem coraz więcej i więcej ludzi modliło się o pańskie przebudzenie. Modliło, pan to rozumie?

Graham chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł właściwych słów. Dziewczyna wahała się. Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

– Wie pan, kim pan był dla tych myriadów? Królem Arturem... Barbarossą... władcą, który przyjdzie w wybranym przez siebie czasie, by naprawić ich świat.

– Przypuszczam, że wyobraźnia ludu...

– Nie słyszał pan naszego powiedzenia „kiedy Śpiący się zbudzi”? Gdy leżał pan bez zmysłów, bez czucia, przybywały do ciebie miliony. Pierwszego dnia każdego miesiąca, kiedy leżał pan w tym stanie, przykryty białą szatą, ludzie ustawiali się w kolejce, by pana zobaczyć. Jako mała dziewczynka takim pana widziałam. Pamiętam bladą, spokojną twarz. – Dziewczyna odwróciła wzrok. Wpatrywała się w ścianę. – Kiedy byłam małą dziewczynką – powiedziała ciszej – pana twarz, nieruchoma, wyczekująca, wydawała mi się twarzą cierpliwego Boga. Tak o panu myśleliśmy. Takim nam się pan wydawał.

Znów spojrzała Grahamowi w oczy, a jej głos nabrał siły i zdecydowania.

– W mieście, na całej ziemi, myriady myriadów kobiet i mężczyzn czekają, co pan zrobi. Czekają na coś wielkiego. Coś nieprawdopodobnego.

– I?

– Ani Ostrog, ani nikt oprócz pana, nie może przyjąć odpowiedzialności za to, co będzie.

Graham nie ukrywał zaskoczenia jego słowami. Widział, jak gorące uczucia rozpłomieniają twarz dziewczyny. Zaczęła przemowę z wysiłkiem, lecz z czasem jej słowa płynęły jak lawa.

– Czy sądzi pan, że człowiek, który żył tak daleko w przeszłości, który zapadł w cud tak długiego snu i cudem się z niego przebudził... czy uważa pan za właściwe, by podziw i szacunek połowy świata oraz nadzieja, którą pan obudził, posłużyły tylko temu, by przeżył pan powtórnie zwykłe, nic nie znaczące życie? Skorzysta pan z okazji, by zrzucić odpowiedzialność na barki kogoś innego?

– Wiem, jak wielka jest moja władza – odparł Graham, starannie dobierając słowa. – Wiem, jak wielką się wydaje. Lecz czy jest to rzeczywista władza? Mnie wydaje się niemożliwa, jest jak coś wprost ze snu. A więc czy jest rzeczywista, czy też do wielkie złudzenie?

– Jest rzeczywista – zapewniła go dziewczyna. – Będzie rzeczywista, jeśli ośmieli się pan ją sprawować.

– Przecież, w gruncie rzeczy, moja władza, jak każda władza, opiera się na wierze. Jest iluzją stworzoną w ludzkich umysłach.

– Nie! Jeśli ośmieli się pan ją sprawować!

– Ale...

– Cała ludzkość! Jeśli władza przetrwa w jej umysłach, to się jej poddadzą!

– Przecież ja nic nie wiem. Właśnie o tym mówię. Że nic nie wiem. A inni, Rada, sam Ostrog... oni są ode mnie mądrzejsi, myślą jasno, wiedzą bardzo wiele, znają wszystkie szczegóły. A jeśli już przy tym jesteśmy, o jakich to nieszczęściach pani mówiła? Co powinienem wiedzieć? Czy... – zamilkł, bezradny.

– Jestem jeszcze bardzo młoda – odpowiedziała dziewczyna – ale według mnie nasz świat przepęlnia nikczemność. Jest inny niż za pańskich dni, bardzo dziwnie odmieniony. Modliłam się, by móc spotkać pana i mu o tym powiedzieć. Świat się zmienił. Jakby toczył go rak, jakby rak odebrał życie z wszystkiego... z wszystkiego, co ma w życiu wartość. – Poruszyła się, ukazując zarumienioną twarz, był to bardzo gwałtowny ruch. – W pańskich czasach panowała wolność. Tak... tak sądzę. Myślę tak, bo moje życie nie było szczęśliwe. Ludzie nie są już wolni, nie są wspanialszy, lepsi niż w pańskich czasach. A i to nie wszystko. Londyn jest więzieniem. Wszystkie miasta są dziś więzieniami, a klucze do nich zaciska w dłoni chciwość. Myriady, nieprzeliczone myriady, trudzą się w pocie czoła od kołyski aż po grób. Czy to w porządku? Czy tak ma być już zawsze? Tak, życie jest dziś znacznie gorsze niż za pańskich czasów. Wokół nas i pod naszymi stopami jest tylko smutek i ból. Płytke rozkosze takiego życia, jakie pan już widział, tylko cienka linia oddziela od niedoli, których nie da się wyrazić słowami. Owszem, biedacy zdają sobie z tego sprawę. Zdają sobie sprawę z tego, że cierpią. Przed zaledwie dwoma dniami, a właściwie nocami, te nieprzeliczone rzesze ryzykowały dla pana życie. I życie jest pan im winien.

– Tak – przyznał Graham. – Tak, jestem im winien życie – powiedział powoli.

– Pochodzi pan z czasów, kiedy ta nowa tyrania miast dopiero zaczynała być widoczna. Bo to jest właśnie to, tyrania. W twoich czasach feudalni watażkowie należeli już do przeszłości, a czas rządzących bogactwem jeszcze nie nadszedł. Połowa ludności twojego świata żyła w wolności, poza miejskimi murami. Miasta jej jeszcze nie pożarły. Słyszałam historie wyjęte ze starych ksiąg, a w nich były opowieści o prawdziwej szlachetności! Zwykli ludzie żyli w miłości i wierności. Mogli robić tysiące różnych rzeczy. Pan... pan pochodzi właśnie z tych czasów.

– Nie było tak... mniejsza z tym. A teraz?

– Teraz są zyski i Miasta Rozkoszy. Albo niewola... bez wynagrodzenia, bez uznania. Niewola.

– Niewola! – powtórzył Graham.

– Niewola – przytaknęła dziewczyna.

– Nie chce pani chyba powiedzieć, że istoty ludzkie są własnością?

– Gorzej. Właśnie to chciałam panu powiedzieć, chciałam panu pokazać. Wiem, czego pan nie wie. Będą utrzymywać pana w niewiedzy, zamierzają zabrać pana niedługo do Miasta Rozkoszy. Ale widział pan już mężczyzn, kobiety i dzieci w bladoniebieskich strojach, o chudych, niezdrowo białych twarzach i nieruchomych oczach, prawda?

– Widziałem ich wszędzie.

– Mówią straszną gwarą, szorstką i prostacką.

– Tak. Słyszałem, jak mówią.

– To niewolnicy, pańscy niewolnicy. Niewolnicy Kompanii Pracy, która jest pańską własnością.

– Kompania Pracy... dziwne, ale brzmi to znajomo... no oczywiście! Teraz pamiętam! Pamiętam, kiedy wędrowałem po mieście, już po włączeniu świateł, wielkie ściany budynków, pomalowane na bladoniebiesko. Czy pani naprawdę chce mi powiedzieć...

– Tak. Jak mam to panu wytłumaczyć? Oczywiście, że uderzył pana ten niebieski uniform. Niemal jedna trzecia ludzi go nosi, a każdego dnia jest ich więcej. Ich liczba rośnie powoli, lecz nieustannie.

– Czym właściwie jest ta Kompania? – spytał Graham.

– W dawnych czasach, co się robiło z głodującymi ludźmi?

– No... były przytułki, utrzymywane przez parafie. Ludzie pracowali w nich za jedzenie.

– Przytułki... no tak, słyszałam. Mówili o nich na lekcjach historii. Dopiero teraz sobie przypomniałam. Kompania je wyparła. Wyrosła, przynajmniej w części, z czegoś, co może pan pamiętać ze swoich czasów. Z duchowej, emocjonalnej, religijnej organizacji pod nazwą Armia Zbawienia, przekształconej w przedsiębiorstwo przynoszące dochód. Na początku była to niemal organizacja dobroczynna. Wyzwalająca ludzi z rygorów przytułku. Bo bardzo się przeciw nim buntowali. Teraz, kiedy o tym panu opowiadam przypomina się, że to był jeden z pierwszych zakupów pańskiego Zarządu. Kupili Armię Zbawienia i przekształcili ją

w to, co istnieje dziś. Główną ideą było zapewnienie pracy głodującym i bezdomnym.

– I?

– Dzisiaj nie ma przytułków, nie ma emigrantów, nie ma dobroczynności. Istnieje tylko Kompania. Ma biura wszędzie. Jej kolorem jest niebieski. Każdy mężczyzna, każda kobieta i dziecko, każdy kto jest głodny, zmęczony życiem, kto nie ma domu i przyjaciół, którzy pomogliby mu w potrzebie, może poszukać ucieczki w Kompanii... lub popełnić samobójstwo. Na eutanazję nie będzie go stać, biedni nie umierają łatwą śmiercią. A w Kompanii, o każdej porze dnia i nocy, dostanie jedzenie, dach nad głową i niebieski uniform. Taka jest zasada działania firmy. Za dzień schronienia Kompania wymaga dnia pracy, po czym zwraca każdemu jego ubranie i wysyła go. Na ulicę.

– I?

– Panu może nie wydaje się to aż tak straszne. W pańskich czasach ludzie umierali z głodu na ulicach i to musiało być straszne. Ale umierali jako ludzie. Ci w niebieskim... jest takie powiedzenie: „niebieski mundurak raz i na zawsze”. Kompania handluje ich pracą więc dba, by nie zabrakło mu towaru. Zgłaszają się tam ludzie, głodujący, bezradni, jedzą i śpią noc i dzień, pracują dzień, a potem wracają skąd przyszli. Jeśli pracowali dobrze, dostają jakieś drobne, wystarczające na teatr, na tanią potańcówkę, na opowieść kinematograficzną, na posiłek i loterię. Wydają co mają i mogą już tylko chodzić ulicami. Policja traktów zakazuje żebractwa, chociaż i tak nikt nie dałby nic nikomu. Wracają następnego dnia, albo jeszcze następnego, pędzeni tą samą beznadziejnością, która kazała im przyjść tu po raz pierwszy. A potem ich codzienne ubrania wycierają się w łachmany, tak odpychające, że się ich wstydzą. Muszą pracować miesiącami, by sprawić sobie nowe. Bardzo wiele dzieci rodzi się pod opieką Kompanii i wówczas matki są jej winne miesiąc pracy za każde. Dzieci otoczone są opieką i edukowane do czternastego roku życia. Kosztuje je to dwa lata pracy. Oczywiście rozumie pan, że te dzieci przyucza się do niebieskiego uniformu. I tak to działa.

– W mieście nie ma nikogo pozbawionego środków do życia?

– Nie ma. Albo niebieski uniform, albo więzienie. Brak środków do życia jest zakazany przez prawo. Odpowiedni nadruk widnieje na czekach Kompanii.

– A jeśli ktoś nie chce pracować?

– Większość chce pracować w tym systemie, a Kompania ma swoje sposoby. Praca można uczynić nieprzyjemną w różnym stopniu... można ograniczać racje żywnościowe... a dane tych, którzy choćby raz odmówili pracy, trafiają do wszystkich biur, na całym świecie. A poza tym, jak biedny ma opuścić miasto? Podróż do Paryża kosztuje dwa lwy. Dla niesubordynowanych zaś są więzienia, ciemne, bardzo nieprzyjemne, ukryte pod ziemią. Do więzienia można trafić za wiele przewinień.

– Trzecia część populacji nosi niebieskie uniformy?

– Co najmniej. To robotnicy, żyjący bez dumy, bez radości, bez nadziei, znający opowieści o Miastach Rozkoszy, które są jak okrutne kpiny z ich żałosnego życia, pełnego nędzy i wyrzeczeń. Są za biedni nawet na eutanazję, drogę ucieczki z tego świata przeznaczoną wyłącznie dla bogaczy. Tępe, okaleczone miliony, nieprzeliczone miliony, pełno ich wszędzie, na całym świecie, ludzi znających tylko ograniczenia i niespełnione marzenia. Rodzą się, doświadczają nieszczęść, umierają. Przybył pan do właśnie takiego świata.

Graham siedział, ponury, milcząc przez bardzo długą chwilę.

– Ale... – powiedział w końcu – ...ale przecież doszło do rewolucji! Rewolucja zmienia wszystko. Ostrog...

– Taką też mamy nadzieję. Cały świat ma taką nadzieję. Ale Ostrog niczego nie zmieni. Jest politykiem. Jemu wydaje się, że musi być jak jest. Nie ma nic przeciwko temu. Porządek świata przyjmuje jako coś oczywistego. Bogaci, wpływowi, szczęśliwi, oni wszyscy uznali w końcu, że nędza po prostu jest. Używają ludzi w tej swojej polityce, za łatwe życie płacą ich degradacją. Ale pan, przybyły ze szczęśliwszych czasów, to w panu degradowani szukają pociechy. W panu!

Graham patrzył dziewczynie w oczy, lśniące od nieprzelanych łez. Poczł gwałtowny przypływ uczuć. Na chwilę zapomniał o mieście, zapomniał o dyskryminacji, zapomniał o dalekich, cichych głosach. Olśniło go jej proste, cielesne piękno.

– Co takiego powinienem zrobić? – spytał, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

– Rządzić. – Dziewczyna pochyliła się ku niemu. Zniżyła głos. – Niech pan rządzi tym światem jak nigdy nie był rządzony: dla dobra i szczęścia ludzkości. Bo pan może tak nim rządzić i powinien tak nim rządzić. Lud się

budzi. Budzi się na całym świecie. Potrzebuje tylko słowa, jednego słowa, ale tylko pan może je wypowiedzieć. Jednym słowem połączyć ich w całość. Nawet ludzie środka są niespokojni i nieszczęśliwi. Oni nie mówią panu wszystkiego. Lud nie chce harować w pocie czoła. Lud nie da się rozbroić. Ostrog obudził w nim coś, o czym nie śmiał nawet marzyć: nadzieję.

Graham czuł, jak szybko bije mu serce. Próbował zachować rozsądek, rozważyć konsekwencje.

– Oni tylko chcą, żeby ktoś ich poprowadził – powiedziała dziewczyna.

– A potem?

– Może pan dokonać wszystkiego, co pan sobie zamierzy, świat należy do pana.

Graham siedział pogrążony w myślach. Nie myślał o niej.

– Marzenia z dawnych czasów – powiedział w końcu. – O tym marzyłem, o wolności, o szczęściu. Czy to tylko marzenia? Czy jeden człowiek... jeden człowiek może...

– Nie „jeden człowiek”, lecz wszyscy ludzie. Potrzebują wodza, umiejącego nazwać tęsknoty ich serc.

Potrząsnął głową. Przez długą chwilę panowało milczenie, a potem, nagle, Graham podniósł głowę i spojrział na dziewczynę.

– Brak mi twej wiary – wyznał. – Brak mi twej młodości. Tu, teraz, dysponuję siłą, ale jest to siła pozorna. Nie, pozwól mi mówić! Chciałbym dokonać... nie, to niemożliwe... brak mi na to sił... ale chciałbym dokonać czegoś dobrego raczej niż złego. Nie przyniosę pokoju i szczęścia, ale zdecydowałem przynajmniej, że tak, będę rządził. To, co pani powiedziała obudziło mnie... tak, ma pani rację. Ostrog musi dowiedzieć się, gdzie jego miejsce. I tak, będę się uczył. Jedno mogę pani obiecać: koniec z pracą jak niewolą.

– Będzie pan rządził?

– Tak. Pod jednym... ale jest jedna ważna sprawa.

– Tak?

– Musi mi pani pomóc.

– Ja? Taka młoda...

– Owszem. Nie zauważyła pani, jaki jestem samotny?

Przez chwilę oczy dziewczyny przepelniała litość.

– Naprawdę musi pan pytać, czy panu pomogę?

Zapadła pełna napięcia cisza. Zegar wybił godzinę. Graham wstał.

– Ostrog już na mnie czeka – powiedział. Zawahał się, patrzył dziewczynie w oczy. – Zadawałem mu pewne pytania, ale... jest tyle rzeczy, których nie wiem. Możliwe, że na własne oczy zobaczę to, o czym mi mówiłaś. Kiedy wrócę...

– Będę wiedziała, gdzie jesteś i kiedy. Znów tu na ciebie zaczekam.

Jeszcze przez chwilę patrzyli sobie w oczy, uważnie, pytająco, a potem Graham odwrócił się i skierował kroki do biur Wiatraków.

ROZDZIAŁ XIX

PUNKT WIDZENIA OSTROGA

Ostrog już czekał, by zgodnie z etykietą zdać mu sprawę ze swych działań. Poprzednio Graham przyspieszał tę formalność jak tylko było to możliwe, by oddać się rozkoszom latania, ale dziś zaczął zadawać krótkie, trafiające w sedno pytania. Miał wielką ochotę jak najszybciej przejąć swe władztwo.

Informacje z zagranicy miały być podobno pomyślne. W Paryżu i Berlinie, jak to ujął Ostrog, „były kłopoty”, ale nie w postaci zorganizowanego powstania, skądże znowu, zaledwie przypadki zwykłej niesubordynacji.

– Po tylu latach – wyjaśniał w odpowiedzi na nalegania Grahama – Komuny podnoszą głowę. Należało się tego spodziewać. Mówiąc szczerze dokładnie na tym polega problem.

W miastach przywrócono jednak porządek. Graham, tym bardziej chłodny i dociekliwy, że traktował te sprawy emocjonalnie, spytał, czy doszło do starć.

– Drobnych potyczek – usłyszał w odpowiedzi. – I tylko w jednym miejscu. Ale syngaleski oddział naszej afrykańskiej policji rolnej dysponuje doskonale wyszkolonymi czarnymi. Był przygotowany, aeroplany stały w gotowości. Spodziewaliśmy się też pewnych problemów w miastach europejskich, a także w Ameryce, ale tam panuje spokój. Zadawała ich obalenie Rady. Na razie.

– Skąd to oczekiwanie kłopotów? – spytał Graham ostro.

– Wiemy o niepokojach... niepokojach socjalnych.

– Kompania Pracy?

– Pan się uczy! – Ostrog nie ukrywał zdziwienia. – Tak. Przede wszystkim chodzi o niezadowolenie z działań Kompanii Pracy. Ono właśnie dostarczyło masom motywacji do dokonania przewrotu. Ono oraz pańskie przebudzenie.

– Tak?

Ostrog uśmiechnął się. Postanowił mówić jasno.

– Musieliśmy obudzić ich niezadowolenie. Musieliśmy ożywić stare ideały: szczęście dla wszystkich, wszyscy są równi, mają równy dostęp do luksusów i tak dalej. Ideały, które uspiliśmy przed dwustu laty. Pan to rozumie? Musieliśmy je ożywić, choć oczywiście są niemożliwe do zrealizowania, inaczej nie obalilibyśmy Rady. A teraz...

– Co teraz?

– Nasza rewolucja osiągnęła cel, obaliliśmy rządy Rady, a ludzie, których obudziliśmy, nie chcą zapaść w drzemkę. Za mało było walki, za mało. Oczywiście składaliśmy obietnice. To naprawdę niezwykle, jak szybko ożył i jak błyskawicznie się rozprzestrzenił ten staroświecki, nieżyłowy humanitaryzm. Zaskoczył tym nawet nas, którzy przecież zasialiśmy ten wiatr. W Paryżu zmuszeni byliśmy wezwać nieznaczną pomoc z zewnątrz.

– A tu?

– Są kłopoty. Tłumy nie chcą wrócić do pracy. Mamy strajk generalny. Połowa fabryk ziele pustką, robotnicy zaś gromadzą się na traktach. Zaczynają mówić o Komunie. Ludzi w jedwabiach i ałasach obraża się na ulicach. Niebieskie płótna wiele się po panu spodziewają. Rzecz jasna nie musi się pan tym przejmować. Ustawiamy Paplacze, argumentujące za prawem i porządkiem. Zaciskamy pięść, takie jest obecnie nasze zadanie.

Graham słuchał, pogrążony w myślach. Wiedział, że musi podjąć jakieś decyzje. Ale przemówił w sposób wstrzemięźliwy.

– Czy zaciskanie pięści polega także na użyciu czarnej policji? – spytał.

– Jest bardzo użyteczna – wyjaśnił Ostrog. – To lojalne bestie, w ich głowach na2wet nie zakiełkują idee, mieszające w głowach naszego motłochu. Gdyby Rada zatrudniła ich jako policję traktów, wydarzenia mogłyby potoczyć się inaczej. Oczywiście nie ma powodów do obaw, grożą nam wyłącznie niepokoje i pewne zniszczenia. Opanował pan już sztukę zarządzania własnymi skrzydłami, jeśli zdarzy się jakieś zamierzenie, pojawią pożary, może pan spokojnie odlecieć na Capri. Kontrolujemy to, co na świecie najważniejsze, aeronauci są bogaci i uprzywilejowani, to najbardziej zamknięty związek zawodowy na świecie, podobnie inżynierowie wiatraków. Jesteśmy panami powietrza, a panowanie nad powietrzem oznacza panowanie na ziemi. Nikt nie jest w stanie zorganizować się przeciwko nam. Nie ma przywódcy – oprócz liderów

sekcji tajnego stowarzyszenia, zorganizowanego przez nas przed pańskim jakże szczęśliwym przebudzeniem. To zwykli sentymentalni intryganci, w dodatku chorobliwie zazdrośni o siebie nawzajem. Nikt z nich nie ma w sobie tego czegoś, co czyniłoby z niego prawdziwego przywódcę. Kłopoty mogą nam sprawić wyłącznie niezorganizowane rozruchy. Chcę być szczery – to się może zdarzyć. Ale w niczym nie przeszkodzi pańskiej aeronautyce. Czasy, kiedy lud mógł wywołać rewolucję, minęły.

– Chyba rzeczywiście – przyznał Graham. – Chyba rzeczywiście – powtórzył z namysłem. – Ten wasz świat... dla mnie jest pełen niespodzianek. W dawnych czasach marzyliśmy o cudownym demokratycznym świecie, w którym wszyscy ludzie będą równi sobie i szczęśliwi.

Ostro przyglądał mu się ciężkim, nieruchomym spojrzeniem.

– Czasy demokracji minęły – powiedział stanowczo. – Minęły i nigdy nie powrócą. Wszystko zaczęło się od łuczników spod Crecy, a skończyło kiedy piechota, gdy ludzkie masy przestały decydować o zwycięstwie na wojnie, a wyrazem siły stały się potężne działa, grube pancerze i strategiczny przebieg linii kolejowych. W dzisiejszych czasach o wszystkim decyduje bogactwo. Bogactwo jest dziś potęgą jaką nigdy nie było. Rządzi niebem i ziemią. Władza należy do umiejących zarządzać bogactwem. W pańskim imieniu. Musi pan zaakceptować fakty, a to są właśnie fakty. Świat dla mas! Niech masy rządzą! W pańskich czasach już tego próbowano. I zrezygnowano z prób. Dziś wiara ta ma jednego wyznawcę, zbiorowego i tępego: masy.

Graham nie zareagował od razu. Stał, pogrążone w pełnych troski myślach.

– Nie – mówił dalej Ostrog. – Czasy zwykłego szarego człowieka minęły. Na szerokich przestrzeniach każdy człowiek jest równie dobry jak każdy inny, lub prawie równie dobry. Dawna arystokracja dysponowała zasobami zarówno siły, jak i śmiałości. Jej działanie podlegało kontroli, były powstania, pojedynki, zamieszki. Pierwsza prawdziwa arystokracja, trwająca w czasie, narodziła się z zamków i zbroi, a ustąpiła przed łukiem i muszkietem. Teraz mamy czasy drugiej arystokracji, prawdziwej arystokracji. Dni prochu i demokracji były tylko wirem strumienia. Zwykły człowiek jest dziś jednostką miary. W naszych czasach istnieje tylko wielka

maszyna miasta i organizacja tak skomplikowana, że człowiek nie jest w stanie jej pojąć.

– A jednak – zauważył Graham – istnieje opór. Coś, co musicie powstrzymać, coś niespokojnego, wywierającego nacisk.

– Sam się pan zorientuje, jak to wygląda. – Ostrog uśmiechnął się sztucznie; ten jego uśmiech miał zmieść na bok pytania bez znaczenia. – Proszę mi wierzyć, że nie obudziłem tej siły, by mnie zniszczyła.

– Zastanawiam się... – zaczął Graham.

Ostrog patrzył na niego w milczeniu.

– Czy świat musi postępować w tym kierunku? – w tym pytaniu była siłą przekonania, to ono wydawało się pytającemu najważniejsze. – Czy świat naprawdę musi iść w tym kierunku? Czy próżne były wszystkie nasze nadzieje?

– Co ma pan na myśli mówić „nadzieje”?

– Pochodzę z wieku demokracji, a żyję w wieku arystokratycznej tyranii.

– Cóż... w każdym razie jest pan głównym tyranem. – Graham pokręcił głową przecząco. – Dobrze – kontynuował Ostrog. – Poszukajmy odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Otóż zmiany zawsze postępowały tą drogą. Arystokracja, przewaga najlepszych, cierpienie i zagłada nieprzystosowanych – tą drogą dochodziło się do tego, co lepsze.

– Arystokracja! Ludzie, których spotkałem...

– Och, przecież nie mówię o nich! Ich czeka śmierć, niemal wszystkich. Żądze i gonitwa za rozkoszą! Nie mają dzieci. Ich gatunek skazany jest na wymarcie. Oczywiście pod warunkiem, że świat będzie podążał swym szlakiem, że z niego nie zejdzie, nie zawróci. Możliwość łatwego zaspakajania żądz, eutanazja dla poszukujących rozkoszy, ginących w płomieniach... w ten sposób doskonali się rasę.

– Śmierć jako przyjemność. A jednak... – Graham zastanawiał się przez chwilę. – Lecz przecież są i inni. Masy. Ogromna liczba biedaków. Oni też wymrą? Nie, nie wymrą. Cierpią... ich cierpienie jest siłą, z którą nawet pan...

Ostrog poruszył się gwałtownie, zniecierpliwiony, a kiedy przemówił, jego głos nie był już tak spokojny jak jeszcze przed chwilą.

– Tymi sprawami proszę się nie kłopotać. Uregulujemy je w ciągu kilku dni. Masy są bestią wielką lecz głupią. Ta bestia nie zginie, lecz cóż z tego?

Nie obdarzam sług żywym uczuciem. Nawet jeśli nie zginie, można ją oswoić i zaprząć do pracy. Słyszał pan, jak przed dwoma dniami ci ludzie wrzeszczeli i śpiewali. Tej pieśni ich nauczono. Gdyby wybrał pan z masy pojedynczych ludzi, gdyby spytał ich pan, dlaczego wrzeszczą, nie potrafiliby odpowiedzieć panu na to pytanie. Myślą, że krzyczą na pana cześć, że są lojalni i oddani panu. Owszem, w tamtej chwili byli gotowi zarznąć Radę. Dzisiaj już burzą się przeciw tym, którzy tę Radę obalili.

– Nie, nie, nie – zaprotestował Graham. – Oni krzyczeli, bo ich życie jest ponure i nędzne, pozbawione radości i dumy, i ponieważ pokładają nadzieję we mnie. We mnie!

– A na co mieli nadzieję? Na co mają nadzieję? Pracują źle, a chcą dostawać takie samo wynagrodzenie jak ci, którzy pracują dobrze. Nadzieja ludzkości? Jaka jest ta nadzieja ludzkości? Że pewnego dnia pojawi się Nadczłowiek, który pewnego dnia gorszych, słabszych, zbydlęconych weźmie się w karby lub wyeliminuje. Wyeliminuje, jeśli nie weźmie w karby. Świat nie jest miejscem dla słabych, złych i głupich. Ich obowiązkiem – i wielki to, wspaniały obowiązek! – jest umrzeć. Śmierć nieudacznikom! Dzięki temu zwierzęta przekształciły się w ludzi, dzięki temu z ludzi powstanie wyższa rasa.

Ostrog chodził po pokoju, myślał, a potem spojrział wprost na Grahama.

– Potrafię wyobrazić sobie, jak wielkim wydaje się ten nasz świat wiktoriańskiemu dżentelmenowi. Żałuje pan, że znikły stare formy rządu przedstawicielskiego. Ich upiory nadal straszą: upiór wyborów do władz, parlamentów i całej tej osiemnastowiecznej błazenady. Idea Miast Rozkoszy wydaje się panu odrażająca. Powinienem wcześniej o tym pomyśleć i wziąłbym to pod uwagę, gdybym nie był taki zajęty. Ale wkrótce przyzwyczai się pan do tego świata. Ludzie szalejący z wściekłości czują do pana sympatię. W tej chwili na ulicach krzykiem domagają się zniszczenia Miast Rozkoszy, lecz to one są organami wydalniczymi państwa, urokliwymi miejscami rok po roku gromadzącymi wszystko co słabe i przepełnione nienawiścią, zmysłowe i leniwe, wszystko co w tym świecie uprawia łatwe nikkzemności, wszystko co czeka zagłada, choć pełna uroku. To wszystko tam się gromadzi, przez jakiś czas zażywa przyjemności, by w końcu umrzeć bezdzietnie. Piękne zmysłowe głupie kobiety umierają bezdzietnie, a ludzkość staje się od tego lepsza. Gdyby lud dysponował trzeźwością myślenia, nie zazdrościłby bogatym sposobu

umierania. A pan? Chce pan uwolnić głupich robotników o wyjąłowionych mózgach? Tych, których nam udało się jednak zniewolić? Chce pan uczynić ich życie łatwym i przyjemnym? Mimo że dopiero teraz zajęli pozycję, na którą zasługują i która jest dla nich odpowiednia?

Ostrog uśmiechnął się. Ten jego uśmiech wydał się Grahamowi dziwnie, wyjątkowo wręcz irytujący.

– Jestem pewien, że w końcu pan to zrozumie. Znam te pańskie idee, w młodości czytywałem Shelleya, marzyłem o wolności. Nie ma wolności, jest tylko mądrość i samokontrola. Wolność może istnieć jedynie wewnątrz, nigdy na zewnątrz. Jest prywatną sprawą każdego człowieka. Proszę sobie wyobrazić, choć to oczywiście niemożliwe, że te rozkrzyczane tłumy głupców w błękitie pokonują nas jednak... co wtedy? Zaledwie zmieniają sobie panów. Jak długo istnieją owce, Natura będzie dbała o istnienie drapieżników. Nastąpi zaledwie kilkusetletnie opóźnienie. Pojawienie się arystokracji to wyrok losu. To pewność. Na końcu drogi czeka nas Nadczłowiek, a ludzkość może co najwyżej gwałtownie protestować. Niech się buntują, proszę bardzo, niech nawet zamordują mnie samego i mnie podobnych. Jeśli nie ja, powstaną następni panowie i władcy. Koniec zawsze będzie taki sam.

– No, nie wiem. – Graham upierał się przy swoim. Przez chwilę stał zgarbiony, z wzrokiem utkwionym w ziemi pod stopami, ale kiedy przemówił, to głosem zdecydowanym, głosem władcy. – Muszę zobaczyć to na własne oczy. Żeby uwierzyć, muszę zobaczyć. Muszę się nauczyć. To właśnie pragnąłem panu powiedzieć, Ostrog. Nie chcę być królem Miasta Rozkoszy. To nie moja rozkosz. Już za długo zajmowałem się aeronautyką i innymi sprawami. Muszę się dowiedzieć, jak żyją dziś ludzie, jak wygląda życie zwykłe i przeciętne. Dopiero wówczas zacznę rozumieć. Muszę dowiedzieć się, jak żyją zwykli ludzie, przede wszystkim robotnicy. Jak pracują, jak żenią się, jak rodzą i wychowują dzieci, jak umierają...

– Może pan dowiedzieć się tego od naszych realistycznych powieściopisarzy. – Ostrog naraz wyraźnie się zaniepokoił.

– Wolę rzeczywistość.

– Z tym mogą być problemy... biorąc pod uwagę sytuację ogólną...

– Nie spodziewałem się...

– A ja myślałem... jednak mimo wszystko... Mówił pan, że chce poznać miejskie trakty, zobaczyć zwykłych ludzi.. – Ostrog nagle podjął

decyzję. – Musiałby pan zgodzić się na przebranie. Miasto jest w stanie silnego podniecenia. Gdyby pana rozpoznano, mogłoby dojść do przerażających niepokojów. To pańskie życzenie, by wmieszać się w populację miasta... sam pomyśl... to by się dało załatwić. Jeśli rzeczywiście tego pan chce. Każde życzenie Pana musi zostać spełnione. To da się nawet spełnić w bardzo krótkim czasie. Asano bez większych problemów znajdzie panu jakieś przebranie. Oczywiście pójdzie z panem. No nie, nie, muszę przyznać, że to wcale nie jest najgorszy pomysł.

– Nie chce pan skonsultować ze mną jakiś ważnych spraw? – spytał nagle Graham, w którym zbudziło się dziwne podejrzenie.

– Och, nie, to nie jest przecież konieczne – zaprzeczył Ostrog z uśmiechem. – Jestem zdania, że ważne sprawy może pan pozostawić mnie, przynajmniej na jakiś czas. Nawet jeśli się różnimy...

Graham spojrział na niego ostro.

– Jakie są szanse, że wkrótce znów dojdzie do walk?

– To się nie zdarzy – odparł Ostrog pewnie.

– Myślałem o tych murzynach – dodał Graham. – Nie sądzę, by lud źle mi życzył, a to przecież ja jestem Władcą. Nie chcę, by murzynów ściągano do Londynu. Być może to archaiczny przesąd, ale mam swoje przekonania dotyczące Europejczyków i ras niższych. A jeśli chodzi o Paryż...

Ostrog przyglądał mu się spod gęstych opadających brwi.

– Nie sprowadzą murzynów do Londynu – przytaknął powoli – lecz jeśli...

– Nie wolno panu sprowadzić ich do miasta niezależnie od okoliczności – powtórzył Graham. – W tej sprawie nie przewiduję zmiany zdania.

Ostrog uznał, że spór przyniesie mu więcej szkody niż pożytku. Ukłonił się unizenie.

ROZDZIAŁ XX

NA MIEJSKICH TRAKTACH

Tej nocy, zamaskowany i przez nikogo nie oczekiwany Graham w stroju niższego urzędnika Wiatraków na urlopie, w towarzystwie Asano, przebranego za funkcjonariusza Kompanii Pracy, wybrał się obejrzyć miasto, po którym wędrował już wcześniej, gdy pogrążone było w ciemnościach. Widział je teraz jasne od świateł, świętujące, kipiące życiem. Mimo szaleńczego rewolucyjnego wiru, mimo manifestacji niezwykłego niezadowolenia, mimo groźby wybuchu, do którego zakończone właśnie walki miały być zaledwie preludium, miliard strumieni handlu płynęło żwawo, szerokich, głębokich i silnych. Grahama, choć wiedział już to i owo nie tylko o rozmiarach dokonań nowej ery, lecz także o jakości tych dokonań, niezwykle zdumiały ich szczegóły, wir barw, zaskoczenie, odczuwane niemal przy każdym kroku.

Był to jego pierwszy prawdziwy kontakt ze współczesnymi ludźmi. Szybko zdał sobie sprawę, że wszystko, co zdarzyło się poprzednio, może oprócz niewielu okazji zerknięcia na krótko do środka teatrów i rynków, działo się w bardzo ograniczonej przestrzeni mieszczącej budynku rządowe, a wszystkie jego poprzednie doświadczenia ograniczała konieczność znalezienia odpowiedzi na pytanie: „jaką zajmuję pozycję?”. Teraz natomiast widział miasto nocą, w czasie największego ożywienia. Ludzie, przynajmniej większa część, zajęci już byli swymi sprawami. Powrócili do swego nieformalnego życia, do zwykłych obyczajów nowych czasów.

Najpierw wyszli na ulicę, po której obu stronach, traktami, poruszali się w szybkim tempie ludzie odziani w niebieskie płótno. To, co widział, było częścią pochodu, choć dziwnie było nazwać tak ruch postaci siedzących. Na niesionych przez nich czarnych prymitywnych transparentach hasła wypisane były czerwonymi literami. „Nie dla rozbrojenia” – głosiły prymitywnie namazane napisy, różniące się pisownią. „Dlaczego mamy się rozbrajać?”. „Nie dla rozbrojenia”. „Nie dla rozbrojenia”. Transparenty

przemykały jeden za drugim, pochód zaś zamykała grupa wyśpiewująca pieśń rewolucji i hałaśliwa orkiestra, wygrywająca ją na przedziwnych instrumentach.

– Oni wszyscy powinni teraz pracować – powiedział Asano. – Od dwóch dni nie dostają jedzenia. Nie jedzą nic, chyba że kradną.

W tym momencie musieli obejść gęsto zbity tłum przyglądający się transportowi ciał ze szpitali do kostnic, pokłósie śmierci, obfite po pierwszym buncie.

Tej nocy niewielu ludzi spało, niemal wszyscy wylegli na ulice. Graham zanurzył się we wszechogarniające podniecenie stale zmiennego tłumu. W głowie wirowały mu mroczne myśli, a w oczach ćmiło od powszechnego chaosu, od przeraźliwych krzyków, pozornie oderwanych od siebie elementów społecznej walki, której był to tylko początek. Girlandy i transparenty, na których hasła wypisano niezdarnymi literami oraz czarne, mroczne dekoracje dowodziły siły jego popularności. Zewsząd docierały do niego oderwane słowa prymitywnej, szorstko brzmiącej gwary, którą posługiwali się analfabeci, odciętej od kultury fonograficznej, przez co jej członkowie nie byli w stanie normalnie się porozumiewać.

Wszechobecnym tematem było oczywiście rozbrojenie. Na to stawiano nacisk, o którym nie dowiedział się niczego przez czas spędzony w luksusach kwater biura wiatraków. Uznał, że gdy tylko wróci z wycieczki musi poruszyć ten temat w rozmowie z Ostrogiem. Bo rozbrojenie było wyłącznie objawem szerszego problemu, a o tym wymienili tylko kilka luźnych zdań. Przez całą tę noc, od pierwszych chwil wędrówki, towarzyszył mu duch rewolty, odwracając jego uwagę od nieprzeliczonych innych, dziwnych rzeczy, na które z pewnością zwróciłby uwagę, gdyby nie okoliczności. Jednostronność zainteresowań uczyniła jego postrzeganie fragmentarycznym. Pomędzy tyloma różnymi obrazami, fascynującymi w swej dziwaczności, żaden, choćby najbardziej osobisty, nie miał szans przyciągnąć całej jego uwagi. Zdarzały się długie chwile, podczas których Graham zupełnie zapominał o ruchu rewolucyjnym bowiem, jak za rozsunieniem kurtyny, objawiał mu się jakiś nowy, fascynujący aspekt życia. Helen skłoniła go do poświęcenia uwagi jego światu, do zadawania ważnych pytań, bywało jednak i tak, że nawet o niej przestawał myśleć, przynajmniej świadomie. W pewnym momencie na przykład stwierdził, że znaleźli się w części miasta poświęconej religii. Po drodze przez miasto,

bardzo łatwej dzięki ruchomym traktom, widział od czasu do czasu nikomu już do niczego nie potrzebne kaplice i kościoły. Uwagę Grahama przyciągnęła teraz siedziba którejś z chrześcijańskich sekt. Siedzieli wówczas na jednym z górnych, szybszych traktów. Kościół pojawił się nagle, zza zakrętu. Zbliżali się do niego bardzo szybko. Ściany od góry do dołu pokryte były napisami w żywych, białych i niebieskich barwach, za wyjątkiem miejsca, w którym wielka, jasna przezroczysta płaszczyzna kinematografu ukazywała realistyczną scenę z Nowego Testamentu, oraz czarnej girlandy podkreślającej zgodność religii z polityką państwa. Graham opanował już pismo fonetyczne i liczne inskrypcje na fasadzie budziły jego emocje jako niebezpiecznie bliskie bluźnierstwa. Wśród mniej kontrowersyjnych w oczy rzuciły mu się między innymi: „Zbawienie, pierwsze piętro na prawo”, „Pieniądze zainwestuj w Stwórcę”, „Najszybsze nawrócenia w Londynie! Najlepsi nawracający! Nie zwlekaj!”. „Co Chrystus powiedziałby Śpiącemu? Dołącz do modnych Świętych!”. „Bądź Chrześcijaninem... bez szkody dla pracy!”. „Dziś zobaczysz najmądrzejszych biskupów w jednym miejscu, cena stała”. „Błyskawiczne błogosławieństwa dla zapracowanych ludzi interesu”.

– To przerażające! – wykrztusił Graham na widok tej jakże praktycznej, wręcz handlowej nabożności.

– Co tak pana przeraziło? – zdziwił się jego przewodnik, który w aż tak tandetnej religijności nie widział najwyraźniej niczego gorszącego.

– To! Przecież esencją religijności jest cześć i szacunek!

– Ach, o to chodzi! – Asano spojrział na Grahama dziwnie. – Ten widok panem wstrząsnął? Oczywiście to całkiem możliwe – powiedział tonem kogoś, kto właśnie dokonał wielkiego odkrycia. – O pewnych sprawach łatwo jest zapomnieć. W dzisiejszych czasach zwrócenie na siebie uwagi to trudne zajęcie, konkurencja jest ogromna. Brak nam wolnego czasu, w którym moglibyśmy zatroszczyć się o swe dusze tak jak dawniej... pan to z pewnością rozumie, prawda? – Uśmiechnął się. – Dawno, dawno temu mieliście spokojne niedziele. Na wsi. Chociaż kiedyś czytałem, nie pamiętam gdzie, że niedzielne popołudnia...

– Ale tamto! – Graham obejrzał się. Budynek, niebieski i biały, zdążył już wyraźnie się zmniejszyć. – Z pewnością, nie tylko w ten sposób...

– Och, są setki różnych sposobów choć, oczywiście, sekta nieznana nie zarabia. Sposób oddawania czci zmienił się z czasem. Sekty dla klas

wyższych postępują bardziej powściągliwie, drogie kadzidła, osobista opieka duchowa i tak dalej. Ci ludzie są bardzo popularni i bardzo zamożni. Płacą dożeny lwów za lokalizację. Płacą Radzie... to znaczy, chciałem powiedzieć, panu.

Graham nadal miał problemy z teraźniejszym systemem monetarnym. Wzmianka o dozandach lwów przypomniała mu o tym, a jednocześnie znacznie wzmogła jego zainteresowanie. Krzykliwe świątynie i ich nachalna reklama momentalnie uciekły mu z pamięci. Sformułowanie, użyte przez przewodnika zasugerowało – a jego wyjaśnienia potwierdziły pierwsze wrażenie – że złoto i srebro zostały zdemonetyzowane, a ostemplowane złoto, które swój żywot rozpoczęło wśród kupców fenickich, zdetronizowane. Zmiana, choć stopniowa, była jednak szybka, a rozpoczęła ją kariera czeków. Już w jego poprzednim życiu to przecież czeki zastąpiły szlachetne złoto przy większych transakcjach. Dziś w mieście, a właściwie na całym świecie, stosowano jedną walutę: małe brązowe, zielone i różowe czeki wystawiane przez Radę na niewielkie sumy, z pustym miejscem do wpisania remitenta. Asano miał ich przy sobie kilkanaście, przy pierwszej okazji uzupełnił w nich wpisy. Czeki drukowane były nie na papierze, łatwo ulegającym zniszczeniu, lecz na półprzezroczystym materiale wszechstronnym jak jedwab, z wplecionym weń oryginalnym jedwabiem. Widniała na nim odbitka podpisu Grahama – było to jego pierwsze po dwustu trzech lata zetknięcie z tak dobrze niegdyś znanymi liniami i dekoracyjnymi łukami, symbolizującymi jego nazwisko.

Były także inne, chwilowe wrażenia, nie pozostawiające jednak po sobie śladu odcisniętego wystarczająco głęboko, by wyprzeć mu z myśli kwestię rozbrojenia: świątynia Teozofów obiecująca „CUDA”, wypisane wielkimi literami imitującymi chwiejące się na wietrze płomienie, jej obraz chyba najtrudniej było mu odsunąć na bok, przynajmniej dopóki nie zobaczył restauracji na Northumberland Avenue. Zainteresowała go wręcz wyjątkowo. Dzięki energii i dalekowzroczności Asana mógł ją sobie obejrzeć z osłoniętej galerii, zarezerwowanej dla obsługi stolików. W budynku słychać było nieustanne stłumione trąbienie, popiskiwanie i ryki, których wagi Graham początkowo nie pojmował. Przypominały mu one pewne dalekie odgłosy słyszane w nocy, w mieście, zaraz po tym, jak znowu na ulicach rozbłysły światła.

Graham powoli przyzwyczajał się do ogromu zamkniętych przestrzeni i tłumów ludzi, a jednak to, co widział teraz, przykuło go do miejsca na bardzo długi czas. Spoglądał w dół, na pracę kelnerów, zadawał pytania na temat szczegółów tego, co widział, nie od razu dotarło do niego pełne znaczenie tego prostego faktu, że posiłek serwowany jest jednocześnie dla wielu tysięcy ludzi. Doprawdy dziwnym wydawało mu się, że to, co powinno uderzyć go od razu i z wielką siłą, zauważał dopiero gdy pojawił się jakiś drobny szczegół, zagadkowy w naturze i zwracający jego uwagę na zagadkę, którą inaczej mógłby przeoczyć. Dopiero teraz zorientował się, że jednorodność miasta pozbawionego zmian pogody, te wielkie hale, obszerne trakty, powstały kosztem domów. Domów w typowym, wiktoriańskim znaczeniu tego słowa, małych ceglanych komórek zawierających kuchnie ze zmywalniami, pokoje dzienne i sypialnie. Znikły one tak, jak niegdyś znikły szafasy z gałęzi, pozostawiając po sobie na pamiątkę tylko rozrzucone w tym, co pozostało z terenów wiejskich, ruiny. Dopiero teraz ujrzał, co mógł zobaczyć od razu: dzisiejszy Londyn jako miejsce do życia, nie był już zbiorem domów lecz kolosalnym hotelem, hotelem z tysiącem różnych rodzajów pokoi i usług, tysiącem jadalni, tysiącem kaplic, teatrów, hal, sklepów, giełd, miejsc zebrań; apoteoza zgromadzenia przedsiębiorstw, których on sam był głównym właścicielem. Ludzie dysponowali swoimi sypialniami, być może nawet z pokojami przyjęć, mieli konieczną dla normalnego życia wygodę oraz prywatność, a poza tym żyli trochę jak w wielkich hotelach epoki wiktoriańskiej: jedząc, czytając, rozmyślając, rozmawiając w miejscach publicznych, do pracy zaś udając się do przemysłowych lub handlowych części miasta.

Graham w jednej chwili zrozumiał, że ten kierunek rozwoju wiktoriańskiego miasta był prostą koniecznością. Podstawową przyczyną istnienia współczesnej jednostki miejskiej była bez żadnych wątpliwości ekonomia współpracy. W jego czasach połączenie indywidualnych gospodarstw domowych uniemożliwiała nadal niedoskonała ludzka cywilizacja, nieprzewyciężona barbarzyńska duma, uczucia i przesady, zazdrości, rywalizacja, gwałtowność temperamentu klas średnich i niższych, stwarzające konieczność ustanowienia granic pomiędzy sąsiadami. Nawet wówczas jednak zachodziły szybkie zmiany, a postęp łagodził temperamenty. W krótkich trzydziestu latach poprzedniego życia

Graham był naocznym świadkiem narodzin zwyczaju jedzenia poza domem, nieczęsto odwiedzane maleńkie kawiarenki ustępowały miejsca wielkim, otwartym herbaciarniom Aerated Bread Shop, rozpoczynała się era klubów kobiecych, rodziły się publiczne czytelnie, biblioteki, oraz wygodne bary, dające dowód wzrostu poczucia komfortu i spokoju. W tych czasach osiągnęły one szczyt rozwoju, a era zamkniętych na cztery spusty domów zakończyła się nieodwołalnie.

Asano poinformował go, że ci ludzie tam, w dole, należą do niższej klasy średniej, którą zaledwie krok dzieli od klasy niebieskich robotników. W okresie wiktoriańskim to właśnie ona przyzwyczajona było do spożywania posiłków prywatnie, do tego stopnia, że kiedy jej członkowie zmuszeni byli okolicznościami do rezygnacji z tej prywatności, kryli zawstydzenie wyprawiając brewerie lub przeciwnie, zachowywali wojskową dyscyplinę. Za to ci pogodni, ubrani w codzienne stroje ludzie, choć może przesadnie energiczni, wiecznie gdzieś się spieszący i małomówni, zachowywali się zdumiewająco wręcz swobodnie. Obecność innych z pewnością im nie przeszkadzała.

Uwagę Grahama zwróciło coś, drobiazg być może, lecz znaczący: w zasięgu jego wzroku wszystkie stoły pozostawały czyste. Nic nosiły najmniejszego nawet śladu okruchów chleba, plam po daniach i przyprawach, po przewróconych drinkach oraz odsuniętych od stołów, przestawionych krzeseł, śladami każdego udanego wiktoriańskiego przyjęcia. Sala była też bardzo skromnie urządzona: brakowało dekoracji, kwiatów, stołów nie przykrywały obrusy. Zrobiono je, o czym się dowiedział, z substancji przypominającej na oko i w dotyku adamaszek, lecz twardej i spoistej. Potem zorientował się także, że substancję tę zdobiły reklamowe wzory, eleganckie i w dobrym guście. Przed każdym miejscem, w czymś w rodzaju wnęki, umieszczono skomplikowany aparat z metalu i porcelany. Z kurków wydobywał się zimny oraz gorący lotny płyn, którym gość mył między daniami swój porcelanowy talerz, a także elegancki metalowy nóż, widelec oraz łyżkę, w zależności od tego, czego akurat potrzebował. Zup, a także najpopularniejszego z napojów, chemicznego wina, dostarczały podobne kurki. Dania, zamknięte w eleganckich naczyniach, przesuwają się wzdłuż stołu na srebrnej szynie. Jedzący mogli zatrzymać ruch w dowolnym momencie, by nałożyć sobie wybraną potrawę. Naczynia z posiłkiem pojawiały się za uchYLENIEM klapki

po jednej stronie stołu, a znikwały w podobnej klapce po drugiej stronie. Ta manifestacja demokracji w stanie rozkładu, ta wstrętna duma służalczych dusz, radujących się, gdy równi tobie muszą czekać, aż spełnisz swe zachcianki, była wśród tego rodzaju ludzi, jak się to miało okazać, bardzo silna. Grahama te intrygujące szczegóły zainteresowały do tego stopnia, że dopiero przy wyjściu zauważył wielkie reklamowe, zmienne dioramy, zajmujące górną powierzchnię ścian, reklamujące zdumiewające doprawdy rodzaje towarów.

Znaleźli się w zatłoczonym holu. Tu okazało się, skąd pochodzą niepokojące dźwięki. Zatrzymali się przed obrotową bramką, przy której wносиło się opłaty. Uwagę Grahama natychmiast przykuł donośny, raniący uszy dźwięk trąby, po którym odezwał się dobiegający zewsząd, mocny głos.

– Pan śpi spokojnie – wykrzykiwał. – Cieszy się doskonałym zdrowiem. Zamierza poświęcić swe życie aeronautyce. Twierdzi, że kobiety są piękniejsze niż kiedykolwiek. Wspaniale! Och! Nasza cudowna cywilizacja zdumiewa go niepomierne! Niepomierne! Wspaniale! Pokłada zaufanie w Szeffie Ostrogu! Pełnię zaufania! Ostrog ma być jego premierem! Ma prawo powoływać i odwoływać funkcjonariuszy publicznych, dzierży w dłoniach wszystkie stanowiska. Radnych wysłano do ich własnego więzienia ponad Domem Rady!

Już przy pierwszym zdaniu Graham stanął jak wrośnięty w ziemię. Podniósł głowę. Zobaczył głupią maszynę – trąbę, z której trzewi wydobywały się grzmiące dźwięki. Tak wyglądała Główna Maszyna Informacyjna. Przez chwilę jakby nabierała oddechu, słyhać było rytmiczne dudnienie jej metalicznego cielska. Potem ryknęła „Wspaniale! Wspaniale!” i rozpoczęła przemowę.

– Paryż został spacyfikowany. Wszelki opór ustał! Wspaniale! Czarna policja zajęła wszystkie kluczowe punkty w mieście! Walczyła z wielką odwagą, śpiewając pieśni napisane ku czci ich przodków przez poetę Kiplinga! Raz i drugi zdarzyło się jej przekroczyć uprawnienia, okaleczać i torturować rannych oraz wziętych do niewoli, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Wniosek – nie warto się buntować. Ha, ha, ha! Wspaniale! Wspaniale! Oto ludzie pełni życia, dzielni ludzie pełni życia! Niech to będzie nauczka dla łotrów, dla ohydnych wyrzutków! Ach! Bandar-Logi miasta! Wspaniale! Wspaniale!

Głos umilkł. Z tłumu dobiegły Grahama pojedyncze, gniewne pomruki.

– Cholerni czarni! – parsknął stojący obok mężczyzna. – Czy tego chciał nasz Władca, bracia? Czy to dzieło Władcy?

– Czarna policja – powiedział Graham. – O co chodzi? Chyba nie...

Asano położył mu dłoń na ramieniu, spojrzał na niego ostrzegawczo. W tym momencie inny mechanizm wrzasnął ogłuszająco, po czym odezwał się przenikliwym głosem.

– Jahaha! Jahaha, jap, jap! Krzyczy do was żywa gazeta. Tak! Żywa gazeta! Posłuchajcie żywej gazety! Jaha! Straszne rzeczy dzieją się w Paryżu! Czarna policja doprowadza Paryżan do rozpacz! Oto kara za próbę przewrotu! Straszna kara! Wróciły czasy gwałtu! Krew! Krew! Jaha, jap! – Takie zdumiewające nowiny wykrzykiwał najbliższy Paplacz, po czym skończył, już spokojniej, swym – Wspaniale! Wspaniale! – po którym nastąpił opis okropieństw, spowodowanych naruszeniami porządku. – Prawo i porządek są najważniejsza. Muszą być utrzymane. Za każdą cenę!

– Ale... – zaprotestował Graham słabo.

– Proszę nie zadawać pytań, nie w tym miejscu – przerwał mu Asano. – Jeśli nie chce pan wywołać bójki.

– A więc chodźmy gdzieś, gdzie mógłbym dowiedzieć się więcej o tym, co się dzieje.

Ruszyli obaj do wyjścia, przepychając się przed podnieconymi informacjami przekazanymi przez głosy tłum. Graham zwrócił uwagę na rozmiary wnętrza. Dużych i mniejszych Paplaczy musiał tu być z tysiąc, a przy każdym z nich, pokrzykującym, pohukującym, rozgadającym, gromadził się zasłuchany tłum, w ogromnej większości ubrany w niebieskie stroje. Maszyny miały różne rozmiary, od małych, rozplotkowanych urządzeń rozmieszczonych po kątach i plujących mechanicznym sarkazmem po wielkie, pięćdziesięciostopowe jak ta, którą Graham usłyszał z daleka, jako pierwszą. Zresztą te sale były wyjątkowo zatłoczone ludźmi, zwłaszcza tymi zainteresowanymi wydarzeniami z Paryża. Wydawało się oczywiste, że toczyły się tam walki znacznie gwałtowniejsze, niż przedstawił to Ostrog. Wszystkie mechanizmy podkreślały właśnie gwałtowność walk, a ludzie, słysząc „złinczowany policjant”, „spalona żywcem kobieta”, „okrutni czarni” powtarzali sobie te słowa z odcieniem grozy.

– Ale dlaczego Władca na to pozwala – powiedział stojący obok nich mężczyzna. – Czy tak zaczynają się jego rządy?

„Czy tak zaczynają się jego rządy”? Graham odszedł, lecz długo jeszcze prześladowało go trąbienie, gwizdy, krzyki. „Wspaniale! Wspaniale! Jahahah, jap, jap, jap. Jaka!”.

Czy tak zaczynają się jego rządy?

Gdy tylko wyszli na trakty natychmiast zaczął wypytywać Asano o naturę wydarzeń paryskich.

– Rozbrojenie, rozbrojenie! Skąd wzięły się te problemy? Co to wszystko znaczy?

Asano z wielkim przekonaniem upewniał go, że „wszystko jest w najlepszym porządku”.

– Ale te potworności!

– Nie można zrobić omletu nie tłukąc jaj – tłumaczył Asano. – To tylko najprymitywniejsi z ludzi. I tylko w jednej części miasta. Poza tym wszędzie wszystko jest w najlepszym porządku. Paryscy robotnicy są najbardziej zbuntowani na świecie. Po naszych.

– Co? Londyńskich?

– Nie. Japońskich. Trzeba ich trzymać w ryzach.

– Przez palenie kobiet żywcem?

– To Komuna! Gdyby mogła, Komuna okradłaby pana z jego własności! Zmarnowałyby ją, a rządy nad światem oddała tłumowi. Pan jest Władcą, świat należy do pana. Ale tu nie ma miejsca na komunę. Tu niepotrzebna będzie czarna policja. Poza tym okazaliśmy im wszystkie możliwe w tej sytuacji względy. Użyliśmy ich własnych czarnych, czarnych mówiących po francusku. Pułki z Senegalu, Nigru i Timbaktu.

– Pułki? Myślałem, że jest tylko jeden.

– Nie. – Asano spojrzał Grahamowi w oczy. – Dysponujemy więcej niż jednym pułkiem.

Graham poczuł się bardzo nieprzyjemnie bezradny.

– Nie myślę... – zaczął i nagle przerwał. Postanowił zmienić temat. Zainteresował się Paplaczami. Tłum, który gromadził się przy maszynach, był w zdecydowanej większości nędznie odziany, po części wręcz obdarty. Graham dowiedział się, że jeśli chodzi o zamożniejsze klasy, to w co wygodniejszych, prywatnych mieszkaniach w mieście znajdowały się prywatne Paplacze, zaczynające działać za pociągnięciem dźwigni. Lokator

mógł połączyć je kablem z każdym z wielkich Syndykatów Informacyjnych, według uznania. Dowiedziawszy się o tym Graham spytał z gniewem, dlaczego w jego mieszkaniu nie ma takiego urządzenia. Pytanie to zaskoczyło i zawstydziło Asano.

– Jakoś o tym nie pomyślałem – przyznał. – Ostrog musiał nakazać jego usunięcie.

– Skąd mogłem wiedzieć? – spytał Graham.

– Może uznał, że będzie pana denerwować?

– Ma zostać zamontowany natychmiast po naszym powrocie – polecił Graham po chwili zastanowienia.

Miał poważny problem z przyswojeniem sobie informacji, że to centrum informacyjne oraz restauracja nie są jakimś wielkim centrum, osią miasta, że takich jak one istnieje bardzo wiele, rozrzuconych dosłownie wszędzie. Podczas tej nocnej wycieczki cały czas towarzyszył mu już jednak hałas tłumów na traktach i słyszalne ponad tym hałasem charakterystyczne trąbienie organu Szefa Ostroga: „Wspaniale! Wspaniale!” oraz przenikliwe „Jahaha, jaha, jap! Słuchajcie wszyscy żywej gazety!” jego głównego konkurenta.

W wielkiej liczbie w różnych częściach miasta zbudowano też żłobki takie jak ten, do którego Graham właśnie wkroczył. Na miejsce dojeżdżało się windą, po czym szło się szklanym mostkiem, zawieszonym nad salą jadalną oraz traktami, prowadzącym lekko pod górę. By wejść do środka należało udowodnić tożsamość podpisem takim jak na banknotach, nad procedurą czuwał Asano. Natychmiast zaopiekował się nimi mężczyzna w fioletowej szacie ze złotą zapinką, przysługującej przedstawicielom profesji medycznej. Z jego zachowania Graham wywnioskował, że lekarz wie, z kim ma do czynienia, wykorzystał więc okazję do zadania mu wielu pytań na temat tej bardzo dla niego dziwnej instytucji.

Po obu stronach korytarza, cichego, miękko wyściełanego po to, by stłumić dźwięk kroków, znajdowały się wąskie niskie drzwi, których rozmiar i układ natychmiast nasuwał na myśl wiktoriańskie więzienie. Ich górna część sporządzona była z tego samego zielonkawego przezroczystego materiału co zamknięte łoża, w którym się przebudził. Za każdymi z nich, dobrze widocznie mimo mroku, leżało na miękkiej wyściółce małe dziecko. Skomplikowana aparatura kontrolowała powietrze i za najmniejszych odstępstwem od idealnej temperatury i wilgotności uruchamiała dzwonek

gdzieś daleko, w centralnym biurze. System takich żłobków niemal w całości zastąpił ryzykowne metody opieki pielęgniarek. Ich przewodnik zwrócił uwagę Grahama na mamki: rzędy mechanicznych figur o rękach, ramionach i piersiach wyjątkowej naturalności pod względem wyglądu i nawet dotyku, ale stojące na nagich mosiężnych trójnogach. W miejsce twarzy miały płaskie kręgi z reklamami, mogącymi zainteresować matki. Ze wszystkich przedziwnych nowości, które Graham poznał tej nocy, to właśnie żłobek najbardziej wstrząsnął jego intelektualnymi przyzwyczajeniami. Małe, różowe stworzonka, bezradnie wymachujące rączkami i nóżkami, uczące się dopiero nimi poruszać, pozostawione same sobie, pozbawione matczyne ciepła, dotyku, czułego słowa... dla niego było to czymś odpychającym, po prostu obrzydliwym. Ale towarzyszący mu przewodnik, lekarz, miał na ten temat zupełnie inne zdanie. Cytował dane statystyczne, z których miało wynikać bez najmniejszych wątpliwości, że w okresie wiktoriańskim najniebezpieczniejszym czasem w życiu człowieka był ten spędzony w ramionach matki i że wówczas śmiertelność była najwyższa, przerażająca. Z drugiej strony kompania utrzymująca żłobki, Międzynarodowy Syndykat Opieki, operujący na całym świecie, traciła zaledwie pół procenta z milionów powierzonych jej dzieci. Ale uprzedzenia Grahama zakorzenione były zbyt głęboko, by ustąpić przed siłą nawet tak potężnego argumentu.

W jednym z wielu korytarzy labiryntu spotkali młodą parę w zwykłym niebieskim stroju, zaglądającą do którejś z sal przez przezroczystą część drzwi i śmiejącą się histerycznie z łysej główki ich pierworodnego. Wyraz twarzy Grahama musiał dać im dobitnie do zrozumienia, co o nich sądzi, gdyż raptem przestali się śmiać, a nawet, jak się wydawało, stropili. Także i ten drobiazg okazał jasno, jak wielka przepaść oddzielała jego sposób myślenia od sposobu myślenia ludzi nowej ery. Następnie obejrzel, jak dzieci uczą się chodzić oraz przedszkole. Wywierały one wstrząsająco smutne wrażenie. Liczne, ogromne pokoje zabaw były puste. Okazało się, że dzieci nawet w tej epoce w nocy śpią. Po drodze przewodnik wskazywał im zabawki, stworzone według projektów natchnionego sentymentalisty Froebela. Istniały tu opiekunki, ale i tak największą rolę odgrywały maszyny śpiewające, tańczące oraz kołyszące dzieci na kolanach.

Istota tego, co widział, nadal pozostawała dla Grahama tajemnicą.

– Tyle sierot... tyle sierot – westchnął, zdumiony. Trzeba mu było znowu tłumaczyć, że dzieci, które widział, nie są bynajmniej sierotami.

Gdy tylko opuścili żłobek głośno dał wyraz przerażeniu, w jakie wprowadził go widok dzieci zamkniętych w inkubatorach.

– Czyżby macierzyństwo zanikło? – spytał. – Czyżby było tylko sentymentalną pomyłką? A instynkt? Bo to był przecież instynkt. Widziałem coś nienaturalnego... coś potwornego.

– Tędy dojdziemy do sali tanecznej – usłyszał od Asano zamiast odpowiedzi. – Z pewnością będzie tam tłok. Mimo politycznych niepokojów, kobiety nie interesują się polityką, choć są oczywiście wyjątki. Zobacz pan tam matki, większość młodych kobiet w Londynie to matki. W ich klasie uważa się posiadanie dziecka za chlubę, za dowód żywotności. Niewiele kobiet z klasy średniej ma więcej niż jedno dziecko. W kompanii Pracy wygląda to oczywiście inaczej. Tak wygląda macierzyństwo! Kobiety nadal są bardzo dumne ze swych dzieci. Często przychodzą je oglądać.

– Chce pan mi powiedzieć, że światowa populacja...

– Maleje? Tak, maleje. Wyjąwszy podległych Kompanii Pracy. Mimo naukowej dyscypliny oni są tacy beztroscy...

Powietrze przesyciły dźwięki muzyki. Podeszli, skosem, do tłumu wesołych, roześmianych, rozmawiających głośno ludzi, zgromadzonych pomiędzy kolumnadą jakby z czystego ametystu. Graham dostrzegł loki, wieńce, głęboką radosną żółć.

– Sam pan zobaczy. – Asano uśmiechnął się nieznacznie. – Świat się zmienił. Za chwilę zobaczy pan współczesne matki. Proszę tędy. To już niedługo.

Pojechali na górę szybką windą, po czym zmienili ją na drugą, nieco wolniejszą. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, coraz dźwięczniejsza i wspanialsza, usłyszeli także skomplikowany rytm przesuwających się stop. Wnieśli opłaty przy bramce. Znaleźli się na szerokiej galerii, wychodzącej na parkiet, w samym środku czarujących dźwięków i obrazów.

– Tu – powiedział Asano – widzi pan ojców i matki dzieci, które oglądał pan przed zaledwie chwilą.

Nie było tu dekoracji tak bogatych jak w sali Atlasa, lecz przynajmniej pod względem wymiarów wnętrze to przewyższało wszystko, co dane było Grahamowi oglądać do tej pory. Podtrzymujące galerię piękne białe posągi

znów przypomniały mu, jak wspaniałą rzeczą może być rzeźba. Wydawały się przejmować kuszące pozy, a ich piękne twarze śmiały się. Skąd dobywała się zalewająca plac muzyka nie sposób było stwierdzić, a cały ogromny, lśniący parkiet wypełniony był tańczącymi.

– Niech pan się im przyjrzy – powiedział Asano. – Zobacz pan, jak dumni są z posiadania dzieci.

Galeria, na której stali, obiegała cała górną część ogromnej osłony, odcinającej część sali tanecznej od rodzaju wejścia czy też przedsionka, z którego, poprzez łuki, widać było poruszające się niezmordowanie, zatłoczone trakty. W tej sali wejściowej także tłoczyli się ludzie, było ich niemal tyle co tańczących, choć tu przeważały znane już Grahamowi niebieskie stroje Kompanii Pracy. Za biedni, by przejść przez obrotową bramkę i dołączyć do zabawy, oczarowani nią pozostawali jednak w jej zasięgu. Niektórzy potrafili nawet wywalczyć sobie trochę miejsca i także tańczyli z takim zapałem, że ich nędze szmaty aż powiewały w powietrzu. Niektórzy krzyczeli w tańcu, lecz sensu ich okrzyków, ich żartów czy też może aluzji, Graham nie był w stanie pojąć. W pewnym momencie ktoś zagwizdał refren rewolucyjnej piosenki lecz, jak się mu wydawało, został natychmiast uciszony, zdarzyło się to w ciemnym kącie dokąd nie sięgał wzrokiem. Przeniósł spojrzenie na salę taneczną. Ponad kariatydami umieszczono popiersia ludzi, których ten wiek czczył jako wizjonerów i prekursorów. Większość z nich była Grahamowi nieznana, kilka jednak rozpoznał: Grant Allen, Le Gallienne, Nietzsche, Shelley, Goodwin. Ogromne czarne girlandy z odpowiednimi napisami podkreślały znaczenie wielkich inskrypcji zajmujących górną część ścian sali informujących, że odbywa się tu „Festiwal Przebudzenia”.

– Myriady zrobiły sobie wolne lub nie poszły do pracy z tej właśnie okazji, nie wliczając w to tych, którzy w ogóle do pracy nie wrócili – powiedział Asano. – Ci ludzie nic, tylko by się bawili.

Graham podszedł do balustrady, oparł się o nią, obserwował tańczących. Oprócz dwóch czy też może trzech szepczących par, które tu szukały odosobnienia, miał galerię dla siebie. Zanurzył się w atmosferze rozkosznych zapachów i witalności. Zarówno kobiety, na które patrzył, jak i mężczyźni, ubrani byli lekko, ramiona mieli obnażone i głębokie dekolty, na co pozwalała im panująca w mieście stała wysoka temperatura. Mężczyzn charakteryzowały kobiece fryzury i loki, wszyscy byli też gładko

ogoleni, a wielu miało zarumienione policzki, w sposób naturalny lub barwione. Kobiety odznaczały się, w większości, wielką urodą, ubrane zaś były bardzo kokieteryjnie. Przepływający pod nim jedni i drudzy mieli półprzymknięte oczy, na twarzach zaś wyraz ekstatycznej radości.

– Co to za ludzie? – spytał nagle, szorstko.

– Robotnicy. Dobrze sytuowani robotnicy. Pan nazwałby ich chyba klasą średnią. Niezależni pracownicy robiący drobne interesy na własny rachunek znikli dawno temu, istnieją jednak zawody takie jak obsługa sklepów, zarządcy czy inżynierowie setek różnych specjalności. Dziś, oczywiście, jest dzień wolny. Wszystkie sale taneczne w mieście zatłoczone są jak ta. Także miejsca modlitwy.

– Ale... kobiety...

– Kobiet także to dotyczy. Pracują w tysiącach różnych zawodów. W pańskich czasach już się to zaczynało, pojawiały się kobiety pracujące, niezależne. Dziś większość jest niezależna. Większość pozostaje w związku małżeńskim, takim czy innym, są różne rodzaje kontraktów, co daje im poważne środki i umożliwia zabawę.

– Rozumiem. – Graham przyglądał się zaczerwienionym twarzom, szybki zręcznym ruchom, nie mogąc zapomnieć o różowych rączkach i nóżkach, takich bezradnych. – I to są... matki?

– Większość, tak.

– Im więcej widzę na własne oczy, tym bardziej skomplikowane wydają mi się wasze problemy. To na przykład jest dla mnie wielką niespodzianką. Wiadomości z Paryża były niespodzianką. – Przerwał na chwilę, a potem dodał: – A więc to są matki. Sądzę, że powinienem zacząć już patrzeć na sprawy z dzisiejszego punktu widzenia. Ciągłe myślę po staremu, a to zwyczaj związany z potrzebami które, jak sądzę, już nie istnieją. Oczywiście, w moich czasach, kobieta miała nie tylko urodzić dziecko, lecz także kochać je i poświęcić się mu. A także uczyć... cała podstawowa, najważniejsza, moralna i umysłowa edukacja miała być jej dziełem. Nie zawsze była. Muszę przyznać, że wielu dzieciom nie udzielano tych nauk. Teraz, co staje się coraz bardziej jasne, takich nauk potrzebują one tak jak, powiedzmy, motyle. Rozumiem, oczywiście! Tylko, że my mieliśmy ideał. Ideał poważnej cierplivej kobiety, cichej lecz zawsze pogodnej pani domu, matki... matki ludzi... do której miłość była rodzajem modlitwy... tak, miłość rodzajem modlitwy...

– Gdy zmieniają się potrzeby – zauważył Asano – ideały też się zmieniają.

Graham nie od razu wy dostał się z pułapki wspomnień i Asano musiał powtórzyć swe słowa. Dopiero wówczas powrócił myślami do bieżących problemów.

– Oczywiście, widzę, że jest to bardzo rozsądne – powiedział. – Powściągliwość, trzeźwość umysłu, dojrzałe myśli, bezinteresowne działania, to wszystko są konieczności właściwe barbarzyństwu, zagrożeniu życia. Surowość to hołd składany niepokonanej naturze. Dziś, pod każdym istotnym względem, człowiek podporządkował sobie naturę... problemy polityczne rozwiązują Szefowie i czarna policja... życie jest więc ciągłą radością. – Graham znów spojrzał na tancerzy. – Tak, radością – powtórzył.

– Bywają chwilę nie tak radosne – przyznał Asano.

– Oni wszyscy wyglądają tak młodo. Tu, z góry, powinienem widzieć także starszych ludzi. W moich czasach mnie uważano by za człowieka w średnim wieku.

– Są młodzi. W tej klasie mało jest starych ludzi.

– Dlaczego?

– Życie starych ludzi nie jest już tak przyjemne jak było niegdyś, chyba że są bogaci, mogą wynająć sobie kochanki i opiekunów. Stworzyliśmy więc instytucję pod nazwą Eutanazja.

– Ach tak! Eutanazja! Łatwa śmierć?

– Oczywiście, łatwa śmierć. Ostatnia przyjemność w życiu. Kompania Eutanazja robi to bardzo zręcznie. Ludzie płacą, a koszty są niebagatelne, z góry, na długo przed usługą i wyjeżdżają do któregoś z miast rozkoszy. Wracają biedni i bardzo, bardzo zmęczeni.

Graham zamyślił się.

– Jak wiele muszę jeszcze zrozumieć – oznajmił po długiej chwili. – A jednak widzę w tym jakąś logikę. W naszych czasach zarówno surowe cnoty jak i równie surowe ograniczenia wynikały z poczucia zagrożenia i niepewności. Co prawda stoicy i purytanie znikali już i w moich czasach. Dawno temu ludzie uzbrajali się przeciw bólowi, dziś poszukują przyjemności. Oto cała różnica. Cywilizacja odsunęła perspektywę niebezpieczeństwa i bólu bardzo daleko... dla najlepiej sytuowanych. No i dziś liczą się tylko ludzie dobrze sytuowani. Spałem całe dwieście lat.

Przez dobre kilka minut stali w milczeniu, oparci o balustradę, obserwując skomplikowane ruchy tańczących. Trzeba przyznać, że był to bardzo piękny widok.

– Przysięgam na Boga – przerwał nagle ich milczenie Graham – wolałbym być wartownikiem zamarzającym na śniegu niż którymś z tych wymalowanych głupców.

– Zamarzając w śniegu myśli się zapewne inaczej – odparł Asano.

– Nie jestem cywilizowany. – Graham nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– W tym problem. Jestem prymitywny, jakbym pochodził wprost z paleolitu. Dla nich źródło gniewu, strachu, przesądów wyschło i zostało zapieczętowane. Żyją łatwo i przyjemnie, w dającym im radość świecie. Musi pan – zwrócił się do Asano – znieść mój dziewiętnastowieczny szok. I obrzydzenie. Twierdzi pan, że ci ludzie to wykwalifikowani robotnicy i tak dalej. Oni tu sobie tańczą, a w Paryżu... w Paryżu giną ludzie, giną za świat... żeby oni mogli tańczyć.

Asano uśmiechnął się lekko.

– Jeśli o to chodzi, to ludzie umierają także w Londynie – powiedział.

– Gdzie oni śpią? – spytał Graham po kolejnej chwili milczenia.

– Na górze i na dole... to bardzo skomplikowane ludzkie mrowisko.

– A gdzie pracują? Bo tutaj są ich... domy?

– Niewielu z nich dziś pracuje. Może połowa? Reszta nie zgłosiła się, niektórzy są uzbrojeni. Reszta dostała zwolnienie. Ale, jeśli pan chce, mogę pokazać panu, gdzie pracują.

Graham jeszcze przez chwilę przyglądał się tancerzom. W końcu podjął decyzję.

– Chcę zobaczyć miejsca pracy. Tego... – wskazał na dół – ...tego mi wystarczy.

Asano poprowadził go galerią i przez parkiet. Doszli do biegnącego poprzecznie przejścia. Poczuli powiew czystszeo, rześkiego powietrza. Gdy mijali wejście Asano spojrział w głąb, a następnie obrócił wzrok na Grahama. Uśmiechał się.

– Proszę za mną, panie – powiedział z szacunkiem, przedłużając „a”. – Jest tu coś, co będzie panu znane, chociaż... ale nie, nie zdradzę tajemnicy. Bardzo proszę.

Poszedł pierwszy sklepionym przejściem, w którym po chwili zrobiło się chłodno. Towarzyszące krokom drgania świadczyły, że idą po mostku.

Wyszli na okrągłą galerię, przeszkloną, odciętą od zewnętrznego świata. Znaleźli się w okrągłym wnętrzu, które Grahamowi wydawało się znajome, choć nie potrafił powiedzieć, skąd je zna i kiedy był tu wcześniej. Dostrzegł drabinę, pierwszą od czasu przebudzenia. Weszli po niej do wysokiego, mrocznego, chłodnego miejsca, także wyposażonego w drabinę, niemal pionową. Pielili się po niej do góry, Graham nadal zaskoczony i zdumiony, lecz gdy znaleźli się na górze, zrozumiał. Rozpoznał metalowe szczeble, na których zaciskał dłonie. Znajdował się w klatce pod dzwonem katedry św. Pawła. Kopuła zaledwie wyrastała ponad panoramę miasta, wprost w spokojny zmierzch, po czym opadała w dół, lśniąc w promieniach kilku odległych źródeł światła.

Pomiędzy belkami konstrukcyjnymi widział czyste, przewiane wiatrem północne niebo i niezmiennie gwiazdozbiory. Na zachodzie świeciła Kapella, wschodziła Wega, siedem lśniących punkcików Wielkiej Niedźwiedzicy godnie okręzało biegun. Widział te gwiazdy na odsłoniętym fragmencie nieba. Na wschodzie i południu niebo zasłaniały wielkie, obracające się powoli wiatraki, zasłaniając lunę nad Domem Rady. Na południowym zachodzie wisiał Orion, widoczny jako błądzący duch przez siatkę belek konstrukcyjnych podświetlonych oślepiającym blaskiem. Ryk i wycie syren oznajmiało, że na jednej z płyt lotu aeroplan szykuje się do odlotu. Przez chwilę Graham przyglądał się rozświetlonej płycie, a potem obrócił wzrok na północne konstelacje. Przyglądał się im w milczeniu.

– I to właśnie wydaje mi się najdziwniejsze ze wszystkiego – powiedział w końcu z uśmiechem. – Stańc na kopule katedry św. Pawła i znów przyglądać się niezmiennym, milczącym gwiazdom.

Następnie Asano długą, krętą drogą zaprowadził Grahama na rynki graczy, gdzie robiono także wielkie interesy i gdzie rodziły się – i upadały – największe fortuny miasta. Zaimponowała mu ta niekończąca się seria bardzo wysokich sal, otoczonych piętrami galerii, z których drzwi prowadziły do nieprzeliczonych biur. Przecinały je mostki i przejścia, powietrzne pojazdy szynowe, liny komunikacyjne z trapezowymi uchwyty. Miejsce to, bardziej niż jakiegokolwiek inne, przesyciła atmosfera wręcz dzikiej witalności, nieopanowanego pośpiechu. Dosłownie wszędzie widać było nachalne reklamy, od których blasku i tańca kolorów Grahamowi zakręciło się w głowie. Gęsto ustawione Paplacze

przekrzykiwały się, wygłaszając oderwane zdania, jakby wykrzykiwały rozkazy. „Zamknij oczy i skacz!”, „Hejho, Bonanza!”, „Szybcy słuchają i działają!”.

Grahamowi wydawało się, że miejsce, na które patrzy, pełne jest ludzi albo chorobliwie podnieconych, albo puchnących dumą z jakiejś niepojętej wiedzy, a jednak okazało się z wyjaśnień, że jest tu dość pusto i że polityczne konwulsje ostatnich dni zredukowały liczbę transakcji do minimum bez precedensu. W jednym z wielkich pomieszczeń stały w długim rzędzie stoły do ruletki – przy każdym stał rozgorączkowany tłum – w innym zaś bardzo do siebie nie pasujący: blada kobieta i mężczyzna o czerwonej szyi i bardzo donośnym głose, kupowali i sprzedawali akcje całkowicie fikcyjnej kompanii, co pięć minut płacące dziesięć procent dywidendy. Odpowiednią ilość akcji przeznaczano do umorzenia za pomocą koła do losowania wyników loterii. Tego rodzaju przedsięwzięcia karano z energią niczym nie różniącą się od gwałtu. Graham podszedł do szczególnie mocno ściśniętej grupy, by w jej centrum zobaczyć dwójkę najwyraźniej szanowanych kupców, dyskutujących jakies co bardziej skomplikowane zasady kupieckiej etykiety przy pomocy zębów i pazurów. Wyglądało na to, że nawet w tym życiu pozostało coś, o co warto było się bić.

Kolejny wstrząs wywołały wielkie płonące szkarłatem litery, wysokości dwukrotności ludzkiego wzrostu, oznajmiające: „USPOKAJAMY WŁAŚCICIELA. USPOKAJAMY WŁAŚCICIELA”.

– Kto jest właścicielem? – spytał Graham.

– Pan.

– Dlaczego mają mnie uspakajać? O co chodzi z tym uspokajaniem?

– Nie ma pan uspokojenia?

Graham nie od razu domyślił się, o co chodzi.

– Ubezpieczenia? – spytał w końcu.

– A tak, ubezpieczenia. Pamiętam je, takie stare słowo. Inwestują w ubezpieczenie pana na życie. Dozandy ludzi wykupują polisy, stawiają na pana myriady lwów. A tam dalej inni ludzie zakładają ubezpieczeniowe lokaty rentowe. Zawsze tak robią, w przypadku każdego, kto jest choć odrobinę znany. Proszę spojrzeć...

Tłum zafalował nagle, ryknął jednym głosem. Na oczach Grahama wielka czarna tablica rozjaśniła się jeszcze większymi znakami, płonącymi

na fileto. „Rata na Właaaściciela – x 5 pr G”. Rozległy się donośne protesty, buczenie i krzyki, a kilkunastu mężczyzn, tocząc wokół dzikim wzrokiem i wyrzucając dłonie ku niebu. Zderzyli się, blokując wąskie drzwi. Asano dokonał w myśli krótkich, przybliżonych obliczeń.

– Renta ubezpieczeniowa na pana warta jest siedemnaście procent per annum. Nie płaciliby tyle, gdyby widzieli pana w tej chwili. Ale oni nie wiedzą. Pańska renta wydawała się bezpieczną inwestycją, teraz jednak jest, oczywiście, bardzo hazardową rozgrywką. Inwestowanie w nią to wyraz rozpacz. Wątpię, czy ci ludzie zobaczą jeszcze swoje pieniądze.

Tłum rentierów był już tak wielki, że przez jakiś czas ludzie nie mogli poruszyć się ni w przód, ni w tył. Grahama uderzyła obecność w tym tłumie stosunkowo wielu kobiet, co przypomniało mu prawdę o ich ekonomicznej niezależności. Doskonale radziły sobie w tłumie, szczególnie zręcznie używając łokci, o czym przekonał się na własnej skórze. Jedna z nich, z głową w lokach, jak inne walcząca o odrobinę wolnego miejsca, kilkakrotnie spojrzała na niego bardzo jednoznacznie, niemal jakby go rozpoznała, a potem zaczęła przeciskać się w ich kierunku. Otarła się ramieniem o jego ramię nie udając nawet, by było to przypadkiem. Okazała mu, jakie wywarł na niej wrażenie, spojrzeniem starym jak Chaldejca. Nagle chudy, siwowłosy mężczyzna, pocący się z wysiłku, ślepy na cały świat z wyjątkiem nęcącej informacji z tablicy, wcisnął się pomiędzy nich, jednostka w szaleńczym zbiorowym tłumie prącym ku złudzeniu fortuny.

– Chcę stąd wyjść – oznajmił Graham, zwracając się ku Asano. – Nie to chciałem przecież zobaczyć. Proszę pokazać mi robotników. Tych, którzy noszą niebieskie stroje. Ci pasożytniczy szaleńcy...

Poczuł, jak wbijają się w niechętnie ustępującą ludzką masę.

ROZDZIAŁ XXI

PO DRUGIEJ STRONIE

Z rynków interesów przejechali ruchomymi traktami do odległej dzielnicy miasta, w której skupiła się produkcja. Po drodze dwukrotnie przekraczali Tamizę, a także szerokim wiaduktem przejechali nad jedną z tych wspaniałych dróg, wpadającą do miasta od północy. W obu przypadkach Graham doznał momentalnych, bardzo żywych wrażeń. Szeroki pas czarnej, iskrzącej się odbitym światłem morskiej wody, zamkniętej między dwoma rzędami wysokich budynków, znikał po obu stronach w ciemności nie rozpraszanej przez coraz radsze światła. Rząd czarnych barek płynął w stronę morza. Droga miała formę bardzo szerokiego i wysokiego, długiego tunelu, którym szybko i bezgłośnie przejeżdżały maszyny na wielkich kołach. Tu też przeważali ludzie w strojach Kompanii Pracy. Gładka, szeroka, dwuprzjazdowa droga oraz rozmiar pojazdów na lekkich, pneumatycznych kołach, strasznie dużych w proporcji, uderzyły Grahama z największą siłą. Szczególnie przykuł jego uwagę pojazd wyposażony w podłużne metalowe pręty, na których wisiały krwawe tusze setek owiec.

Łuk odciął go nagle od tak interesujących widoków. Po chwili zeszli z ruchomych traktów, zjechali windą, ruszyli przejściem prowadzącym w dół do drugiej windy, również prowadzącej w dół. Otoczenie zaczęło się zmieniać. Znikły nawet najmniejsze detale dekoracyjne architektury, światła były słabsze i rozstawione dalej od siebie, budowle stawały się coraz prostsze w kształtach, a jednocześnie coraz bardziej masywne nie pozostawiając wątpliwości, że znaleźli się w dzielnicy fabrycznej. Tu, wśród zapyłonych wytwórni biskwitów dla garncarzy, wśród rozdrabniarek kruszywa, w piecach, bo takimi były warsztaty pracy hutników, wśród płomienistych jezior surowego Eadhamitu widziało się tylko kolor niebieski, przykrywający ciała kobiet, mężczyzn i dzieci. Wiele z ogromnych, brudnych galerii należało dziś wyłącznie do cichych dziś maszyn, a przepelnione popiołem wygasłe paleniska dobitnie świadczyły

o nieobecności pracujących tu dzisiejszych rewolucjonistów, lecz gdziekolwiek toczyła się praca, wykonywali ją poruszający się powoli, jak w transie, robotnicy w kombinezonach z niebieskiego płótna. Wyjątek stanowili tylko nadzorcy i nosząca pomarańczowe kombinezony policja Pracy. Przybyły wprost z sali tanecznej z jej zaczerwienionymi z ochoty, rozbawionymi ludźmi i wprost z płonącej w gorączce dzielnicy interesów, Graham widział tu tylko ściągnięte twarze, zwiotczałe mięśnie i zmęczone oczy współczesnego robotnika. Ci, którym mógł się przyjrzeć dokładniej różnili się bardzo od przyzwoicie, wręcz elegancko ubranych zarządzających i nadzorców ich pracy. Potężnie zbudowany robotnik epoki wiktoriańskiej wyeliminował konia pociągowego i w ogóle żywą siłę napędową produkcji, a teraz miejsce jego mocnych mięśni zajęły maszyny. Dzisiejsi jego odpowiednicy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, tylko obsługiwali maszynę, byli jej wiernymi sługami, w najlepszym razie zaś artystami pod ciągłym nadzorem.

Kobiety, w porównaniu z tymi, które Graham pamiętał z poprzedniego życia, wydawały mu się nieładne, płaskie. Dwieście lat emancypacji spod ograniczeń moralnych religii purytańskiej, dwieście lat miejskiego życia, zdołały nieodwracalnie pozbawić te współczesne myriady niebieskich kobiecego piękna i żywotności. Błyskotliwość umysłu, uroda, atrakcyjność, jakakolwiek wyjątkowość, były kiedyś i pozostały aż do dziś drogą awansu, ucieczki do Miasta Rozkoszy z jego wspaniałościami, z jego rozkoszami, a także ostatecznej ucieczki od życia, osiągnięcia spokoju przez łagodną Eutanazję. Nie poddać się takiej pokusie było ponad siły tak strasznie gnębionych dusz. W młodych miastach z poprzedniego życia Grahama nowo tworząca się robotnicza masa pamiętała jeszcze, czym jest tradycja, honor i moralność, teraz masa ta przekształciła się w klasę, co wręcz instynktownie przyjmowano za oczywiste. Miała nawet swą gwarę.

Jechali w dół, ciągle w dół, na stanowiska pracy. Właśnie minęli jedną z ulic ruchomych traktów, wysoko nad głową widzieli mknące po szynach platformy, przez poprzeczne szczeliny przemykały pasma białego światła. W niepracujących fabrykach wygaszono większość światła, Grahamowi puste długie przejścia między wielkimi milczącymi maszynami wydawały się bardzo ponure, ale nawet tam, gdzie pracowano, oświetlenie było znacznie gorsze niż na traktach publicznych.

Minęli płonące morza Eadhamitu. Przeszli do części jubilerskiej. Ze znacznymi trudnościami, tylko dzięki majestatowi władzy Grahama, otrzymali pozwolenie na wejście do środka. Galerie tu były wysokie, mroczne, a także dość chłodne. W pierwszej kilku ludzi sporządzało ornamentykę ze złotego filigranu, każdy z nich miał do dyspozycji własny mały warsztat z małą lampką. Długie rzędy plamek światła, padającego na zręczne palce poruszające się wśród lśniących złotem pasem oraz nieruchome, skupione twarze niczym oblicza duchów, wywierały niezwykły efekt. Pracownicy wykonywali swe zadania doskonale, tworząc piękne dzieła bez rysunków, bez modelowania, większość skomplikowanej ornamentyki opierała się na prostych, powtarzalnych motywach geometrycznych. Nosili szczególne, białe kombinezony pozbawione rękawów i kieszeni. Zakładali je przed przystąpieniem do pracy, po jej ukończeniu oddawali, a sami byli dokładnie przeszukiwani przez funkcjonariuszy Kompanii. Mimo tych środków ostrożności – powiedział im członek jej wewnętrznej policji – przypadki kradzieży nie były bynajmniej odosobnione.

W kolejnym segmencie kobiety cięły bloki sztucznych rubinów, po czym porządkowały ich części. Dalej mężczyźni i kobiety mozolili się przy blokach miedzianych sieci tworzących podstawę dekoracji cloisonne. Wielu z nich miało charakterystyczne białe wargi i nozdrza z powodu choroby, wywoływanej przez specjalny fioletowy barwnik, akurat będący w modzie. Asano przeprosił Grahama za widok, który „mógł mu się wydać obrzydliwy”. Tłumaczył się tym, że galeria wypadła im po drodze.

– Właśnie to chciałem zobaczyć – wyjaśnił Graham. Udało mu się powstrzymać gwałtowną reakcję na szczególnie uderzające kalectwo.

– Mogła lepiej o siebie zadbać – powiedział Asano.

Graham zareagował słowami oburzenia.

– Ależ Paaanie – zaprotestował Asano. – Bez fioletu towar nie ma wartości. W pańskich czasach ludzie łatwo znosili takie rzeczy, byli o dwieście lat bliżej barbarzyństwa.

Przeszli dalej jedną z wielu galerią wytwórni, w której produkowano ozdoby cloisonne aż do mostku zawieszzonego pod stropem. Graham przechylił się przez balustradę. Poniżej, pod łukami potężniejszymi od wszystkich, które widział do tej pory, znajdowało się nabrzeże. Z trzech barek, tonących w kurzu jak mąka, rozkaszlani mężczyźni wyładowywali

kruszony skaień. Każdy z nich prowadził mały pojazd. Kurz wypełniał powietrze, zmieniał je w duszącą mgłę, barwił białe światło lamp na żółto. Niewyraźne cienie robotników tańczyły im u stóp, wędrowały nerwowo to tu, to tam, na białej ścianie. Od czasu do czasu któryś z nich nieruchomiał, czemu towarzyszył stłumiony odległością kaszel.

Ciemna potężna ściana, wyrastająca wprost z lustra wody, przypomniła Grahamowi o płataninie wind i galerii wznoszących się piętro nad piętro, wyrastających wysoko pomiędzy jego głowę a niebo. Ci ludzie tam, w dole, pracowali w milczeniu pod nadzorem dwóch członków policji Pracy, tak że słyszało się tylko tupot ich stóp na deskach, po których szli to w jedną, to w drugą stronę.

Nagle ktoś ukryty w mroku zaśpiewał pełnym głosem.

– Milczeć – krzyknął jeden z policjantów. Ten rozkaz nie został wysłuchany. Wręcz przeciwnie, robotnicy jeden po drugim podejmowali rytmiczną melodię refrenu, jakby rzucali policji wyzwanie. Pieśń Rewolty! Stopy na deskach tupały teraz do rytmu, tabam, tabam. Policjant, który wydał rozkaz, spojrział bezradnie na kolegę, po czym, co Graham wyraźnie widział, wzruszył ramionami.

Dalsze rozkazy już nie padały.

Wędrowali tak przez fabryki, oglądając ciężko pracujących ludzi. Widzieli wiele rzeczy smutnych, przykrych i bolesnych. Wędrówka ta przekształciła się w głowie Grahama w labirynt wspomnień, zmiennych obrazów obszernych hal, wypełnionych skomplikowanymi maszynami jam widzianych przez chmury pyłu, wirujących wałów, ciężkiego łomotu mechanicznych młotów, ryku i stuku pasów transmisyjnych napędzanych wielkimi kołami, mrocznych korytarzy, w których mieściły się niedoświetlone kwatery mieszkalne, niekończących się pasm małych lampek. Tu czuć było odór garbników, skwaśniałego piwa i jeszcze czegoś Grahamowi nie znanego. Jak okiem sięgnąć widział kolumny i masywne łuki konstrukcyjne tak wielkie, jakich kiedyś nie potrafiłyby sobie nawet wyobrazić, konstrukcje z błyszczącej chorym blaskiem brudu cegły, przygniecionej strasznym ciężarem miasta-świata, które swą skomplikowaną strukturą miażdżyło także bladych, anemicznych, pracujących tu ludzi. Nie sposób było uciec wzrokiem od kalectwa, zniekształceń, brzydoty: chorobliwie bladych twarzy, chudych członków.

Zwiedzając te podziemne jaskinie raz za razem, Graham słyszał Pieśń Rewolty. Był świadkiem zamieszania, być może nawet walki, dowiedział się też, że ci pobici nędzni słudzy sięgnęli po chleb nim wykonali swą nakazaną pracę. Byli już w drodze powrotnej na trakty, gdy z jadącej do góry windy Graham dostrzegł dzieci biegnące poprzecznym pomostem, a po chwili poznał także powód ich paniki: oddział uzbrojonej w pałki policji Pracy, zmierzający biegiem do jakiegoś niewidocznego centrum niepokoju. Potem udało mu się dostrzec także przynajmniej fragment tych zamieszek. Ale ci robotnicy, którzy pracowali, a była ich większość, pracowali bez nadziei. Duch upadłej ludzkości, czy raczej to, co z niego zostało, był dziś tam, na powierzchni, wołając o Pana i dzielnie nie dając się rozbroić.

Wydostali się wreszcie z czeluści. Stali na środkowej platformie traktów, mrugając oślepienymi jasnym blaskiem światła oczami. Jednocześnie usłyszeli dalekie przeraźliwe, donośne krzyki oraz trąbienie maszyn jednego z Biur Zdobywania Wiedzy. Nagle pojawili się biegnący mężczyźni. Hałas stawał się coraz głośniejszy. Pojawiły się też kobiety, jedna z bladą, znieruchomiałą z przerażenia twarzą, druga zdyszana, krzycząca przeraźliwie cienkim głosem.

– O co chodzi? – zdumiał się Graham. Nie rozumiał gardłowej gwary tych ludzi. Po chwili usłyszał jednak angielszczyznę i już widział, o czym krzyczą wszyscy, o czym informują się nawzajem mężczyźni, co tak strasznie przeraża kobiety, co wydaje się pierwszym powiewem wiatru nadchodzącej burzy, nagły chłód i drżenie miasta.

– Ostrog wezwał do Londynu Czarną Policję. Czarna Policja przybywa z Południowej Afryki. Czarna Policja... Czarna Policja... Czarna policja...

Asano też zbladł, ta wiadomość musiała go zaskoczyć. Zawahał się, spojrzął na Grahama i powiedział mu to, czego Graham już się dowiedział.

– Skąd oni to wiedzą? – spytał.

Rozległ się głośny krzyk: „Porzućcie pracę! Porzućcie pracę!”. Ogorzały garbus, wyglądający aż śmiesznie wesoło w zieleni i złocie, skakał w ich kierunku z platformy na platformę. Krzyczał nieprzerwanie, i to w dobrej angielszczyźnie: „A to przez Ostroga! Ostroga łotra! Pan został zdradzony!”. Głos miał ochrypły, z otwartych ohydnych ust ciekła mu wąska stróżka piany. Wykrzykiwał o strasznych rzeczach, które działały

się w Paryżu za sprawą Czarnej Policji. Minął ich powtarzając: „Ostrog łotr! Ostrog łotr!”.

Graham stał nieruchomo, bowiem znów naszło go wrażenie, że to wszystko dzieje się jakby we śnie. Spojrzał w górę, na majestatyczne klify budynków stojących po obu stronach traktów, znikające w błękitnej mgiełce wysoko ponad linią świateł, w dół na ryczące rzędy platform. Spojrzał na biegnących, krzyczących, gestykulujących w panice ludzi.

– Pan został zdradzony! – krzyczeli ludzie. – Pan został zdradzony!

I nagle myśli poukładały mu się w głowie. Jego mózg pracował, serce biło szybko i mocno.

– A więc nadeszła – powiedział. – Powiniennem to przewidzieć. Nadeszła właściwa godzina. – Zastanowił się. – Co powiniennem zrobić?

– Wrócić do Domu Rady – odpowiedział Asano.

– Dlaczego nie miałbym przemówić... ludzie są tutaj.

– Straci pan tylko czas. Nie uwierzą, kim pan jest. Ale z pewnością zgromadzą się wokół Domu Rady. Tam znajdzie pan ich przywódców. Pańska siła jest tam... z nimi.

– Lecz jeśli to tylko plotka?

– Brzmi prawdziwie – zauważył Asano.

– Musimy poznać fakty!

Asano wzruszył ramionami.

– Lepiej, żebyśmy jak najszybciej dotarli do Domu Rady. – Niemal krzychał. – Oni wszyscy tam ściągną. Całkiem możliwe, że już teraz nie da się przedrzeć przez ruiny.

Graham spojrzał na niego podejrzliwie, ale w końcu poszedł za nim. Przeszli przez wznoszące się jedna nad drugą platformy do najszybszej. Asano zatrzymał jakiegoś robotnika. Zaczął z nim rozmowę. Robotnik używał wulgarnej gwary.

– Co powiedział? – spytał Graham, kiedy zakończyli rozmowę.

– Niewiele wie, ale dowiedziałem się od niego, że Czarna Policja przybyłaby na miejsce nim ludzie by się o niej dowiedzieli, gdyby nie ktoś z biur wiatraków. Z jego słów wynika, że chodzi o dziewczynę.

– Dziewczynę? Czyżby...

– Powiedział „dziewczynę”. Nie wiedział, kim jest. Dziewczyna wyszła z Domu Rady płacząc głośno i natychmiast poinformowała o wszystkim ludzi pracujących w ruinach.

Znów rozległy się okrzyki, ale teraz, zamiast budzić panikę sprawiły, że zamiast uciekać w panice, ludzie zaczęli się organizować. Oczyszczyły atmosferę ulic niczym wiatr.

– Wszyscy na stanowiska! Na stanowiska! Każdy dostanie broń. Wszyscy na stanowiska!

ROZDZIAŁ XXII

WALKA W DOMU RADY

Asano i Graham przedzierali się pospiesznie przez ruiny otaczające Dom Rady. Byli świadkami rosnącej powstańczej gorączki. „Na stanowiska! Na stanowiska!”. Gdziekolwiek spojrzeli, widzieli kobiety i mężczyzn w niebieskich kombinezonach, wychodzących ze swych podziemnych stanowisk pracy, biegnących po schodach środkowego przejścia. Graham dostrzegł arsenał komitetu rewolucyjnego, obleżony przez tłum krzyczących mężczyzn, dostrzegł też grupkę policjantów znienawidzonej policji Pracy w ich żółtych mundurach, uciekającą szybkim traktem w przeciwnym kierunku, ściganą przez inną grupę.

Im bliżej byli siedziby rządu, tym głośniejszym brzmiał krzyk „Na stanowiska” i tym był częstszy, aż wreszcie zlał się w jedno ciągłe wezwanie do boju. Nie wszystkie okrzyki dało się zrozumieć. Jakiś mężczyzna krzyczał ochrypłym głosem „Ostrog nas zdradził” tak blisko, że od tych jego okrzyków Graham niemal stracił słuch. Człowiek ten pozostał przy nich na szybkim trakcie, krzykami informując, co się dzieje tym, którzy poruszali się niżej, wolniejszym. Informował ich o zdradzie Ostroga oraz, jak się zdawało, wydawał rozkazy, lecz jeśli nawet, dla Grahama były one niezrozumiałe. W pewnym momencie zbiegł na dół, na coraz wolniejsze trakty i znikł.

Hałas otępił zmysły Grahama. Nie miał żadnego sprecyzowanego planu działania. Może powinien znaleźć sobie jakieś wyniosłe miejsce, z którego mógłby zwrócić się do tłumów, a może lepiej będzie, jeśli porozmawia z Ostrogiem twarzą w twarz? Przepęniała go wściekłość, mięśnie miał napięte, zaciskał pięści, przygryzał wargi.

Przejście przez ruiny do Domu Rady okazało się niemożliwe, ale Asano poradził sobie także z tą przeszkodą. Zabrał Grahama do centrum pocztowego. Poczta pracowała, przynajmniej teoretycznie, jej ubrani na niebiesko pracownicy albo wlekli się noga za nogą, albo w ogóle nic nie

robili, tylko przez łuki galerii przyglądali się przechodzącym obok, rozkrzyczanym ludziom wzywającym: „Na stanowiska! Wszyscy na stanowiska!”. Tu, za radą Asano, Graham ujawnił swą tożsamość.

Do Gmachu Rady dostali się kołyską linową. Rada skapitulowała bardzo niedawno, lecz mimo to zdążono dokonać prac imponujących rozmiarami, tak że ruiny wyglądały już zupełnie inaczej. Z głównych przewodów kanalizacyjnych nie tryskała już morska woda, tymczasowe orurowanie zawieszono nad ich głowami, na kruchej, wydawałoby się, siatce dźwigarów. Niebo przecinały przeciągnięte na nowo kable i przewody. Po lewej od białego gmachu rosła nowa konstrukcja, otoczona ruchomymi dźwigami i innymi maszynami budowlanymi. Przebiegające w sąsiedztwie trakty zrekonstruowano i uruchomiono, choć dla odmiany przebiegały one pod gołym niebem. To właśnie je Graham zobaczył z małego balkoniku w godzinie przebudzenia, przed zaledwie dziewięcioma dniami. Sala, w której leżał w transie położona była w głębi budynku. Tam, gdzie piętrzyły się teraz wielkie kupy gruzu.

Ranek minął już dawno, słońce świeciło jasno. Z głębokich, wyniosłych jaskiń wypełnionych niebieskawym światłem wypływały szybkie trakty wypełnione ludźmi. Ludzie zeskakiwali z nich i dołączali do tłumów, gromadzących się w chaosie ruin. Powietrze aż drżało od ich krzyków. Powoli, ściśnięci, parli w stronę centralnego budynku. Ta ruchoma masa wydawała się poruszać chaotycznie, ale tu i tam Graham widział już rodzącą się samoistnie, prymitywną dyscyplinę. I te głosy. To one się jej domagały: „Na stanowiska! Każdy ma się udać na swe stanowisko!”.

Kołyską dojechali do sali, w której Graham rozpoznał preksionek Sali Atlasa przy galerii, którą w zaledwie kilka godzin po przebudzeniu szedł z Howardem, prowadzącym go na spotkanie z nieistniejącą już Radą. Teraz, oprócz dwóch pracowników, obsługujących linowe siodełko, nie było tu nikogo. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu ludzie ci rozpoznali Śpiącego, gdy pomagali mu wypiąć się z siedzenia.

– Gdzie Ostrog? – spytał Graham stanowczym tonem. – Muszę natychmiast zobaczyć się z Ostrogiem. Okazał nieposłuszeństwo. Przybyłem, by odebrać mu władzę.

Nie czekając na Asano ruszył przed siebie, wbiegł po schodach przy przeciwległej ścianie, jednym ruchem odsunął zasłonę i znalazł się twarzą w twarz z zatrudnionym na wieczność Atlasem.

Sala była pusta. Wyglądała też zupełnie inaczej niż kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Podczas pierwszej fazy walk została poważnie uszkodzona. Po prawej stronie posągu Atlasa górna część ściany znikła na przestrzeni około dwustu stóp, a otwór został zasłonięty płachtą tego samego zielonkawego półprzezroczystego materiału, który okrywał Grahama w chwili przebudzenia. Tłumił on, choć nie do końca, dobiegające z zewnątrz okrzyki. Grahamowi wydawało się, że słyszy: „Na stanowiska! Na stanowiska! Na stanowiska!”. Widział także szkielety metalowych rusztowań, to wznoszące się, to opadające, w zależności od potrzeb mnóstwa robotników budowlanych. Pomalowane na jaskrawą czerwień wysięgniki nieruchomej maszyny przecinały zieloną płaszczyznę. Obsługujący ją robotnicy patrzyli w dół na rosnący tłum. Graham przyglądał się temu obrazowi, kiedy dogonił go Asano.

– Ostroga – powiedział. Ożywił się, a jego oczy uparcie wpatrywały się w twarz Grahama – znajdzie pan zapewne w małych biurach tam, dalej.

Oddalili się od kurtyny o zaledwie dziesięć kroków, gdy panel po lewej stronie Atlasa przesunął się do góry i w sali pojawił się Ostrog w towarzystwie Lincolna. Za nimi szli dwaj Murzyni ubrani w mundury czarne z żółtym. Szli szybko w stronę innego otwartego panelu po drugiej stronie sali.

– Ostrog!

Na dźwięk głosu Grahama grupa zatrzymała się, zaskoczona. Ostrog powiedział coś do Lincolna, po czym podszedł do niego sam. Ale to Graham odezwał się pierwszy, głośno i stanowczo.

– Co ja słyszę? Sprowadza pan Murzynów? Żeby utrzymać ludzi w ryzach?

– Z pewnością nie przedwcześnie – odparł Ostrog. – Najpierw ten bunt, a potem coraz trudniej było nad nimi zapanować. Nie doceniłem...

– Chce pan mi powiedzieć, że ci czarni z piekła rodem są już w drodze?

– Tak. Są już w drodze. Na razie... widział pan tych ludzi tam, na zewnątrz?

– Trudno się im dziwić. Ale, jak powiedziałem, wziął pan na barki zbyt wielki ciężar. – Ostrog nie odpowiedział, tylko podszedł jeszcze bliżej. – Murzyni nie mogą pojawić się w Londynie – oznajmił Graham. – Jako Władca mówię, że nie mogą się tu pojawić.

Ostrog spojrział na Lincolna, który jakby wezwany spojrzeniem, podszedł do nich natychmiast wraz ze swym orszakiem.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Białym ludziom mogą rozkazywać tylko biali ludzie. Poza tym...

– Czarni są zaledwie narzędziem.

– Nie w tym rzecz. Jestem Władcą. I zamierzam być Władcą. I mówię panu, że czarni się tu nie pojawiają.

– Lud...

– Wierzę w lud.

– Tylko dlatego, że jest pan anachronizmem, człowiekiem z przeszłości, przypadkiem. Zapewne tak, rzeczywiście, jest pan właścicielem świata. Nominalnie... z prawnego punktu widzenia. Ale z pewnością nie jest pan jego Władcą. Na to za mało pan wie. – Ostrog znów spojrział na Lincolna. – Wiem, co pan myśli i potrafię przewidzieć, co ma pan zamiar uczynić, przynajmniej w części. Jeszcze nie jest za późno, by pana ostrzec. Marzy pan o równości, o jakimś socjalistycznym porządku. Wszystkie te stare, wytarte marzenia z XIX wieku w pańskim umyśle nadal są świeże i z nimi w pamięci chce pan rządzić w czasach, których zupełnie pan nie rozumie.

– Niech pan posłucha – powiedział Graham. – Przecież pan słyszy, prawda? Słyszy pan coś, co przypomina szum morza. Nie głosy, lecz jeden głos. Pytanie brzmi, czy pan go rozumie.

– My ich tego nauczyliśmy.

– Być może. Czy nauczycie ich teraz, jak zapomnieć? Zresztą nie ma o czym mówić. Czarni nie mogą przybyć do Londynu.

Przez długą chwilę Ostrog patrzył Grahamowi wprost w oczy.

– Przybędą – powiedział, przerywając milczenie.

– Zakazuję!

– Już są w drodze.

– Na to nie pozwalam.

– A jednak – powiedział Ostrog. – Żałuję, że muszę stosować metody Rady, ale... dla pańskiego dobra... nie może pan stanąć po stronie... nieporządku. A teraz, skoro pan tu jest... bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że się pan pojawił...

Lincoln położył dłoń na ramieniu Grahama, a on dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wielkim błędem było przybycie do Domu Rady. Odwrócił

się, zrobił krok w stronę przejścia z sali do poczekalni. Asano chwycił go za ramię, Lincoln za poję szaty.

Graham uchylił się, uderzył Lincolna w twarz. Murzyn natychmiast złapał go za kołnierz szaty i za rękę. Zdołał mu się wyrwać, usłyszał trzask odrywanego rękawa. Zatoczył się w tył i wtedy drugi Murzyn podstawił mu nogę. Upadł ciężko, patrząc wprost w sufit, wysoko nad głową. Krzyknął głośno, przetoczył się po podłodze, zaczął szarpać się z Murzynem, aż wreszcie zdołał chwycić go za nogę i przewrócić. Pozbierał się i wstał. Zobaczył przed sobą Lincolna, uderzył go podbródkowym, obalił na posadzkę. Zdołał zrobić dwa długie kroki w kierunku wyjścia i wówczas poczuł zaciskające się na szyi ramię Ostroga. Ostrog szarpnął go wstecz. Teraz to on upadł. Unieruchomiono mu ramiona. Jeszcze przez chwilę szarpał się rozpaczliwie, a potem znieruchomiał. Patrzył na poruszające się w górę i w dół jabłko Adama Ostroga.

– Jest pan więźniem – wydyszał Ostrog radośnie. – To była głupota.... tak po prostu wrócić...

Graham odwrócił głowę. Przez nieregularne zielone okno w ścianie sali zobaczył robotników pracujących na rusztowaniach. Gestykulowali gwałtownie, pokazywali coś ludziom na ziemi. A więc widzieli!

Ostrog przesunął wzrokiem za jego spojrzeniem. Krzyknął coś do Lincolna, lecz Lincoln się nie poruszył. Kula wpadła do sali, roztrzaskała fragment sztukaterii nad Atlasem. Dwie płachty przezroczystego materiału, naciągniętego na dziurę w ścianie, pękły, pociemniały w miejscu rozdarcia, skurczyły od środka na zewnątrz i już po chwili nic nie zamykało otworu. Silny powiew chłodnego wiatru przyniósł okrzyki z zewnątrz, głośne okrzyki wyrrywające się z wielkiego tłumu: „Co oni robią Władcy? Ratujcie Władcę! Zdradzili Władcę!”.

W tej chwili Graham zdał sobie sprawę z tego, że zamieszanie rozprasza uwagę Ostroga i że jego uścisk osłabł. Uwolnił się szarpnięciem, ukląkł, odrzucił od siebie Ostroga, zdołał wstać. Stając na jednej nodze chwycił go za gardło. Ostrog zacisnął mu szatę na szyi. Ale z podium zbiegali już ludzie, których intencji nie zrozumiał. Nieco dalej dostrzegł kogoś biegnącego w stronę kurtyny. Ostrog uwolnił się z jego uchwytu i w tym momencie dopadli go biegnący. Ku jego zdumieniu unieruchomili go. Wypełniali polecenia Ostroga!

Ciągnęli go przez kilka metrów nim zdał sobie sprawę, że nie są bynajmniej jego przyjaciółmi. Kiedy się zorientował, próbował stawiać opór, upaść, krzychał o pomoc ile sił w płucach. I tym razem doczekał się reakcji. Uścisk na jego szyi zelżał i proszę, w dziurze w ścianie pojawiły się czarne sylwetki, najpierw jedna, a potem następne. Graham usłyszał dodające odwagi okrzyki, najpierw jeden, potem drugi. Wdzierający się przez dziurę w ścianie dziko wymachiwali ramionami. Zeskakiwali z niej na galerię prowadzącą do mieszkania – więzienia. Rozbiegli się na niej tak bliscy, że widać było broń w ich rękach. Tymczasem Ostrog krzychał coś do swoich ludzi z ustami tak blisko ucha Grahama, że prawie go ogłuszał. Graham walczył z całej siły, by nie dać się wepchnąć w wejście, które przed chwilą otwarło się jakby właśnie dla niego.

– Nie zejda! – wydyszał Ostrog. – I nie ośmielą się strzelać. Wszystko w porządku. Możemy go jeszcze przed nimi ochronić.

Grahamowi wydawało się, że nieszczęsna walka o jego osobę trwa kilka minut. W kilku miejscach podarto na nim ubranie, cały pokryty był pyłem, ktoś nadepnał mu na rękę. Słyszał okrzyki swych stronników, usłyszał także i strzały. Czuł, jak opuszczają go siły, walczył coraz bardziej rozpaczliwie wiedząc, że walka nie ma sensu. Czekał na pomoc, lecz pomoc nie nadchodziła, a czarna ziejąca, oczekująca go jama była coraz bliżej i bliżej. Lecz nagle szarpiące go siły osłabły. Zdołał się wyprostować. Widział siwą głowę Ostroga odsuwającą się coraz dalej. Okazało się, że nikt go już nie trzyma. Odwrócił się, stanął twarzą w twarz z mężczyzną w czerni. Tuż obok nich rozległ się trzask zielonej broni, wciągnął w płuca haust duszącego dymu, błysnęła stal. Sala zaczęła wirować wokół niego. Widział, jak najwyżej trzy stopy od niego mężczyzna w bladoniebieskim kombinezonie dźga członka orszaku Ostroga, ubranego w czerń i żółć. I znów na jego ciele zacisnęły się mocne dłonie. Tylko teraz szarpano go w dwie strony.

Grahamowi wydawało się, że ktoś coś do niego krzyczy. Bardzo chciał zrozumieć treść tych okrzyków, lecz to mu się nie udało. Ktoś chwycił go także za uda, uniósł go w górę mimo jego gwałtownego oporu. I wówczas Graham zrozumiał. Zaniechał oporu. Niosący go ludzie oddalali się od ziejącej w ścianie, czekającej na niego jamy. Dziesiątki tysięcy głosów wiwatowało na jego cześć. A mężczyźni w niebieskich i czarnych kombinezonach ścigali uciekających zwolenników Ostroga, strzelając przez

cały czas. Patrząc z góry, ogarniając wzrokiem całą salę, Graham widział, że niosący go zmierzają w stronę podium, zajmującego cały jej środek. Przestrzeń sali za nim już była zajęta przez ludzi, wpatrzonych w niego i wznoszących okrzyki na jego cześć. Zauważył także, że jest chroniony. Otaczający go mężczyźni wydawali jakieś rozkazy. Najbliżej stał mężczyzna z czarnym wąsami, którego po raz pierwszy widział w grupie witających go w teatrze publicznym. On też wykrzykiwał rozkazy. Sala wypełniła się już po brzegi rozkołysanym tłumem, mała metalowa galeria ugięła się pod ciężarem krzyczących, zasłonę zerwano ukazując przedsiónek, także wypełniony po brzegi. Hałas panował tak przeraźliwy, że ledwie słyszał to, mówili stojący najbliżej.

– Gdzie znikł Ostrog? – spytał.

Ten, który usłyszał jego pytanie, wskazał mu otwarte, dolne panele w ścianie naprzeciw dziury. Wbiegali przez nie uzbrojeni ludzie w niebieskich kombinezonach przepasanych czarnymi szarfami, znikali w labiryncie pokoi i korytarzy. Graham miał wrażenie, że mimo hałasu słyszy odgłos strzałów. Niesiono go, bardzo szerokim łukiem, przez wielką salę ku dziurze w ścianie. Widział jak wśród tłumu rodzi się prymitywna dyscyplina i idący najbliżej skutecznie chronią go przed stratowaniem. Wyszedł z sali. Zobaczył przed sobą prowizoryczną murowaną ścianę, nad którą było tylko błękitne niebo. Pozwolono mu stanąć. Ktoś ujął go za ramię i poprowadził. Mężczyzna w żółtej szacie cały czas trzymał się blisko. Prowadzono go w górę po wąskich ceglanych schodach obok jakiejś wielkiej, pomalowanej na czerwono masy: dźwigów, ogromnych podnośników i nie pracujących w tej chwili silników maszyn budowlanych.

Schody się skończyły. Przeszli kilka kroków wąską, wyposażoną w poręcz galeryjką i nagle Graham miał przed oczami ruinę amfiteatru, wypełnioną rozkrzyczanym tłumem: „Władca! Władca jest z nami! Władca!”. Krzyk przeleciał nad oceanem twarzy jak fala, odbił się od klifu ruin i wrócił wzmocniony: „Władca jest z nami, jest z nami!”.

Graham zorientował się, że jest sam. Stał na małej, tymczasowej platformie z białego metalu, części pozornie kruchego rusztowania biegnącego wokół masywnego Gmachu Rady, a wokół niego ruiny aż roiły się od rozkołysanych, rozkrzyczanych ludzi. Tu i tam, pod łopoczącymi czarnymi flagami stowarzyszeń rewolucyjnych formowały się pierwsze ogniwa porządku. Na stromych stopniach, biegnących po ścianie budynku

i po rusztowaniach, stopniach, po których wybawcy Grahama wspięli się do sali Atlasa, także tłoczyli się robotnicy. Małe, energicznie poruszające się postaci, uczipione pionowych i poziomych elementów rusztowań, zachęcały tłumy do aktywności. Za plecami Grahama, po najwyższej części rusztowania, wspinali się ludzie niosący ogromny czarny sztandar. Przez dziury w ścianie poniżej widać było wypełnioną po brzegi salę Atlasa. Odległe płyty lotu na południu widać było bardzo wyraźnie w niezwykle przezroczystym powietrzu. Ze środkowej właśnie wzbijał się w powietrze jakby na powitanie nadlatujących aeroplanów.

– Co z Ostrogiem? – spytał Graham. Mówił jeszcze, gdy zorientował się, że ludzie nie patrzą już na niego, lecz na szczyt Gmachu Rady. On także spojrzał kierunku, który wydawał się interesować wszystkich. W pierwszej chwili wydawało mu się, że jest tam tylko postrzępiona ruina ściany, wyraźnie widoczna na tle nieba, lecz po krótkiej chwili dostrzegł też ukryte w cieniu zielono-białe dekoracje swego byłego więzienia. Przez ten pokój, teraz otwarty na świat, aż po samą granicę klifu ruin, pośpieszała figurka w bieli, a przy niej mniejsze w czerni i żółci. Stojący za nim mężczyzna krzyknął „Ostrog!”. Graham odwrócił się, spojrzał na niego pytająco. Nie zdążył, bo inny stojący blisko mężczyzna krzyknął nagle, wyciągnął rękę, wskazał coś chudym palcem. Powiódł za nim spojrzeniem i – tak! – to monoplan, który przed chwilą widział wzlatujący w powietrze, rósł dosłownie w oczach. Ten lot, płynny i szybki, nadal był dla niego nowością i nadal przykuwał jego uwagę.

Monoplan był coraz bliżej. Przemknął nad krawędzią ruin i teraz mogły go widzieć zgromadzone na dole tłumy. Obniżył nad nimi lot, po czym wzniósł się by przelecieć ponad najwyższym szczytem Domu Rady, krucha przezroczysta konstrukcja, sterowana przez samotnego aeronautę, patrzącego na nich poprzez konstrukcję kadłuba. W następnej chwili monoplan znikł za krawędzią ruin.

Graham przeniósł całą swą uwagę na Ostroga. Widział, jak Ostrog sygnalizuje coś ruchami rąk, a jego towarzysze pracownicy rozbijają ścianę, którą miał za plecami. W następnej chwili znów pojawił się monoplan, mały i daleki. Widać było, jak skręca szerokim łukiem, a jednocześnie zwalnia.

– Co oni tam robią? – wykrzyknął nagle mężczyzna w żółci. – Co tam robią ci ludzie? Dlaczego Ostrog jest na wolności? Trzeba było go złapać!

Zabiorą go, monoplan go zabierze! Ach!

Temu „Ach” odpowiedział dobiegający z ruin ryk. Graham usłyszał trzask strzałów z zielonej broni, a kiedy spojrzał w dół, dostrzegł kilkanaście osób w żółto-czarnych mundurach biegnących galerią od strony występu murów, na szczycie których stał Ostrog. Biegąc strzelali oni do niewidocznego dla obserwatorów przeciwnika, lecz już po chwili okazało się, że przeciwnikiem są ścigający ich robotnicy w niebieskich kombinezonach. Te małe, polujące na siebie postaci wywierały przedziwny efekt: wyglądały jak ołowiane żołnierzyki zaangażowane w bitwę dla zabawy. Sceneria: przecięty na połowę dom, widoczny rozkład wnętrza, nawet umeblowanie stwarzały poczucie nierealności. Odległość, dzieląca go od tych zdarzeń, wynosiła może dwieście jardów, w pionie, od poziomu ruin – i rojących się w ruinach ludzi – odległość wynosiła pięćdziesiąt jardów. Mężczyźni w czerni i żółci wbiegli pod otwarty łuk, odwrócili się, zaczęli strzelać. Jeden ze ścigających ich robotników w niebieskim, poruszający się szybko, bliski krawędzi, wyrzucił ramiona w górę, zatoczył się, na kilka sekund – tak się przynajmniej Grahamowi wydawało – zawisł w powietrzu, po czym runął z wysokości. Uderzył w wystający fragmentu muru i koziołkując w powietrzu, znikł za czerwonym ramieniem jakiejś maszyny.

W tym momencie pomiędzy słońce a stojącego na ziemi Grahama, wślizgnął się jakiś cień. Graham uniósł głowę. Niebo było czyste, on jednak wiedział, że przed chwilą nad jego głową przeleciał monoplan. Ostrog znikł z pola widzenia, za to przed nim wyrósł mężczyzna w żółci, spocony, podniecony, krzyczący z wyciągniętą ręką: „Przyziemią! Przyziemią! Rozkaż ludziom strzelać. Rozkaż ludziom strzelać do niego!”.

Graham nie rozumiał, o co mu chodzi. Usłyszał donośne głosy, powtarzające jego słowa. Nagle zobaczył dziób monoplanu wysuwający się zza krawędzi ruin i nieruchomiejący. Zrozumiał, że maszyna dotknęła ziemi, by zabrać Ostroga. W powietrze uniosła się niebieska mgiełka. Graham domyślił się, że monoplan ostrzeliwany jest od dołu, z ruin. Mężczyzna, stojący za jego plecami, krzyknął ochryple, z triumfem. Rebelianci w niebieskim przedarli się przez łuk, jeszcze przed chwilą broniony przez czarno-żółtych i teraz biegli bez przeszkód otwartym przejściem.

Monoplan ześlizgnął się nagle przez krawędź murów Domu Rady. Zaczął opadać niczym nurkująca jaskółka. Leciał pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ziemi, a był to lot tak stromy, że ani Grahamowi, ani prawdopodobnie tłumowi w ruinach nie wydawało się możliwe, by mógł znów wznieść się w powietrze. Przeleciał tak blisko niego, że wyraźnie widział Ostroga z rękami kurczowo zaciśniętymi na burcie, z rozwianymi siwymi włosami i białego jak papier aeronautę szarpiącego dźwignię, mającą skierować maszynę w górę. Słyszał też przerażony, zdławiony krzyk zgromadzonych na dole ludzi. Graham też zacisnął dłonie na poręczy. Każda sekunda wydawała się wiekiem. Pochylony, niższym skrzydłem monoplan omal nie dotknął ludzi, krzyczących ze strachu, przewracających się, depczących starszych.

A potem uniósł się w powietrze. Przez chwilę wydawało się jeszcze, że nie wzleci ponad wierzchołek przeciwległego klifu, a jeśli nawet, nie pokona wiatraka, obracającego się powoli nieco dalej. A jednak! Nadal pochyłona, lecz z wzniesionym dziobem, maszyna wzbiła się w niebo. Moment napięcia, spowodowanego dramatem chwili, w jednej chwili ustąpił rozczarowaniu i złości: ludzie zrozumieli, że Ostrogowi udało się zbiec. Z opóźnieniem pozbawiającym ich działanie sensu, niemniej zaczęli strzelać w górę, aż trzaski wystrzałów zmieniły się w jeden wielki huk, dym zasnuł całą okolicę, a powietrze przesycił ostry, wydzielany przez broń zapach.

Tak! Na strzały było już za późno. Latająca maszyna malała w perspektywie. Przechylona, zniżyła się i z wdziękiem osiadła na płycie, z której tak niedawno wzleciała. Ostrogowi udało się zbiec. Jeszcze przez chwilę z ruin dobiegały chaotyczne głosy rozgadanych ludzi, lecz wkrótce ich uwaga znów skupiła się na Grahamie, stojącym wysoko na rusztowaniu. Widział, jak twarze ludzi obracają się ku górze, słyszał, jak radują się z jego ocalenia. Wkrótce rozległa się śpiewana wieloma głosami pieśń rewolucji, coraz głośniejsza, jakby wiar przenosił jej tony wzdłuż i wszerz zgromadzenia. Mała grupa towarzyszących mu strażników głośno gratulowała mu ocalenia. Stojący najbliżej mężczyzna w żółci miał nieruchomą twarz, lecz w oczach błyszczały mu łzy. Pieśń rozlegała się coraz głośniej: „Ta tam, ram tam tam”.

Bardzo powoli Graham dostrzegał i rozumiał, co się właściwie zdarzyło i jaki ma wpływ na jego losy. Zdumiewające, jak dalece zmieniła się jego

sytuacja. Ostrog, który zawsze był przy nim, gdy ludzie wiwatowali na jego cześć, teraz nie tylko odszedł, lecz gorzej, stał się wrogiem. Nikt już nie mógł rządzić w jego imieniu. Zgromadzeni wokół niego przywódcy tłumów, organizatorzy pojedynczych akcji, czekali teraz na jego decyzje i u niego szukali odpowiedzi, co robić. Został królem, prawdziwym królem. Czasy, gdy był tytularnym władcą i marionetką, minęły.

Grahamowi bardzo zależało, by pokazać się z najlepszej strony, dokonać wszystkiego, czego się po nim spodziewano. Nerwy i mięśnie miał napięte do ostatecznych granic. Być może nie myślał jasno, lecz także nie bał się, ani nie czuł złości. Dłoń, na którą mu nadepnięto, rozgrzana pulsowała bólem. Denerwował się nieco niepewny, czy potrafi właściwie się zachować. Nie bał się, tak, oczywiście, że się nie bał, ale czy potrafi nie sprawiać wrażenia przestraszonego? W dawnym życiu o wiele bardziej denerwował się przy różnorodnych próbach zręczności. Bardzo pragnął podjąć jakieś działania już, teraz, zdawał też sobie sprawę z tego, że nie wolno mu zagłębiać się przesadnie w szczegóły ani nawet myśleć o tym, w jak szalenie skomplikowanej sytuacji się znalazł, bowiem jej rozważanie mogłoby go całkowicie sparaliżować.

Tam, daleko, niebieskie prostokątne płaszczyzny płyt lotu oznaczały jedno: Ostroga. Ostroga myślącego jasno, wiedzącego czego chce i zdecydowanego, podczas gdy on, Graham, nie wiedział co myśleć i jakie podjąć decyzje. A to przecież jemu przyszło walczyć o przyszłość świata.

ROZDZIAŁ XXIII

GRAHAM PRZEMAWIA

Przez pewien czas Władca Ziemi nie był nawet władcą własnego umysłu. Jego własna wola nie wydawała mu się jego wolą, a działaniami zaskakiwał sam siebie, był zaledwie elementem tego chaosu przedziwnych wydarzeń, który opanował całe jego jestestwo. Wiedział z pewnością tylko tyle, że czarni są w drodze do Londynu, że Helen Wotton ostrzegła przed nimi ludzi i że jest Władcą Ziemi, a każdy element jego wiedzy próbował wyprzeć pozostałe, gdy on sam wpatrywał się w wypełnione ruchliwym tłumem sale, wyniesione nad nimi przejścia, pokoje zajęte przez przywódców poszczególnych sekcji, hale kinowe i telefoniczne, okna, za którymi kłębiły się fale wzburzonego ludzkiego morza. Mężczyźni w żółtych mundurach, nazywani, proszę sobie wyobrazić, „oddziałowymi”, albo popychali go naprzód, albo posłusznie szli za nim, albo po trosze jedno i drugie, trudno to było jednoznacznie określić. A może to jakaś niewidzialna moc, z której istnienia nie zdawali sobie nawet sprawy, napędzała i jego, i ich?

Graham był w pełni świadom tego, że musi wygłosić mowę do Ludu Ziemi. Pewne poważne, uroczyste zdania, przelatujące mu przez głowę, były fragmentami tego, co zamierzał powiedzieć. Po kilku mniej ważnych zdarzeniach wraz z człowiekiem w żółci Graham znalazł się w małym pokoiku, w którym miał wygłaszać przemówienie.

Pokój ten wyglądał wręcz groteskowo nowocześnie. Pośrodku znajdował się jaskrawy owal, oświetlony z góry przez skierowane wprost w dół, ocienione lampy elektryczne. Poza owalem wewnątrz pogrążone było w mroku. Podwójne, doskonale dopasowane drzwi, przez które wszedł tu z wielkiej sali Atlasa powodowały, że panował tu niezwykle spokoj. Głuche stuknięcie w chwili, gdy się zamykały i zapadła nagle cisza, tak różna od ogłuszającego hałasu, towarzyszącego mu od wielu godzin, drżący krąg jasnego światła, szepty i ciche, szybkie, celowe ruchy pracujących tu ludzi, wywarły na Grahama bardzo dziwny wpływ. Rząd wielkich uszu

mechanizmu fonograficznego czekały na jego słowa, czarne oczy wielkich aparatów fotograficznych czekały, by coś zaczęło się dziać, metalowe pręty i zwoje kabli błyszcząły słabo, coś wirowało z irytującym szumem. Graham wszedł pod światło, jego ostry czarny cień zbiegł się małą plamką pod stopami.

Wiedział, co chce powiedzieć, lecz cisza i izolacja, oddalenie od tłumu, towarzystwo milczących, wyczekujących maszyn... tego się nie spodziewał. Jego wyznawcy wycofali się i znikli, a on znalazł się w tym świecie sam, przybysz znikąd, zmuszony od nowa odkryć samego siebie. W jednej chwili zmienił się, stał kimś innym, człowiekiem pełnym obaw, że nie dorósł do sytuacji. Pełnym obaw, że zachowa się sztucznie, teatralnie, że nie dopisze mu głos, że nie dopisze mu mózg. Zdumiony tym, co się z nim dzieje, zwrócił się do mężczyzny w żółci.

– Jeszcze chwilę – powiedział, podkreślając wagę tej prośby błagalnym gestem. – Poczekajmy jeszcze chwilę. Nie sądziłem, że tak to będzie wyglądało. Chciałbym przemyśleć sobie, co ma do powiedzenia.

Podczas, gdy on nadal się wahał, do pokoju wszedł podekscytowany posłaniec przynosząc wieści o tym, że pierwsze aeroplany przelatują właśnie nad Madrytem.

– Co dzieje się na płytach lotu? – spytał.

– Ludzie z sekcji południowo-zachodnich są gotowi.

– Gotowi! – Graham odwrócił się, ze zniecierpliwieniem spojrzał w ślepe kręgi soczewek. – A więc czas najwyższy, żebym przemówił. W Bogu nadzieja, że znajdę właściwe słowa. Aeroplany nad Madrytem! Musiały ruszyć przed właściwą flotą. Teraz nie ma już znaczenia, czy moja mowa będzie dobra, czy też zła.

Światła pojaśniały.

Graham wypowiedział kilka ogólników o demokracji, po czym ogarnęły go nagłe wątpliwości. Opuściła go wiara, że jest w nim coś z bohatera, że jest w stanie wypełnić swe powołanie, a pozostawione przez nią puste miejsce zajął obraz bezsensu próbującego, na próżno, przebyć niepojętą jałową pustynię. Jasno zdał sobie sprawę z tego, jak przedwczesny był jego bunt przeciw Ostrogowi, skazany na klęskę przejaw gwałtownej niezgody wobec nieuniknionego. Szybkie aeroplany, gotowe zadać mu cios, były jak narzędzia przeznaczenia. Zdumiewało go, że kiedykolwiek mógł myśleć inaczej. W chwili ostatecznego zagrożenia debatował w duszy sam ze sobą,

ale świadomie odsunął tę debatę na bok. Postanowił, że dokona tego, co zamierzał dokonać, choćby jemu samemu przyszło zapłacić za to bardzo wysoką cenę. Nie wiedział, od czego zacząć. Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Stał tak, niezdarny, wahający się, ze słowami przeprosin za moment słabości na wargach, kiedy usłyszał krzyk wielu ludzi i tupot biegnących.

– Czekaście! – dobiegł go donośny głos. Drzwi otworzyły się, światło w pokoju zbladło. Do środka weszła szczupła, krucha dziewczyna. Serce zabiło mu mocniej, bo to była Helen Worton. Mężczyzna w żółci wyszedł z cienia. Stał w kręgu światła.

– To ona powiedziała nam, co zrobił Ostrog – poinformował Grahama.

Dziewczyna poruszała się bardzo cicho, a potem stanęła nieruchomo, jakby nie chciała przeszkadzać Grahamowi. Jej pojawienie miało na niego zbawienny wpływ. Wątpliwości opuściły go natychmiast i już nie szukał odpowiedzi na pytania bez odpowiedzi. Odwrócił się w stronę aparatów, padające na niego z góry światło pojaśniało.

– Pomogła mi pani – powiedział, jękając się. – Bardzo mi pani pomogła... to takie trudne.

Przerwał, a potem zwrócił się do niewidzialnych tysięcy, obserwujących go przez groteskowe czarne ślepie. Przemówił, na początku bardzo powoli.

– Ludzie! Kobiety i mężczyźni nowej ery! Powstaliście, by bić się o naszą rasę. Zwycięstwo nie będzie łatwe. – Umilkł. Szukał słów. Jakże chciałby mieć dar gładkiej mowy!

– Ten dzień to zaledwie początek. Bitwa, którą przyjdzie nam stoczyć, bitwa zbliżająca się wielkimi krokami, to zaledwie początek. Być może będziecie musieli walczyć przez całe wasze życie. Niech was nie zniechęci, gdybym został pobity. Niech was nie zniechęci, gdyby pozbawiono mnie władzy. Bo może do tego dojść.

To, o czym Graham myślał w tej chwili nie dawało się ująć w słowa. Umilkł na chwilę, wygłosił kilka banalnych wezwań, po czym, nieoczekiwanie, odnalazł właściwe słowa. To, co powiedział, odwoływało się bezpośrednio do humanitarnych ideałów nieistniejącego już świata, mówił jednak tak przekonująco, że ideały te odżyły. Przedstawił stanowisko z przeszłości ludziom nowej ery i dziewczynie, stojącej przy jego boku.

– Przybyłem do was z przeszłości. Pamiętam czasy nadziei. Żyłem w tych czasach. Piastowaliśmy wówczas szlachetne marzenia. Na całym

świecie znieśliśmy niewolnictwo. Całemu światu zaszczepiliśmy pożądanie i przekonanie, że wojny mogą się skończyć, że wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni mogą żyć godnie, szlachetnie, w wolności i spokoju. Tego oczekiwaliśmy, lecz cóż stało się z naszymi nadziejami? Jak wygląda ludzkość po dwustu latach? Gigantyczne miasta, gigantyczna potęga, zbiorowa wielkość, o której nawet nie śniliśmy. Nie myśleliśmy o nich, a jednak powstały. Co jednak z życiem pojedynczych ludzi, bez których nie ma wielkiego zbiorowego życia? Jak żyją zwykli ludzie? Jak zawsze: żałośnie, zapracowani, w nędzy, kuszeni potęgą, kuszeni bogactwem, z nadziejami, które się nie spełniają i tak aż do śmierci. To, w co my wierzyliśmy, przeminęło i znikło. Czy powstała nowa wiara? Litość i miłosierdzie – mówił dalej Graham, bezładnie, zacinając się. – Piękno i miłość do tego, co piękne. O to trzeba walczyć, temu się poświęcić, tak jak ja się poświęcę, tak jak Chrystus poświęcił się na krzyżu. Nie szkodzi, że nie rozumiecie. Nie szkodzi, jeśli będzie się wam wydawało, że zawiodziecie. W sercu... w głębi serca... przecież wiecie. Nikt nie może wam niczego obiecać... nikt nie da wam pewności... pozostaje wyłącznie wiara. Nie ma innej wiary... a ona jest wolnością.

Graham ze zdumieniem stwierdził, że uwierzył wreszcie w to, w co tak bardzo chciał kiedyś wierzyć. Wyrzucał z siebie słowa nieskładne, urywane zdania, ale mówił z serca, z przekonaniem, mając oparcie w tej nowej wierze. Mówił o wielkości wyrzeczenia się siebie, o przekonaniu, że istnieje coś większego od nas samych, że to interes ludzkości nadaje sens temu, co robimy. Jego głos wznosił się i opadał, urządzenia nagrywające szemrały cicho, obsługa przyglądała mu się z cieni. Świadomość obecności milczącej słuchaczki pomogła mu pozostać szczerym. Na kilka wspaniałych chwil dał się ponieść, przestał wątpić w swe męstwo, przestał wątpić w wypowiedane słowa, mówił gładko i wprost. Nie zaciął się już i nie jąkał, a zakończył słowami:

– Tu i teraz poznacie mą wolę. Wszystko, co moje na tym świecie, oddaję ludziom tego świata. Wszystko, co moje na tym świecie oddaję ludziom tego świata, wam wszystkim. Daję wam wszystko, co mam i daję wam siebie. Bóg zdecyduje dziś, czy będę dla was żył, czy dla was umrę.

Na tym zakończył. Spojrzał na dziewczynę. Jasny blask jego uniesienia odbijał się w jej twarzy. Ich oczy się spotkały. Płakała, lecz były to łzy entuzjazmu.

– Wiedziałałam – szepnęła. – O, ojciec świata... Panie! Wiedziałałam, że powiesz właśnie to.

– Powiedziałem, co potrafiłem – odparł Graham z wysiłkiem. Uchwycił jej wyciągnięte dłonie, wsparł się na nich.

ROZDZIAŁ XXIV

GDY AEROPLANY NADLATUJĄ

Obok Grahama pojawił się mężczyzna w żółci. Ani on, ani dziewczyna nie zauważyli jego nadejścia. Poinformował, że sekcje południowo-zachodnie już maszerują.

– Nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko – oznajmił, nie kryjąc entuzjazmu. Dokonali cudu! Powinien pan posłać im pomocne słowo.

Przez chwilę Graham patrzył na niego z roztargnieniem, a potem drgnął. Przypomniał sobie o południowo-zachodnich płytach lotu.

– Tak, tak, oczywiście. To dobrze, to bardzo dobrze. Proszę powiedzieć im ode mnie... powiedziec: „Dobra robota, południowy zachodzie”.

I znów zapatrzył się na Helen Wotton. Jego twarz zdradzała, że toczy walkę z samym sobą.

– Musimy opanować płyty – wyjaśnił jej. – Jeśli nie zdołamy to wysadzą czarnych, a temu musimy zapobiec bez względu na koszty.

Jeszcze wypowiadając te słowa uświadomił sobie, że nim mu przerwano zamierzał powiedziec coś zupełnie innego. W oczach dziewczyny dostrzegł błysk zdumienia. Już miała coś powiedziec, kiedy powietrze rozdarł przeraźliwy dźwięk dzwonka. Graham zrozumiał, że oczekiwała, by poprowadził lud. I że tak powinien postąpić. Natychmiast głośno oznajmił, że tak właśnie postąpi. Widział, jak twarz dziewczyny rozjaśniła się.

– Bo tutaj nie robię nic pożytecznego – dodał.

– To niemożliwe – zaprotestował mężczyzna w żółci. – Czeka nas wojna w ludzkim mrowisku. Pana miejsce jest tu.

Dokładnie wyjaśnił, co ma na myśli. Wskazał pokój, w którym Graham miał czekać, z całą stanowczością odrzucił inne możliwości.

– Musimy wiedziec, gdzie pana szukać – wyjaśnił. – W każdej chwili może dojsć do kryzysu, wymagającego pańskiej obecności i pańskich decyzji.

Przed oczami Grahama pojawił się obraz wielkiej, koszmarnej bitwy. Obecność ludzkich mas w ruinach wręcz taki obraz narzucała. Ale nie dla niego było widowiskowe pole bitwy. On miał przebywać w odosobnieniu... i w niekończącym się napięciu.

Dopiero późnym popołudniem udało mu się zyskać prawdziwy obraz bitwy, toczącej się niewidzialnie i niesłyszalnie, cztery mile dalej, pod płytą Roehampton. Była to dziwna bitwa, bitwa bez precedensu, bitwa składająca się z setek tysięcy małych bitew, toczona w labiryncie korytarzy i kanałów, gdzie niebo i słońce zastępował blask elektrycznych lamp, chaotyczna, pochłaniająca masy uzbrojonych, lecz nie wyćwiczonych żołnierzy, dowodzonych przez wybranych spośród siebie amatorów, otepiałych od ciężkiej, bezmyślnej pracy, zniewolonych dwustuletnią tradycją służenia tym, przeciw którym wystąpili, zdemoralizowanym drobnymi przywilejami i poczuciem bezkarności. Walczące strony nie dysponowały bronią ciężką, obie uzbrojone były w małe metalowe zielone karabinki, których masowa produkcja i błyskawiczna, sprawna dystrybucja były ostatnim argumentem Ostroga w jego walce przeciw Radzie. Niewielu miało doświadczenie w ich użyciu, wielu zaś jeszcze nigdy nie wystrzeliło, niektórzy mieli karabinki, lecz nie mieli amunicji; tak chaotycznej walki nie znała historia. Tak wyglądała wojna amatorów, ohydna eksperymentalna wojna nieoczekiwanie uzbrojonych uczestników zamieszek z innymi uczestnikami zamieszek, porwanymi melodią i słowami pieśni, czerpiącymi otuchę z liczebności, rozlewającymi się po coraz węższych korytarzach, po szybach unieruchomionych wind, galeriach śliskich od krwi, po salach wypełnionych duszącym dymem, by znaleźć się, wreszcie, pod płytami i tam, skąd nie było odwrotu, uczyć się starożytnych misterii sztuki wojennej. A tymczasem nad ich głowami trwał zwykły, pogodny dzień, którego pogodną zwykłość zakłócali tylko nieliczni snajperzy na dachach i cienkie pasemka dymu, gęstniejące ku wieczorowi. Wydawało się, że Ostrog nie dysponuje już bombami, a w tych wczesnych stadiach bitwy latające maszyny nie odegrały żadnej roli.

Na szerokim, rozświetlonym niebie nie było nawet najmniejszej chmurki, jakby tylko czekało na zakłócające jego spokój aeroplany. Od czasu do czasu dochodziły wieści, jakoby były coraz bliżej, najpierw z jednego hiszpańskiego miasta, potem z drugiego, a ostatnio już z Francji. Natomiast o nowej broni, którą Ostrog miał wyprodukować i która z całą

pewnością była w mieście nie słyszał nikt, mimo iż Graham nakazał pilne jej poszukiwania, nie przychodziły także żadne wieści o tym, co dzieje się u podstaw płyt lotu, mimo iż toczyły się tam główne walki. Jedna po drugiej sekcje Stowarzyszeń Pracy meldowały o koncentracji, o tym, że ruszają do boju, a potem znikwały bez słowa w labiryncie pola walki. Co się tam działo? Nawet bardzo zajęci dowódcy sekcji nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie. Mimo, iż drzwi nieustannie otwierały się i zamykały, mimo pośpiechu posłańców, przenikliwego hałasu dzwonek oraz nieustannego grzechotu urządzeń rejestrujących Graham czuł się samotny, izolowany, dziwnie pasywny, niezdolny do działania. A najbardziej zaskakujące ze wszystkiego, co zdarzyło się po przebudzeniu, było poczucie izolacji. Miało w sobie coś z bierności, tak charakterystycznej dla marzeń sennych. Najpierw chaos i ta przerażająca świadomość, że toczy się wojna, prawdziwa wojna między Ostrogiem a nim samym, a teraz mały przytulny pokój z mikrofonami, dzwonekami i pękniętym lustrem. A kiedy drzwi pozostawały zamknięte, kiedy Graham i Helen zostawali sami, odcięci od bezprecedensowej burzy, rozpętanej w nowym świecie, stawali się świadomi swej obecności i tylko ona się dla nich liczyła. A potem drzwi znowu się otwierały, wpadali posłańcy, albo przywoływał ich do rzeczywistości ostry brzęk dzwonka i było tak, jakby od podmuchu huraganu otwierało się z hukiem okno solidnie zbudowanego, jasno oświetlonego domu. Groźny tumult i zamieszanie, napięcie, gwałt toczącej się bitwy, wypełniały wówczas ich azyl, pociągały oboje za sobą. Nie byli już zwykłymi ludźmi, lecz zaledwie obserwatorami, bezsilnymi świadkami wstrząsów zdolnych zburzyć świat. Nie wydawali się rzeczywistni nawet sobie nawzajem, miniatury osobowości, nieopisanie drobne, a rzeczywistościami w konflikcie, były tylko miasto, drżące od ciosów, broniące się z rozpaczliwą siłą i zbliżające się do niego nieuchronnie aeroplany, pokonujące okrągłe ramiona świata.

Nagle za drzwiami wszczęło się zamieszanie, rozległ się szybki tupot stóp. Dziewczyna zeszywniała, zdumiona, niezdolna wykrztusić słowa. Metalicznie brzmiące głosy krzychały „Zwycięstwo!”. Tak, rzeczywiście, krzychały: „Zwycięstwo!”. Do środka wpadł mężczyzna w żółci, zdumiony i rozczochrany.

– Zwycięstwo! – krzychał. – Zwycięstwo! Nasi zwyciężają! Ludzie Ostroga poszli w rozsypkę.

– Zwycięstwo? – spytała dziewczyna z niedowierzaniem.

– Jak to? – zdumiał się Graham. – Powiedz mi co się stało!

– Wyparliśmy ich z dolnych galerii w Norwood. Streatham płonie, ogień jest nie do opanowania. Roehampton jest nasze! Nasze! Zdobyliśmy także monoplan!

Rozległo się przeraźliwe dzwonienie. Z pokoju zajmowanego przez dowódców sekcji wybiegł siwy mężczyzna.

– To już koniec! – krzyknął. – Zdobyć Roehampton nie ma znaczenia. Aeroplany widziano nad Boulogne!

– Nad Kanałem! – mężczyzna w żółci policzył szybko. – Pół godziny.

– Działa? – spytał Graham podniesionym głosem.

– Nie ustawimy ich. Nie w pół godziny.

– Chce mi pan powiedzieć, że zostały odnalezione?

– Za późno – powiedział stary.

– Gdybyśmy tylko mogli powstrzymać ich na godzinę! – krzyknął mężczyzna w żółci.

– Nic ich już nie powstrzyma – stwierdził z rezygnacją stary. – Ich pierwsza flota to prawie sto aeroplanów.

– Godzina? – upewnił się Graham.

– A było tak blisko – powiedział dowódca sekcji. – Przecież znaleźliśmy działa. Tak blisko... gdybyśmy tylko mieli czas, żeby ustawić je na dachach...

– Ile to potrwa? – spytał ostro Graham.

– Godzinę... nie krócej.

– Za długo – rozpaczał dowódca. – Za długo.

– Czy aby na pewno? – powiedział Graham z namysłem. – Nawet teraz... godzina, tak?

W głowie zaświtała mu pewna myśl. Starł się wypowiedzieć ją spokojnie, ale twarz miał bardzo bladą.

– Jest pewna szansa. Mówiliście, że mamy monoplan...

– Na płycie Roehampton, panie.

– Jest zniszczony?

– Nie. Leży pod kątem. Można go ustawić na prowadnicach, to nie problem. Tylko brak nam aeronautów.

Graham spojrzał najpierw na jednego mężczyznę, potem na drugiego, a wreszcie na Helen.

– A więc nie mamy aeronautów? – powtórzył.
– Ani jednego.
– Więc ja to muszę zrobić – powiedział Graham, jakby mówił wyłącznie do dziewczyny.
– Zrobić co?
– Udać się na płytę. Do maszyny.
– Nie rozumiem.
– Ja jestem aeronautą. Okazuje się... okazuje się, że dni spędzone na zabawie, za które tak mnie pani ganiła, nie zostały jednak zmarnowane.
– Graham spojrział na starego mężczyznę w żółci. – Proszę im powiedzieć, że mają nałożyć monoplan na prowadnice.
– Co zamierza pan zrobić?! – krzyknęła Helen. Mężczyzna w żółci zawahał się.
– Monoplan... ten monoplan to nasza szansa...
– Chyba nie ma pan zamiaru...
– Jeśli pyta pani, czy mam zamiar walczyć, to tak. Myślałem o tym wcześniej... duży aeroplan to kapryśna maszyna i zdecydowany aeronauta...
– Ale to nigdy... od czasu skonstruowania... – protestował mężczyzna w żółci.
– Bo nie było takiej potrzeby. Pojawiła się teraz... teraz jest właściwy czas. Poleć im... wyślij moje polecenie... by umieścili maszynę na prowadnicach. Nareszcie mam coś do zrobienia. Wiem, po co tu jestem.
Stary mężczyzna, słuchający go w osłupieniu, skinął głową i wyszedł pośpiesznie. Helen zrobiła krok w stronę Grahama. Była bardzo blada.
– Ależ... panie... chcesz walczyć? Przecież zginiesz!
– Być może. A jednak nie walczyć... pozwolić, by spróbował ktoś inny...
– Przecież pan zginie – powtórzyła dziewczyna.
– Podjąłem decyzję. Czy pani nie rozumie? Mogę... mogę ocalić Londyn!

Graham umilkł. Nie miał już nic do powiedzenia. Gwałtownym gestem odsunął na bok wszelkie wątpliwości. Oboje długo patrzyli sobie w oczy. Ale oboje wiedzieli też, że Graham musi odejść. Przyjął na siebie rolę bohatera, a od niej nie było ucieczki. Do oczu Helen tymczasem napłynęły

ły. Zrobiła krok w jego stronę, dziwnie wyciągając ramiona, jakby straciła wzrok. Ucałował jej dłoń.

– Dlatego – krzyknął – warto się było przebudzić.

Przez chwilę tulił Helen do siebie niezdarnie, pocałował nawet włosy na jej opuszczonej głowie, a potem odsunął się i spojrzał na pozostałego w pokoju mężczyznę. Nie mógł mówić, więc tylko gestem rozkazał mu: Prowadź!

ROZDZIAŁ XXV

NADLATUJĄ AEROPLANY

Dwaj mężczyźni w bladoniebieskich kombinezonach leżeli przy nieregularnej krawędzi płyty Roehampton. Ściskając w garści karabinki wpatrywali się w pogrążoną w ciemności płytę nazywaną Wimbledon Park. Od czasu do czasu wymieniali parę zdań. Używali kalekiego, uproszczonego angielskiego, charakterystycznego dla przedstawicieli ich klasy. Ogień ostrogitów osłabł, a potem w ogóle umilkł, od czasu do czasu widziało się tylko pojedynczych przeciwników. Ale walka nadal się toczyła, na dolnych piętrach konstrukcji. Od czasu do czasu na górę dobiegały jej echa, wraz z okrzykami żołnierzy wojska ludu. Jeden z mężczyzn opowiadał drugiemu, jak dostrzegł wroga kryjącego się za belką konstrukcyjną na dole, jak wymierzył nie wahając się ani przez chwilę i jak trafił, gdy wróg nieostroźnie wychylił się z ukrycia.

– Nadal leży, o tam. Widzisz tę małą plamkę? Między dwoma prętami?

Kilka metrów za nimi leżał na wznak trup nieznanego im mężczyzny. Niebieskie płótno jego kurtki tliło się wokół niewielkiej, ciemnej dziurki na piersi. Tuż obok niego siedział ranny z niedbale opatrzoną nogą. Nieruchomym, obojętnym spojrzeniem śledził postęp płomieni. Za plecami ich wszystkich w poprzek prowadnic leżał przechwycony monoplan.

– Teraz go nie widzę – powiedział drugi mężczyzna, pragnąc sprowokować strzelca, który natychmiast podniósł głos i zaczął dowodzić swych racji, używając wyjątkowo ordynarnego języka. Przerwały mu dobiegające z dołu głośnie krzyki.

– A to co znowu? – warknął strzelec, unosząc się i podpierając na łokciu, żeby lepiej widzieć. Obserwował środkową bruzdę płyty. Grupa ludzi w niebieskich strojach, która właśnie z niej wychodziła, rozsypała się po niej. Zmierzała w ich kierunku.

– Niepotrzebni nam tu ci głupcy – warknął jego towarzysz. – Tłoczą się, przepychają i psują mi strzały. Czego oni tu chcą?

– Ciii... coś krzyczą.

Obaj żołnierze zamilkli i nadstawili uszu. Nowo przybyli otoczyli maszynę ciasnym kręgiem. Trzej dowódcy sekcji, łatwi do rozpoznania dzięki czarnym pelerynom i oznakom, wdrapali się na kadłub. Szeregowcy chwycili skrzydła, jeden przy drugim, nie pozostawiając wolnego cala, w niektórych miejscach stało ich nawet trzech, jeden za drugim. Jeden ze strzelców uniósł się na kolana.

– Stawiają monoplan na nośniku – powiedział. – O to im chodzi.

Obaj strzelcy wstali, wyprostowali się.

– Ale po co? – zdziwił się drugi. – Przecież nie mamy aeronautów.

– A jednak.

Pierwszy strzelec popatrzył na swój karabinek, potem na dobywających wszystkich sił nowo przybyłych, wreszcie zwrócił się do rannego.

– Potrzyj mi to, dobrze? – Podał mu broń i taśmę z amunicją. Podbiegł do monoplanu. Przez kwadrans ciągnął i pchał, wykrzykiwał polecenia i robił, co mu polecono okrzykami, a potem praca została wykonana, a on stał, jeden wśród wielu, wiwatując na cześć tego osiągnięcia. Dowiedział się już tego, o czym wiedzieli wszyscy w mieście: że Władca, choć tak niedawno opanował sztukę latania, zamierzał sam lecieć monoplanem. Że jest już blisko, przejmie kontrolę, nie pozwoli spróbować nikomu innemu. „Ten, kto naraża się na największe niebezpieczeństwo, ten kto dźwiga największy ciężar, ten jest królem” – tak miał powiedzieć Władca. I podczas gdy człowiek ten wznosił radosne okrzyki, a z pomiędzy rozczochranych włosów krople potu ciągle spływały mu na czoło, usłyszał nagły grzmot i rytmiczne skandowanie – wiele głosów jednym głosem śpiewających pieśń rewolucji. Tłum rozluźnił się nieco, widział więc, jak jacyś ludzie pną się po schodach na płytę gęstym, szerokim strumieniem. Rozległy się okrzyki „Władca nadchodzi!”, „Śpiący, nasz Pan!”, „Władca i Bóg jest wśród nas!”. Nagle, tuż obok niego, pojawili się ludzie w czarnych mundurach gwardii rewolucyjnej, a po chwili, po raz pierwszy w życiu, zobaczył Grahama, tak bliskiego, że mógł go ręką dotknąć. Wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę w powiewających czarnych szatach, o twarzy bladej lecz stanowczej, patrzącego wprost przed siebie. Mężczyznę w najmniejszym stopniu nie zainteresowanego tym, co dzieje się wokół niego. Do końca swych dni mężczyzna ten miał zapamiętać śmiertelnie bladą, bezkrwistą twarz Grahama, a twarz

ta tymczasem tak szybko, jak się pojawiła, znikła mu z oczu i teraz musiał walczyć z naporem kołyszącego się tłumu. Zapłakany ze strachu dzieciak wpadł na niego z rozpędu. Krzyczał: „Zejdźcie z płyty, głupcy. Przygotować się do startu! Do startu!”.

Okrzyk ten dzwonił w uszach Grahama, gdy podchodził on do monoplanu i znikał w cieniu jego skrzydła. Wokół niego kręcili się ludzie, oferowali pomoc i towarzystwo. Oganiał się przed nimi gestami. Jego zadaniem było teraz uruchomienie silnika. Dźwięk dzwonu był coraz głośniejszy, coraz bardziej nagły, podobnie jak tupot stóp cofających się ludzi. Mężczyzna w żółci pomógł mu precyzyjnie się między zebrani konstrukcji. Zajął miejsce aeronauty, dopasowywał się do niego niespiesznie i z wielkim namysłem. Ale... czy coś się stało? Mężczyzna w żółci wskazywał palcem dwie małe latające maszyny, wzbijające się w południowe niebo. Ich zadaniem było niewątpliwie poszukiwanie nadlatujących aeroplanów. On zaś musiał skupić się w tej chwili na starcie. Ludzie krzyczeli do niego, zadawali pytania, ostrzegali. Przeszkadzało mu to, nie mógł skupić się na urządzeniu, przypomnieć sobie drobiazgi, czynności opanowane przecież już wcześniej. Machnął nakazując wszystkim, żeby się odsunęli. Jego ubrany w żółty mundur towarzysz cofnął się przez ozebrowanie, zebrani usłuchali go i zajęli bezpieczne miejsca.

Graham zapatrzył się na dźwignie, na koło zmieniające pozycję silnika, na delikatne przyrządy, o których wiedział tak niewiele. Jego wzrok padł na poziomice i pęcherzyk powietrza przy jej bliższym końcu. Coś sobie przypomniał. Kilkanaście sekund zajęło mu przesuwanie silnika naprzód, aż wreszcie pęcherzyk zajął pozycję dokładnie pośrodku. Przy okazji zauważył, że ludzie nie krzyczą już, z pewnością uważnie obserwowali jego pełne wahania zachowanie. Kula uderzyła w pręt nad jego głową. Kto strzelał? Czy droga przed nim była wolna? Wstał, żeby to sprawdzić, a potem znów usiadł.

Śruba obracała się już, maszyna ruszyła po prowadnicach. Graham chwycił koło, przesunął silnik do tyłu, by unieść dziób. Ludzie znów zaczęli wywatować. Jeszcze chwila i Graham poczuł, że drży w rytmie drgań silnika. Krzyki cichły za jego plecami, aż wreszcie umilkły. Pozostało tylko gwizd wiatru na krawędziach osłony. Świat oddalał się od niego z błyskawiczną szybkością.

„Pyr, pyr, pyr... pyr, pyr, pyr...”. Aeroplan wznosił się w niebo. Graham udawał sam przed sobą, że opuściło go wszelkie podniecenie, że jest spokojny i panuje nad sytuacją. Podniósł dziób jeszcze odrobinę. Otworzył wentyl na lewym skrzydle. Skręcił, nadal się wznosząc. Spokojnie spojrział w dół, a potem w górę. Jeden z monoplanów Ostrogitów leciał pod kątem do jego kursu, przez co ich maszyny nieuchronnie się do siebie zbliżały i gdyby nic się nie zmieniło, miałyby ją lecąc niżej i pod ostrym kątem. Mali z tej odległości aeronauci przyglądali mu się z góry. Co zamierzali? Graham znów zaczął myśleć. Jeden z nich trzymał wymierzoną w niego broń, zdaje się, że gotową do strzału. Czego się po nim spodziewali? Ich taktyka okazała się nietrudna do rozszyfrowania. Wyrwany z letargu potrafił podjąć natychmiastową decyzję. Otworzył dwa kolejne wentyle po lewej, zawrócił, wymierzył dziób w maszynę wroga, zamknął wentyle i ruszył wprost na nią. Dziób jego monoplanu oraz osłona przeciwwiatrowa osłaniały go od strzałów. Ostrogici lekko zmienili kurs, jakby chcieli go przepuścić. Graham poderwał dziób.

„Pyr, pyr, pyr – przerwa. Pyr, pyr, pyr – przerwa”. Zacisnął zęby, twarz miał skrzywioną w nieświadomym grymasie. Trzask! Trafiał! Uderzył od dołu w bliższe skrzydło. Widział, jak poszerza się pozornie, to siła uderzenia wygięła je do góry. Zdołał jeszcze dojrzeć całą jego szerokość, po czym wrogi monoplan ześlizgnął się w dół i znikł mu z oczu. Tymczasem dziób jego maszyny pochylił się wyczuwalnie, więc zacisnął dłonie na dźwigniach. Silnik cofnął się, dziób poszedł w górę, Graham doznał wrażenia, że leży na wznak. Maszyna zataczała się, drząc, wydawała się tańczyć na tylnym pędniku. Z największym wysiłkiem, zmagając się z dźwigniami, Graham zdołał jednak przesunąć silnik ku dziobowi. Nadal wznosił się, lecz już nie tak gwałtownie. Odpoczywał przez chwilę, ciężko oddychając, po czym znów mocno chwycił dźwignie. Słyszał dobiegający ze wszystkich stron świst wiatru. Kolejna, wymagająca wielkiego wysiłku próba i monoplan leciał już niemal poziomo. Graham mógł już odetchnąć spokojnie. Mógł też, po raz pierwszy od momentu starcia, odwrócić głowę, by sprawdzić, co stało się z jego przeciwnikiem. Sprawdził jeszcze dźwignie, a potem obejrzał się. Przez chwilę miał nieodparte wrażenie, że monoplan Ostrogitów znikł, został całkowicie zniszczony, ale dostrzegł, że między dwiema płytami na wschodzie jest przerwa i że w tę przerwę wpada coś, jakiś mały krążek, wpada i niknie jak sześciopensówka w szczelinie

chodnika. Nie od razu zrozumiał co widzi, lecz kiedy zrozumiał, ogarnęła go wielka radość. Krzyknął ile sił w płucach, a maszynę skierował w niebo. Wzlatywał coraz wyżej i wyżej. „Pyr, pyr, pyr – przerwa. Pyr, pyr, pyr – przerwa”. A gdzie ten drugi – zadał sobie pytanie. – Oni też... Rozglądał się po pustym niebie pełen obaw, że druga maszyna zdołała wznieść ponad niego, ale nie, dostrzegł ją osiadającą na płycie Norwood. Stać ich było tylko na strzelanie, ryzyko staranowania dwa tysiąca stóp nad ziemią było wyzwaniem ponad męstwo współczesnych.

Przez pewien czas krążył na stałej wysokości, a następnie zniżył się, stromo i szybko, nad zachodnią płytę. „Pyr, pyr, pyr. Pyr, pry, pyr”. Zmrok zapadał szybko. Dym nad płytą Streatham, gęsty i czarny, stał się kolumną ognia, a koronkę ruchomych traktów, przezroczyście dachy i kopuły, a także przepaści między budynkami, rozjaśnił elektryczny blask, do tej pory tłumiony jaśniejszym blaskiem słońca. Z trzech funkcjonujących platform, obsadzonych przez Ostrogitów – trzech, bowiem Wimbledon Park nie nadawała się do wykorzystania ze względu na możliwość ostrzelania z Roehampton, zaś Streatham płonęła, rozżarzona jak piec – biło światło, wskazujące drogę nadlatującym aeroplanom. Przeleciał nad Roehampton, usłyszał gorączkowe wiwaty i bzyk kuli wystrzelonej z Wimbledon Park.

Wyleciał nad pustkowia Surrey. Poczul podmuch wiatru z południowego zachodu. Uniósł skierowane na zachód skrzydło, tak jak się tego nauczył, uniósł się w górę, trafiając na nieczęsto spotykany szybki prąd powietrza. „Pyr, pyr, pyr”. Wznosił się, wznosił w pulsującym rytmie pracy silnika, aż świat pod nim zatonął w zamazującej kształty niebieskiej mgiele, a Londyn stał się swą własną, przetykaną światłami mapą, model miasta opierający się o horyzont. Na wschodzie niebo wyglądało jak szafirowa ściana opadająca za krawędź świata, a gdy wzleciał jeszcze krok wyżej, nad jego głową rozbłysły jasne gwiazdy.

Ach, oczywiście! Od południa zbliżały się szybko dwie jasne, mgliste plamki, a za nimi jeszcze dwa, jasne szybkie kształty. Mógł je już policzyć. Cztery i dwadzieścia. Pojawiła się pierwsza flota aeroplanów. A za nimi widział większą plamę światła.

Zatoczył łuk, by móc lepiej przyjrzeć się nadciągającej flocie. Przyjęła kształt klina, trójkątna formacja fosforyzujących kształtów, rosnących w miarę, jak pokonywały szybko dolne warstwy powietrza. Graham ocenił jej szybkość, a potem przekręcił małe kółko poruszające silnik, przesuując

go ku dziobowi. Dotknął dźwigni. Tętnienie silnika ustało. Zaczął spadać, spadał coraz szybciej i szybciej. Mierzył w wierzchołek klina. Spadał jak kamień, powietrze świszczało ogłuszająco. Miał wrażenie, że nie minęła sekunda, a już jego monoplan uderzył w pierwszy aeroplan formacji. Nikt z mnóstwa czarnych na pokładzie nie dostrzegł zbliżającego się skrzydlatego przeznaczenia, nikt z nich nie wyobrażał sobie nawet, że jastrzęb może zaatakować go wprost z wysokiego nieba. Ci, którym przytomności nie odebrał ciężki przypadek choroby powietrznej, z wyciągniętymi szyjami szukali wzrokiem obrazu miasta, mającego lada chwila wyłonić się zza zasłony delikatnej mgiełki. Wielkiego, wspaniałego miasta, które „Massa Szeł” oddał w ich mocarne ręce. Czarne twarze lśniły, błyskały bardzo białe zęby. Negrzy wiedzieli, że białe śmiecie dostarczą im wyśmienitej rozrywki.

I wówczas nastąpiło uderzenie.

Graham mierzył w kadłub aeroplanu, ale w ostatniej chwili przez głowę przeleciała mu lepsza myśl. Skorygował lot. Wymierzył w miejsce tuż przy krawędzi prawoburtowego skrzydła, zderzył się z nim z całą swą zsumowaną wagą. Poczł szarpnięcie. Dziób monoplanu prześlizgnął się po szerokiej gładkiej powierzchni ku jej krawędzi. Ogromne pokrycie przesuwalo się sprawiając wrażenie, że niesie ze sobą także monoplan, przez chwilę wydającą się trwać wieki nie był pewien, co się właściwie dzieje. Słyszał ryk tysięcy gardeł. Wyczuł, że jego maszyna balansuje na krawędzi wielkiego pływaka i że się po nim zsuwa. Obejrzał się przez ramię. Grzbiet aeroplanu i przeciwległy pływak wygięły się do góry. Przez żebra kadłuba dostrzegł przesuwające się fotele, nieruchome wpatrzone w niego twarze, ręce kurczowo zaciśnięte na wginających się poręczach. Otwarły się otwory w pływaku, aeronauta próbował wyprostować maszynę. Lecący za nią drugi aeroplan wznosił się, by uniknąć wywołanych zdarzeniem zawirowań. Szerokie, kołyszące się skrzydła podskoczyły do góry. Graham poczuł, że się od nich odrywa i że ich monstrualnie wielka płaszczyzna, odwrócona, zawisła nad nim jak pochyła ściana.

Graham nie rozumiał w pełni tego, co zaszło: że uderzył w boczny pływak aeroplanu i ześlizgnął się po nim, ale wyczuwał już, że przemieszcza się swobodnie, ślizga w dół i bardzo szybko zbliża do ziemi. Co on właściwie zrobił? Co się stało? Serce podeszło mu do gardła, drżące jak szybko pracujący silnik, przez jedną straszną chwilę nie był w stanie

manipulować dźwigniami, do tego stopnia miał sparaliżowane ręce. Szarpnął nimi wreszcie, po krótkiej walce udało mu się przesunąć silnik ku rufie i ustawić monoplan w poziomie.

Uruchomił silnik. Spojrzał w górę. Wysoko nad jego głową dwa aeroplany szybowały bezwładnie, a za nim szyk floty rozprysnął się na zewnątrz i w górę. Zobaczył też, że aeroplan, w który uderzył, spadł z nieba lecąc na boku i jak ostrze wielkiego noża uderzył w wiatraki.

Opuścił nieco rufę. Rozejrzał się dookoła. Obserwując, co dzieje się dookoła niego nawet nie zauważył, że leci nie zwracając uwagi na kierunek. Widział, jak wiatraki ustępują pod ciężarem szkieletu konstrukcji, jak szkielet ten uderza o ziemię, jak skierowany w dół pęd siebie dzieło zniszczenia, aż wreszcie masa wraku obraca się miażdżąc wiatraki, pochylone po uderzeniu. Widział też błysk białego płomienia, bijącego wprost w niebo. W powietrze wystrzeliło coś wielkiego, mknęło w jego kierunku. Skręcił w górę w ostatniej chwili, dzięki temu manewrowi udało mu się uniknąć ataku drugiego aeroplanu, który przemknął pod nim, wsysając go w dół na sążęń i omal nie przewracając monoplanu do góry nogami samym pędem powietrza swego przelotu.

Graham widział już, że do ataku szykują się trzy inne maszyny, że zbliżają się niebezpiecznie i że musi wzbić się ponad nie. W następnej chwili aeroplany były już dosłownie wszędzie, krążyły wokół niego, jakby chciały uniknąć zderzenia, tak mu się przynajmniej wydawało. Przelatywały nad nim, pod nim i obok, na wschód i na zachód. Daleko, na zachodzie, rozległ się trzask zderzenia, po którym nastąpiły wybuchy, a na ziemię poleciały dwie ogniste kule. Daleko na południu pojawiła się druga eskadra. Monoplan Grahama systematycznie zwiększał wysokość, zostawiając pod sobą pozostałe aeroplany, lecz aeronauta nie był pewien, o ile jest od nich wyżej, więc nie skręcał do ataku. Dopiero gdy ocenił dystans spadł z wysokości na drugą ofiarę. Ten jego atak widzieli wszyscy żołnierze na pokładzie. Wielka maszyna zachwiała się w locie i przechyliła, bo oszaleli ze strachu żołnierze próbowali precyzyjnie się na rufę, gdzie umieszczono ich broń. W powietrzu zaświszczały kule, na grubej tafli chroniącego go od wiatru szkła pojawiło się gwiazdziste pęknięcie. Aeroplan Ostrogitów zwolnił i zniżył lot, by uniknąć starcia, I znalazł się zbyt nisko. Graham w ostatniej chwili zobaczył wybiegające ku niemu wiatraki na Bromley Hill, zdołał skręcić i unieść dziób, jego przeciwnik zaś

rozbił się o nie. Zmieszane głosy zmieniły się w chóralny przeraźliwy krzyk. Kolosalny kadłub wydawał się stać pionowo wśród pękających i walących się urządzeń, a potem rozleciał się, a jego odłamki wystrzeliły na wszystkie strony. W ciemniejące niebo wyskoczyła gorąca igła ognia.

– Dwa! – krzyknął Graham do spadłej z nieba, wybuchającej bomby, po czym znów zaczął się wznosić. Ożył, czuł się wspaniale, był gotów do działania. Troska o ludzkość, strach przed własnymi słabościami opuściły go, jakby nigdy ich nie odczuwał. Był mężczyzną, był wojownikiem, radował się swą siłą. Odnosił wrażenie, że aeroplany uciekają przed nim we wszystkich kierunkach, że szukają wyłącznie bezpieczeństwa, a gdy przelatywali bliżej słyszał rozpaczliwe okrzyki i jęki ich pasażerów. Wybrał trzecią ofiarę, zaatakował pospiesznie, zmusił ją do wykonania ostrego zakrętu, doprowadzającego ją do uderzenia w potężny klif londyńskiego muru. Atak ten doprowadził go tak blisko ziemi, że dostrzegł uciekającego z boczem łąki przerażonego zająca. Gwałtownie poderwał dziób maszyny. Zorientował się, że leci nad południowym Londynem, a powietrze obok niego jest praktycznie puste. Po jego prawej ręce rakiety sygnalizacyjne, odpalane w panice przez Ostrogitów, strzelały w górę tak gęsto, że odczytanie wiadomości nie wydawało się możliwe. Na południu płonęły wraki strąconych statków powietrznych, pozostałe uciekały na wschód, zachód i północ. Na wschód i północ leciały prosto, a na południu zawracały, bo nie mogły przecież zatrzymać się w powietrzu. W tym stanie paniki, w jakim znajdowali się teraz aeronauci, każdy manewr oznaczał nieuchronną, druzgocą kolizję.

Przeleciał mniej więcej dwieście stóp na płytą Roehampton, załoczoną wznoszącymi radosne okrzyki ludźmi. Lecz... skąd wzięli się ludzie na płycie Wimbledon Park i dlaczego oni również dają dowody entuzjazmu? Dym i ogień ze Streatham ukrywał trzy dalsze płyty. Graham skręcił i wzniósł się nieco, by zobaczyć je, a także teren bardziej na północy. Najpierw jego oczom pojawił się ukryty dotąd za zasłoną dymu masywny kwadrat Shooter's Hill, porządnie oświetlony, wypełniony aeroplanami, które już wylądowały transporty czarnych. Potem przysła kolej na Blackheath, a w końcu, po ominięciu ściany dymu, także płytę Norwood. Na Blackheath nie wylądował żaden aeroplan, płyta Norwood natomiast roiała się od ludzi, biegających w tę i w tamtą stronę, co sprawiało wrażenie nieopanowanego chaosu. Ale skąd ten chaos!? Po chwili przyszło

zrozumienie. Rozpaczliwa obrona płyt dobiegła końca. Ludzie uciekali do podziemi, ostatnich punktów oporu Ostrogitów. I nagle, z północnej strony miasta i jego najdalszych terenów, dobiegł go dźwięk, radosny sygnał tryumfu, mający dla niego specjalne znaczenie. Niski huk potężnego działa. Graham rozchylił wargi, twarz skrzywioną miał w grymasie radości. Odetchnął głęboko.

– Wygrywają! – krzyknął w otaczającą go pustkę. – Lud wygrywa!

Huk drugiego wystrzału zabrzmiał jak potwierdzenie. Ale na płycie Blackheath mknął po prowadnicy szykujący się do startu monoplan. W chwilę później był już w powietrzu. Pędził na południe, jakby uciekał przed nim w panice. Graham od razu pojął co się dzieje. Ostrog! Ostrog ucieka! Nie ma innego wytłumaczenia. Krzyknął i ruszył w pościg. Miał przewagę wysokości, opadał przez warstwy powietrza z wyczuwalną wielką prędkością. Uciekający monoplan nagle wzleciał stromo w niebo, ukazując płaską krawędź. Jeszcze sekunda i Graham minął go. Opadał szybko, jakby ciągnęła go siła chybionego ciosu.

Poczuł gniew. Wściekły gniew. Cofnął silnik, zaczął wzbijać się, jednocześnie zataczając koła. Maszyna Ostroga, którą miał przed sobą, także leciała po spirali. Wymierzył w nią dziób. Prędkość, której nabrał w skręcie i różnica wagi na pokładzie dawała mu przewagę. Zaatakował po raz drugi i po raz drugi chybił! Gdy aeroplany miały się zderzyć zobaczył twarz astronauty Ostroga, spokojną twarz człowieka pewnego siebie, i samego Ostroga, zaciętą i zdecydowaną. Ostrog umyślnie odwracał od niego wzrok. Patrzył na południe. Graham przeklinał samego siebie, że tak fatalnie prowadzi aeroplan. Przed dziobem widział już wzgórze Croydon. Uniesienie dziobu pozwoliło mu znów wzlecieć nad przeciwnika.

Obejrzał się przez ramię... i zamarł. Wschodnia płyta, ta na Shooter's Hill, wydawała się wznosić na jego oczach. Błysk ognia stłumiła przesycająca powietrze szara chmura, wysoki słup dymu i pyłu. Przez moment słup ten, jak ludzka postać, stał nieruchomo, zrzucając tego, co było jego ramionami, wielkie odłamki metalu, a potem zaczął się rozdymać u góry. Płyta wyleciała w powietrze, wraz z aeroplanami i wszystkim innym. Równie gwałtowny wybuch nastąpił w chwilę później, na płycie Norwood. Nie zdążył nawet odwrócić wzroku od tego dramatycznego widoku, kiedy rozległ się tępy, ogłuszający huk, a w jego aeroplan uderzył podmuch pierwszej eksplozji.

Monoplan położył się na boku z dziobem skierowanym w dół. Znieruchomiał w tej pozycji jakby zastanawiał się, czy nie przewrócić się na plecy. Graham stanął na osłonie wiatrowej walcząc z kołem sterowym, które znalazło się nad jego głową! I wówczas wstrząs drugiej eksplozji rzucił monoplan w bok.

Uczepiony kurczowo jednego z żeber maszyny Graham nie od razu zorientował się, co oznacza ten fakt, że świszczące wokół powietrze porusza się do góry. Miał wrażenie, że wisi w powietrzu nieruchomo i że wieje pionowy wiatr, lecz w istocie spadał. Tak, spadał bez najmniejszych wątpliwości. Nie miał odwagi spojrzeć w dół.

Przez myśl przelatywały mu z oszałamiającą prędkością obrazy tego wszystkiego, co przeżył i czego doświadczył od dnia przebudzenia: dni pełen wątpliwości, dni triumfu i wreszcie te dni ostatnie, przeżyte po tym, jak dowiedział się o zaplanowanej zdradzie Ostroga. Wizja ta pozbawiona była jakichkolwiek znamion rzeczywistości. Kim jest? Dlaczego trzyma się czegoś kurczowo zaciśniętymi dłońmi? Dlaczego nie może tego czegoś puścić? Jakże wiele z jego snów kończyło się przecież takimi właśnie upadkami...

Myśli Grahama biegły coraz szybciej, coraz szybciej. Zastanawiał się, czy kiedyś jeszcze zobaczy Helen. Jakże nierozsądnym wydawał się sam pomysł, że może jej już nie zobaczyć. To musi być sen! Zobaczy ją z pewnością. Przynajmniej ona jest rzeczywista. Przynajmniej ona jest rzeczywista. Jest rzeczywista! Zobaczy ją, kiedy się obudzi.

Choć nie potrafił na nią spojrzeć nabrał nagle całkowitej pewności, że ziemia musi być bardzo, bardzo bliska.